

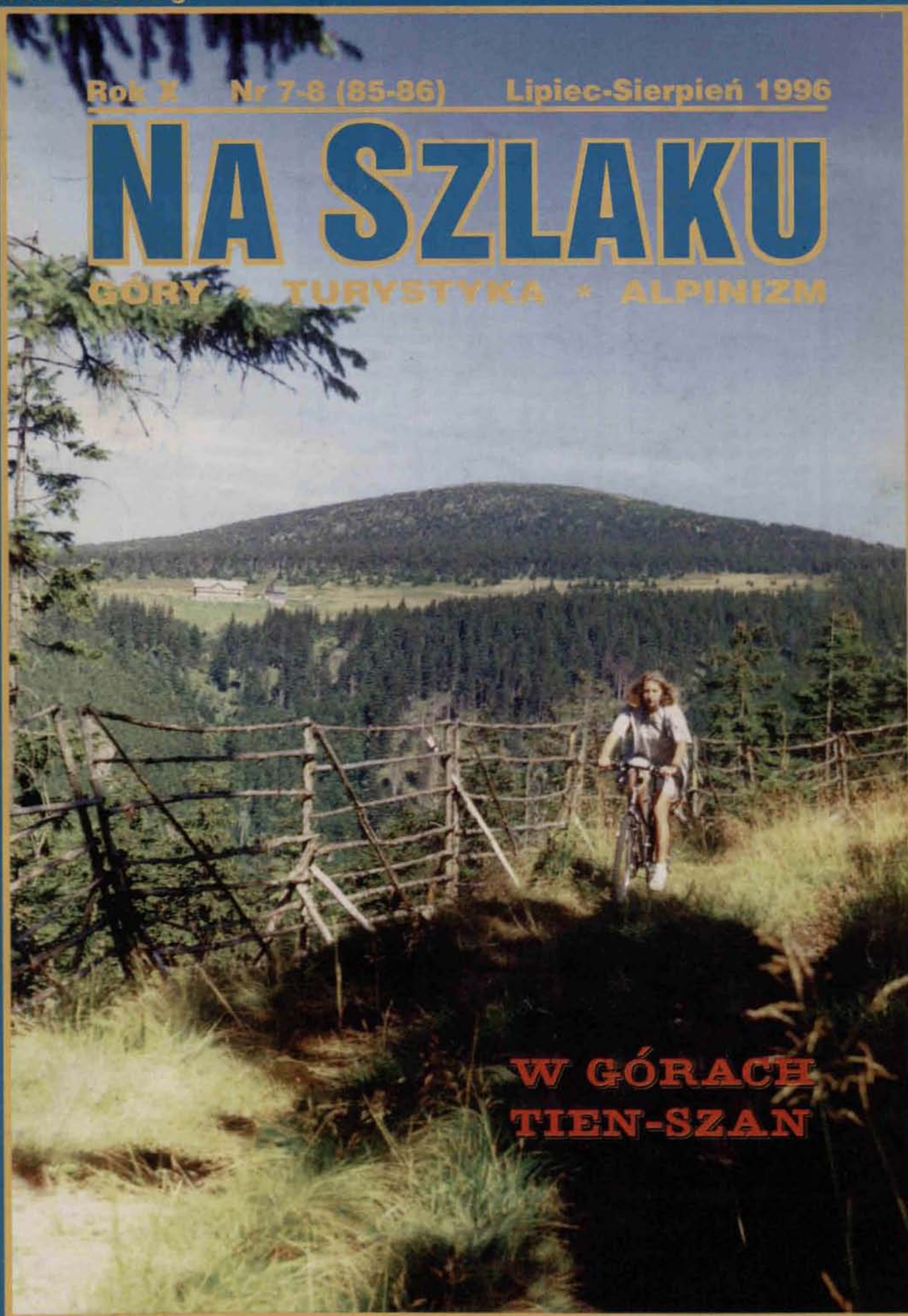
Cena 2 zł 90 gr

ISSN 1230-9931

Rok X Nr 7-8 (85-86) Lipiec-Sierpień 1996

# NA SZLAKU

GÓRY \* TURYSTYKA \* ALPINIZM



**W GÓRACH  
TIEN-SZAN**

Miesięcznik turystyczno-krajoznawczy poświęcony gór.  
Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

Wydano przy pomocy Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki

#### Zespół redakcyjny:

Piotr Dacko (red. techniczno-graficzny),  
Krzysztof R. Mazurski (red. naczelny),  
Andrzej Matuszczyk (Kraków),  
Stanisław Nosol (sekretarz red.),  
Ryszard Szlagor (red. wydawnictwa).

#### Sekretariat i administracja:

tel. 34-386-69

#### Stale współpracują:

Jacek Kolbuszewski, Aleksander Lwow,  
Józef Nyka (Warszawa), Przemysław Piłch  
(Warszawa), Ryszard M. Remiszewski  
(Gliwice), Juliusz Wystouch (Toruń).

#### Adres redakcji:

Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław,  
tel. 34-386-69, fax 34-367-46

#### Wydaje:

Oficyna Wydawnicza „Sudety”  
Oddział Wrocławskiego PTTK

ISSN 1230-9931

Cena: 2 zł 90 gr

Redakcja zastrzega sobie  
prawo adiacji tekstów.  
Materiałów nie zamówionych  
Redakcja nie zwraca.

Druk: Can-Pol Wrocław

Numery archiwalne do nabycia w Redakcji.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Prenumerata na 1996 r. wynosi 20 zł przy odbiorze własnym, w Redakcji. Przy zamawianiu prenumeraty z wysyłką należy doliczyć jej koszty. Wysyłka 1-2 numerów wynosi 10 zł, wysyłka 3-5 numerów 15 zł, a powyżej 5 do uzgodnienia.

#### Prenumeratę przyjmuje:

Oddział Wrocławski PTTK,  
Oficyna Wydawnicza „Sudety”,  
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław,  
Wielkopolski Bank Kredytowy S.A.  
O/Wrocław nr: 359209-510600-131,  
z zaznaczeniem „Na szlaku”.

#### Ogłoszenia:

Szczegółowe warunki do negocjacji.

„Na szlaku” dostępne jest w większych oddziałach PTTK i niektórych specjalistycznych sklepach i księgarniach górskich na terenie kraju.

Wszystkich chętnych i zainteresowanych kolportażem prosimy o kontakt z Redakcją (minimalna ilość wynosi 10 egz.).

Na okładce: Widok na Śnieżnik 1426 m i schronisko PTTK „Na Hall pod Śnieżnikiem” w Sudetach Wschodnich. Foto: Stanisław Popardowski

## Dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego

Dotyczy: Potrącenia przez dorożkę konną w dol. Kościeliskiej

W dniu 9.06.1996 r. schodząc dol. Kościeliską do Kir około godziny 13<sup>45</sup> znalazłem się na polanie Wyżnia Kira Miętusia nieco poniżej nowego szałas. Zgodnie z zaleceniami widniejącymi na tablicach rozmieszczonych przy drodze poruszałem się jej lewą stroną. Widząc jadącą od dołu dorożkę konną zszedłem na środek drogi, aby ustąpić jej miejsca (zaobserwowałem, że ustępowanie z drogi dorożkom jest zwyczajem panującym na tym szlaku). Zdążyłem jeszcze usłyszeć krzyk „Uwaga...”, poczułem mocne szarpnięcie od strony plecaka i po wykonaniu obrotu o około 180 stopni straciłem równowagę i przewróciłem się na drogę. Pierwszej pomocy udzielili mi idący pod górę turyści. Dorożka, która mijając mnie zaczęła jakąś wystającą częścią o pasek plecaka, wyrwała jego mocowanie razem z kawałkiem materiału (plecak „Wood-parker” firmy Alpinus wykonany z bardzo wytrzymałej tkaniny) i spowodowała mój upadek, zatrzymała się dopiero kilkanaście metrów dalej na krzyk towarzyszącej mi żony. Żona zauważyła, że mijając nas woźnica nie tylko nie zwolnił, ale jeszcze zaciął konia. Powożący dorożką nie poczuł się jednak zobowiązany do udzielenia mi pomocy. Dopiero zjeżdżający samochodem terenowym funkcjonariusze parkowi (zgłaszający się przez radio jako „Kiry 80”) podwieźli mnie do Kir, wezwali Pogotowie Ratunkowe i spisali moje personalia.

Dotychczasowe szkody, jakich doznałem w związku z opisanym powyżej wypadkiem, to: złamany nos, uszkodzenie stawu bar-

kowego (niezdolność do pracy na okres co najmniej 21 dni), potłuczenia i otarcia na głowie, klatce piersiowej, lewym łokciu i lewym kolanie, zniszczony plecak (wartość kilkuset złotych).

W związku z powyższym pytam:

– jak prawnie uregulowany jest ruch pojazdów na terenie TPN (w szczególności dorożek konnych), szybkość poruszania (z moich obserwacji wynika, że dorożki konne poruszają się znacznie szybciej od pieszych, a nawet szybciej od pojazdów funkcjonariuszy Parku), pierwszeństwo w stosunku do pieszych, odpowiedzialność za spowodowanie wypadku, ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej, zadośćuczynienie za dokonane szkody;

– czy funkcjonariusze Parku udzielający mi pomocy (i spisujący moje personalia) zanotowali personalia powożącego dorożką biorącą udział w wypadku i czy wszczęte zostało w jego sprawie dochodzenie;

– czy zdaniem władz Parku rowery (o ile się orientuję nie dopuszczone do ruchu w dol. Kościeliskiej) są bardziej szkodliwe i niebezpieczne niż dorożki dla ludzi i przyrody Parku;

– czy niezbędnym jest poruszanie się dol. Kościeliską funkcjonariuszy Straży Granicznej oraz funkcjonariuszy Parku motorami i samochodami (poza nagłymi wypadkami) – zauważyłem, że pojazdy Parku poruszają się wolniej od pieszych (i bardzo dobrze), tak więc sądzę, że nie wchodzi tu w grę szybkość działania.

Piotr Godlewski

przodownik tg nr 3554  
(adres znany Redakcji)

## Szanowna Redakcjo!

Piszę do Was w sprawie artykułu pt. „Rzecz smutna o jeziorku” autorstwa p. Mariusza Szatkowskiego (nr 4/96). Zasmuciła mnie wiadomość o wyschnięciu Purpurowego Jeziora, zważywszy, że od jakiegoś czasu zamierzałem wybrać się w tamte okolice. Trudno – pomyślałem – już nigdy nie ujrzę czerwonych wód tego cudu natury. Tak więc podczas mojej ostatniej wyprawy, po przejściu głównym grzbietem całych Karkonoszy, bez większego entuzjazmu skierowałem swoje kroki z Przełęczy Okraj w kierunku Rudaw Janowickich. Jednak urzekły mnie one wspaniałymi widokami (szczególnie w okolicach Czarnowa). Mój zachwyt był jeszcze większy, gdy ujrzałem Zielony Stawek, którego szmaragdowy kolor zachwyca zapewne każdego wędrowca. Podążając dalej spodziewałem się ujrzeć wyschnięte dno Purpurowego Jeziora. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że jezioro istnieje! Co więcej, jego woda ma rzeczywiście purpurowy, niesamowity kolor. Widok był zdumiewający. Tak więc informacja o zniknięciu jeziora nie jest do końca prawdziwa. Być może był to zanik okresowy. W każdym bądź razie 6 czerwca 1996 r. między godz. 14 a 15 istniało, co osobiście stwierdziłem!

Pozdrawiam Redakcję i Czytelników  
Krzysztof Dobrowolski

\*\*\*

Przyznaję, że zostałem zaskoczony po przeczytaniu listu p. K. Dobrowolskiego. Ale szczerze informuję, iż w tamtych dniach przebywałem w okolicach jeziora (listopad '95) i miejscowi z okolicznych wsi zapewniali o zniknięciu Purpurowego Jeziora. A zważywszy fakt, że nawet TV potwierdziła ten wypadek, uznałem go za prawdziwy. Zatem z powyższego wyciągnęłem wnioski, że od tej pory wszystko osobiście trzeba sprawdzić i obejrzeć. Prawdopodobnie program w TV o wyschniętym jezioru był... prima aprilisowy.

Mariusz Szatkowski

## CZyste Góry?

Częstym, wręcz nagminnym zjawiskiem jest to, że ludzie w górach śmiecią. Prym w tym wiodą masowe grupy, prowadzone przez przewodników w ramach kolonii, obozów, wczasów czy też pobytu w sanatorium w najciekawsze (zazwyczaj objęte ochroną prawną, jako rezerwy przyrody) partie gór. Owe śmiecenie szczególnie intensywne staje się w czasie tzw. długich weekendów na przełomie kwietnia i maja. Jak temu zaradzić? Pomysłów na to było już wiele – wszystkie raczej mało skuteczne.

Gorzowski Klub Górskiej „Sępiak” przy I i II Liceum Ogólnokształcącym w Gorzowie Wlkp. od kilku już lat stosuje swoją metodę. Metodę prostą – sprzątanie. Każdy, kto w tym czasie spotyka w górach ludzi z worami śmieci, naocznie przekona

się, że leżą one w wielkich ilościach na szlaku i że bez pomocy człowieka śmieci przyszlą wszystko, co chcielibyśmy w górach poznać i zobaczyć.

Tego roku, w dniach 4-5 maja, członkowie i sympatycy klubu (39 osób) z I, II, III i katolickiego LO, Państwowego Domu Dziecka i Zespołu Szkół Włókienniczych w Gorzowie Wlkp. sprzątała Ostrzycę (501 m), Wielisławkę (369 m), Ślężę (718 m), Góry Sokole i Wąwóz Mysliborski.

Wszystko to piękne i ciekawe zakątki naszych Sudetów, w całości lub częściowo objęte statutem obszarów godnych ochrony. Niestety, w tym okresie szczególnie Ślęża i Góry Sokole są zadyptywane, wręcz „pierwszomajowo”. Tłok na Drodze Ślężan, wiodącej na Ślężę,

przypomina wielkowiejski deptak. Prawie tak samo jest od „Szwajcarki” ku Krzyżnej Górze i Sokolikom. Spotkani przez nas na szlaku turyści rzadko dołączali się do sprzątania. Zdumieni byli jednak wielokrotnie ilością śmieci poprzednio „rozproszonych” i, jak gdyby zawstydzeni, głębiej upychali własne opakowania i woreczki do kieszeni i plecaków. Niby w geście – „my jesteśmy okey”. Na początek dobre i to. Z czasem za modą na niepalenie przyjdzie inna – na nieśmiecenie. Póki co, może bez wielkiego „zadęcia”, reklamy i poklasku każdy z nas, turystów górskich, sprawi sobie jeden dzień prywatnej „akcji czyste góry” w roku.

Na pewno i góry, i my czujemy się po tym lepiej, a może nawet przez następne dni w roku nie będziemy... śmiecić?

Zbigniew Rudziński

## DLA KOGO GOT? DLA KOGO PTTK?

„Łazikowanie” zaczęłam w latach sześćdziesiątych, kiedy to darzyliśmy szacunkiem przewodników GOT, za ich słuzenie doświadczeniem i pomocą „złotodziobom”, z których wyrastał aktywny PTTK (nie kadry!). Towarzystwo kierowało się dobrem turysty indywidualnego zapewniając takie oznakowanie szlaku, by nie błądził (zasada: lepiej o znak za dużo, niż go miaoł braknąć), uzupełniając liczbę schronisk o noclegi w stacjach turystycznych PTTK, tanie noclegi i zniżki dla członków PTTK oraz dobrze rozwinięta sieć komunikacyjna (PKP, PKS i miejska) ułatwiały rozwój powszechnej turystyki, a co za tym idzie – praktyczne poznanie zasad poruszania się w górach z gotowością do niesienia pomocy na szlaku.

Nie było wtedy problemu z kontaktowaniem się z przewodnikami GOT, gdyż mieli stałe spotkania w określony dzień, a ponadto w godzinach pracy biura urzędował jeden pracownik tylko, ale za to przewodnik GOT!

Po latach PTTK stało się instytucją biurokratyczną z mnóstwem oddziałów, biur i urzędników, tak jakby turystykę można było uprawiać za biurkiem, a turystę dopasować do przepisów i regulaminów, których przestrzeganie pilnuje społeczny pracownik (§24 Regulaminu GOT) przeprowadzając wnikliwe śledztwo na okoliczność pieczętek, dat, podpisów, bo sam turysta i turystyka są najmniej ważne! Po ukończeniu 12 roku życia (§3) w ciągu półtora dnia (§8 i §10) można uzyskać popularyzatora GOT, tak jakby to wystarczyło, by poznać góry i nauczyć się uprawiania turystyki (§1)!

Uwzględniając dopuszczalną ilość sezonów (§10 do §21) cykl zdobywania

GOT może trwać 27 lat, po osiągnięciu wieku około 40 lat zaczynamy następny cykl (§22), kończąc go w wieku 66 lat! Do czterdziestki zaliczamy tylko polskie części gór, w następnym cyklu możemy sobie doliczyć „zagraniczne” (§11 pkt 2a i b) ich części, tak jakby polityczne względy i państwowe granice miały znaczenie w turystycznym poznaniu Tatr, Karkonoszy, Gór Stołowych itp. Góry to góry, a turyści są nimi na wszystkich szlakach górskich, czy to polskich, czeskich czy słowackich – nie można zatem stwarzać sztucznych barier regulaminowych.

Tak sobie myślę, czy w PTTK nie za dużo kadry i urzędników, a za mało turystów? (których się w ogóle ignoruje)?

Pan Juliusz Wystouch, którego poglądy podzielałam, a wnioski popieram – czy doczekał się poważnego potraktowania poruszanych tematów – przez kadry PTTK? – przez „prawdziwych ludzi gór” (pan Piotr Dacko)? – przez Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej (nazwa zobowiązuje!)?

Na szczęście, sądząc po zasadach zdobywania OTP, rozsądek w PTTK całkiem nie zaginał.

Pozdrawiam Redakcję i Czytelników  
Krystyna Bromboszcz

## SPROSTOWANIE

Korzystając z uwagi p. Wiesława Szreniawy informujemy, że w podpisie fotografii na s. 16 w nr 5/96 powinno być podane o położeniu Tropii nie w Beskidzie Sudeckim, a na Pogórzu Rożnowskim. Przepraszamy.

W tekście o „Mowo Polska” autorstwa Juliusza Wystoucha (nr 6/96) w związku z bardzo złym maszynopisem zaszło kilka pomylek. Chodzi o „downiu”. Powinno być „downhill” (zjazd rowerowy) i „tojanca” zamiast „tojaci”. Przepraszamy.

## Redakcja „Na szlaku”

Droga Redakcjo, w związku z „Listem otwartym w sprawie turystyki górskiej na terenach Parków Narodowych” pana Juliusza Wystoucha zamieszczonym w numerze 11/77 z listopada 1995 roku, pragnę podzielić się swoimi przemyśleniami na ten temat.

Dziwi mnie i, delikatnie mówiąc, denerwuje to, co dzieje się w polskich górach objętych zarządzeniem Parków Narodowych. Restrykcje zamieszczane w regulaminach poszczególnych Parków oraz ingerowanie w środowisko naturalne (wydawało mi się, że właśnie tam nie wolno niczego zmieniać) „poprawiające” naturalne ścieżki – szlaki, graniczy z absurdem. Zapytuję – czy jest Park Narodowy? Narodu czy Zarządu Parku Narodowego? A tak nawiasem, kto to jest Naród? Bo według Zarządów PN, to miliony debili i wandali nie potrafiących zachować się środowisku naturalnym. W konsekwencji Zarządy PN muszą to środowisko bronić przed Narodem w celu zachowania tego środowiska dla tego Narodu (debilów).

Co na to PTTK? – Towarzystwo powołane co prawda w niesłusznych czasach, ale którego szczytne cele aktualne są do dzisiaj. Gdzie jest Zarząd Główny naszego Towarzystwa? Tytuł światłych działaczy PTTK (byłych prezesów i członków ZG) zasiada w obecnym Sejmie RP. Czy jest im obojętny stan turystyki w Polsce? Czy przestało ich to interesować, albo nie mają czasu na tak przyziemne sprawy? Może Panowie Dąbrowski i Syryjczyk zabiorą w tej sprawie głos na forum sejmowym i zapytają, jak się mają regulaminy i działania Zarządów Parków Narodowych do, na przykład, Konstytucji RP itp. Kiedyś skończyły się diety poselskie i trzeba będzie pozwolić się wybrać do władz PTTK, bo gdzieś trzeba działać, a PTTK jest świetną „przechowalnią” gospodarczych talentów, w której można ze społecznym majątkiem bezkarnie „poeksperymentować”. Ręce opadają na takie działania. Nie dziwny się więc, że Towarzystwo się starzeje, a ilość członków stale maleje. Z taką organizacją nikt nigdy nie będzie się liczył.

Z turystycznym pozdrowieniem  
Jan Śladek

## Przewodnik po zamkach dolnośląskich

W poprzednim numerze „Na szlaku” Redakcja zamieściła zapowiedź druku przewodnika „Zamki Dolnego Śląska”. I oto mamy przed sobą pierwszy z zaplanowanych dwóch tomików, który ukazał się nakładem Wydawnictwa JOT. Jest to pierwsze od wielu lat opracowanie obejmujące wszystkie dolnośląskie zamki, a także częściowo z województw: opolskiego, leszczyńskiego, kaliskiego i zielonogórskiego, omawiające ich położenie, historię i aktualny stan. Autorzy owej publikacji: Teresa Mazurska, Eugeniusz Rachwański i Jerzy Załęski zadali sobie wiele trudu, aby zebrać wszystko to, co dotychczas było rozproszone po różnych rozprawach, bibliografiach, słownikach czy atlasach historycznych, a następnie dokonać syntezy wiedzy o zamkach dolnośląskich. W wyniku ich pracy narodził się przewodnik, który powinien służyć szerokiej rzeszy turystów i krajoznawców, a także wszystkim entuzjastom pomników przeszłości.

Całość publikacji została podzielona na dwa tomy. Pierwszy z nich zawiera ogólne informacje o zamkach i grodach oraz opisy poszczególnych obiektów w porządku alfabetycznym od A do O (m.in. Bardo, Cisy, Karpień, Owiesno). Drugi, który ukaże się wkrótce, obejmuje informacje o zamkach na litery

od P do Ż, a także notki na temat budowli już nie istniejących. Przewodnik jest ozdobiony planami i szkicami Eugeniusza Rachwańskiego oraz uroczą kreską rysunków profesora Ryszarda Natusiewicza. Dodatkowym walorem „Zamków Dolnego Śląska” jest skorowidz omawianych obiektów oraz bibliografia, która pozwoli czytelnikowi pogłębić własne zainteresowania.

W sumie otrzymaliśmy zgrabną publikację, która w sposób zwięzły i przystępny daje nam esencję wiedzy o zamkach dolnośląskich, a przy okazji garść informacji o innych obiektach godnych naszego zainteresowania w poszczególnych miejscowościach, położeniu ich i najdogodniejszy dojeżdżie lub dojściu.

Młodemu Wydawnictwu JOT z Wrocławia gratulujemy udanego pomysłu i z życzliwością oczekujemy następnych publikacji.

Ryszard Szlagor

Teresa Mazurska, Eugeniusz Rachwański, Jerzy Załęski, *Zamki Dolnego Śląska*, t. I. Wydawnictwo JOT – Jarosław Rubin, 51-605 Wrocław, ul. Piłata 12. Wrocław 1996, ss. 132. Cena 10,50 zł.

## MONOGRAFIA SUDECKIEGO BUDOWNICTWA WIEJSKIEGO

Ukazała się drukiem praca habilitacyjna dotycząca właśnie tego zagadnienia. Mimo naukowych fragmentów, reszta jest niezwykle przydatna tym, którzy interesują się Sudetami. Autorka przedstawia zwięzły, ale jasny przegląd historii tego regionu w ogóle oraz budownictwa w nim w szczególności. Omówione zostały obszerne zagadnienia funkcjonalno-przestrzenne i rozwiązania konstrukcyjno-materiałowe, wszystko bogato ilustrowane rycinami i fotografiami, także barwnymi. Całość wieńczy próba regionalizacji typów budynków, wśród których m.in. można zauważyć wyraźne cechy frankońskie, łужицьkie, czeskie. Rzecz godna polecenia.

K.R.M.

Elżbieta Trocka-Leszczyńska: *Wiejska zabudowa mieszkaniowa w regionie sudeckim*. Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej 1995, ss. 270.

## ENCYKLOPEDIA BIESZCZADZKA

Bieszczady Zachodnie doczekały się już wielu opracowań krajoznawczo-turystycznych i historycznych, w tym także popularnych monografii, dostępnych dla przeciętnego turysty i krajoznawcy. Duża w tym zasługa Stanisława Krycińskiego, wielkiego miłośnika i znawcy Łemkowszczyzny, a więc Bieszczadów i ich otoczenia. Posiada on własne wydawnictwo, co znakomicie ułatwia mu publikację własnych i popieranych materiałów. W jego Wydawnictwie ukazało się kilkadziesiąt pozycji poświęconych Bieszczadom, Beskidowi Niskiemu i Pogórzcu Karpat Wschodnich (mapy, przewodniki, informatory historyczno-krajoznawcze), głównie z punktu widzenia dawnego osadnictwa łemkowskiego, rusińskiego i ukraińskiego. Niestety, taka sytuacja ma też ujemne strony, wyrażające się np. w braku niezależnej i obiektywnej recenzji wstępnej, zarówno w zakresie treści merytorycznej, jak i samego układu materiału. Subiektywne podejście autora i wydawcy zarazem odbija się niekorzystnie na wartości publikacji. Takie wrażenie odczuwa się przy korzystaniu z obszernego *Słownika historyczno-krajoznawczego, Bieszczady, cz. I, gmina Lutowska*, zredagowanego i wydanego przez S. Krycińskiego w 1995 r.

Słownik ten można by uznać za bardzo cenną pseudoencyklopedię gm. Lutowska, która zajmuje centralną część Bieszczadzkiego

Parku Narodowego, gdyby nieco szerzej potraktowano zagadnienia geograficzno-przyrodnicze i gospodarcze. W publikacji bardzo dużo miejsca poświęcono problemom ludnościowym, etnograficznym, osadniczym i toponomastycznym, natomiast inne zagadnienia omówiono dość skrótowo, głównie we wstępnej części *Słownika*, obejmującej zaledwie 10% objętości całego wydawnictwa. Z 490 stron tekstu aż 425 poświęcono historyczno-topograficznemu opisowi 29 wsi i przysiółków. Schemat opisu miejscowości obejmuje kolejno numerowane działy: Nazwa, Historia, Obiekty sakralne, Wielka własność, Zabudowania mieszkalne, Przemysły (1), rzemiosło, handel i usługi, Nazewnictwo. Dla każdej wsi dano wyciąg z austriackiej mapy topograficznej w skali 1:75 000 z 1904 r., wrys z planu katastralnego z 2 poł. XIX w. (czasem nawet 2-3 plany), kilka starych fotografii lub rycin obiektów i ludzi, dane statystyczne ze spisów ludności do 1994 r. Załącznikiem do książki jest mapka (reprint) pt. *Bieszczady. Gmina Lutowska, mapa w skali 1:100 000 wg map topograficznych WIG z 1935 r.*

Omawiana pozycja jest niewątpliwie cenna dla historyków, lokalnej administracji terenowej, toponomastów i osób zainteresowanych Łemkami i ich losami. W pewnym stopniu może ona być przydatna także krajoznawcom i turystom – miłośnikom Biesz-

czadów. Na pewno będzie bardzo cenna dla wszystkich autorów prac naukowych i krajoznawczych o Bieszczadach i Bieszczadzkiem Parku Narodowym.

Edmund Jońca

*Bieszczady. Słownik historyczno-krajoznawczy. Część I. Gmina Lutowska*. Materiały zebrali: Maciej Augustyn, Stanisław Kryciński, Szymon Modrzejewski, Radosław Szewc. Do druku przygotował: Stanisław Kryciński. Bieszczadzki Park Narodowy. Wydawnictwo Stanisław Kryciński. Ustrzyki Górne – Warszawa 1995, ss. 29.

### POGÓRZE KARKONOSKIE JEST TEŻ CIEKAWIE

Ofensywa wydawnicza lokalnych społeczności trwa. Kolejnym dowodem jest ukazanie się na rynku czytelniczym pięknie wydane czasopismo „Pogórze”, które ma być kwartalnikiem gminy Podgórzyn, gdzie góry przeglądają się w wodzie (kto nie wierzy, niech przyjedzie i sprawdzi). Wydawcą jest Urząd Gminy, mający w zapleczu coraz aktywniejsze własne Centrum Informacji Turystycznej. Na razie dominuje problematyka lokalna, ale nie zabrakło materiału i o turystyce. Zwraca uwagę sprawozdawczy wprowadzenie, ale istotny i dla przyjezdnych tekst o działalności Związku Gmin Karkonoskich w 1995 r. Warto więc zakonotować sobie nowy tytuł i w razie potrzeby sięgnąć po niego.

# O „Pogórze Karpackim” krytycznie

Rzuciłem się nań od razu. Tylko wy-patrzyłem tytuł (Andrzej Matuszczyk „Pogórze Karpackie”, Tarnów 1995) i już miałem przewodnik w swych rękach. Oczywiście, kupiłem bez namysłu. Dopiero w domu przyjrzałem się mu dokładniej. I tu mój zapał został nieco przyhamowany.

Miałem szczerą nadzieję, że posiadam z dawną upragnioną pozycję, opisującą jakby wcześniej niezauważany teren Pogórze Karpackiego. Już na pierwszej stronie przywitał mnie podtytuł: „Wielickie, Roznowskie i Ciężkowickie”. Ha! A więc tylko kawałek! Po dokładniejszym wczytaniu się w początkowe strony minęła mi jeszcze bardziej – autor opisuje „wschodnią część Pogórze Wielickiego”, pomijając zachodnią, bo mniej ciekawa. Ta „wschodnia część” to teren zwykle opisywany jako Pogórze Wiśnickie, o czym jednak autor chyba nie słyszał, bo nigdzie tej nazwy nie używa. Tak więc tytuł przewodnika Andrzeja Matuszczyka powinien brzmieć: „Pogórze Karpackie – część I – Pogórze Wiśnickie, Roznowskie i Ciężkowickie”. Arbitralny wybór opisywanego terenu to już inna sprawa, nie jestem władny oceniać, czy Pogórze Strzyżowsko-Dynowskie i Przemyskie jest mniej ciekawe i atrakcyjne, jak uważa A.M. Okrąwiając teren Pogórze, jednocześnie opisuje Pasma Maślanej Góry, zazwyczaj włączane do Beskidu Niskiego.

Drugim stwierdzeniem zadziwił mnie autor już we wstępie pisząc, że ten teren nie dysponował dotąd mapą. Sam oczekując na wydanie „mapy z prawdziwego zdarzenia”, załączył do przewodnika przedziwnie nieczytelny szkic szlaków turystycznych, mający, jak sądzę, pomóc turystyce w orientacji podczas wycieczek. Szkoda, że nie dotarła do pana Matuszczyka mapa „Okolice Tarnowa”, wydana w 1988 r. przez PPWK – zaiste, porządna mapa w skali 1:125 000, nie pozbawiona pewnych błędów, ale porównywalna z każdą inną turystyczną mapą Beskidów. Na pewno nie próbowałby uszczęśliwiać nas tym szkicem.

Przewodnik ten jest publikacją w wielu aspektach pionierska, za co Andrzejowi Matuszczykowi chwała, ale pośpiech zaowocował w wielu miejscach niespójnościami i odrobina chaosu. Miejmy nadzieję, że w drugim wydaniu (a wierzę, że będą i następne) uda się je usunąć.

Nierzadko wiadomości wyglądają jak zlepek różnych wątków, np. .... linia frontu przebiegała przez wsie: Kielanowice, Bistoszową i Ryglice. Na dworskich polach hr. Ludwika Rozwadowskiej wojskowe piekarnie wytwarzały każdego dnia po 30 000 bochenków chleba. Następnie Austriacy przeszli do ofensywy, odrzucając wojska rosyjskie aż po linię Sanu” (str. 35), .... panował straszny głód. Ludzie jedli kwiaty z leszczyn i olszyn, a nawet trociny. Następstwem były epidemie tyfusu i cholery oraz czerwonki” (str. 33). Na stronie 279 w sąsiadujących ze sobą hasłach „Kołaczyce” i „Krajowice” są różne informacje o zamku Golez, na szczęście niesprzeczne, ale dlaczego nie ujęte w jednym? W hasle „Glinik Mariampolski” napisano wiele o pobycie Wincentego Pola w Zagórzanych, ledwie wspominając o nim przy hasle „Zagórzany”. O konfederacji barskiej więcej można wyczytać w hasle „Grybów” niż w odnośnym miejscu w rozdziale poświęconym historii. Notabene, w rozdziale tym brak informacji o rozbiorach, jakby Austria naturalnie była spadkobierczynią władców Polski.

Pisze też Andrzej Matuszczyk o legendach, łącząc je jednym tchem z danymi na wskroś realnymi, jakby wierzył w opowieści ludowe bardziej niż w fakty. Polecam rozdzielić o rezerwie „Skamieniałe Miasto” przy hasle „Ciężkowice” (str. 261-262). Tamże informacje w dwóch różnych miejscach o roślinach chronionych w nim występujących, za każdym razem innych, oraz niespodziewanie opisu parku w Kąsnej tu, a nie w hasle „Kąsna Dolna”.

Nazwy miejscami też nie są prawidłowe. Autor uparcie stosuje nazwę Wiśnicz Nowy zamiast prawidłowej: Nowy Wiśnicz, pisząc, że pierwsze wzmianki o nim pochodzą z XII w. – osada „Wiśnice” lub „Wiśniewice”, nadmieniając w hasle Wiśnicz Stary o formie „Višnice”, gdy źródła podają oczywiście „Višnice”, jako nazwę osady na terenie dzisiejszego Starego Wiśnicza. A.M. wspomina o konstrukcjach wieńcowej i zrębowej, choć to nazwa tożsama (str. 63), w Biecu umieszcza klasztor Reformatorów zamiast Reformatorów (str. 245), pisze o San Francisco (str. 252) i „manswerku” (str. 282), używa nazwy „pseudogotycki” zamiast przyjętej „neogotycki”, pisząc o kościele w Grybowie (str. 272) i tajemniczego sformułowania „zaraza na bydło” (str. 33). Najbardziej urzekł mnie fragment o rabacji chłopskiej, kiedy to chłopcy „postawili się nad trupem wbijając mu widły w żęby” (str. 32). Należy też przypomnieć, że osadnikami na prawie niemieckim nie znaczyło, że osadnikami byli Niemcy, prawo niemieckie nie nadawało też nazw miejscowościom, było tylko rodzajem określenia powinności mieszkańców wobec panującego (str. 62). Na str. 313 autor pisze o kościele w Tropiu, że jest „budowlą barokową z zachowanymi fragmentami romańskimi, gotyckimi i renesansowymi” – spróbujmy to sobie wyobrazić!

Błędne informacje to m.in.: sarkofag z prochami Józefa Bema sprowadzono z Aleppo w Syrii, a nie w Turcji (str. 307) – dokładnie 30.06.1929 r.; Jan Bielak kierował schroniskiem na Przehybie nie do 17 XII 1944 r., tylko 1994 r. (str. 61); szpital p.w. Św. Ducha w Biecu jest w ruinie, o ile mi wiadomo, natomiast trudno nazwać ruiną dwór obronny w Szybanku (str. 302); w Bochni w XIV w. raczej nie powstał szyb Findera (str. 253); rezerwat „Diabie Skąły” nie obejmuje zespołu skałek ciągnącego się od „Skamieniałego Miasta” w Ciężkowicach do Bukowca (str. 327) (bo jest to około 9 km, a rezerwat ma pow. 16 ha – przeciętna szerokość musiałaby mieć nieco ponad 1 m), a kościółek w Binarowie jest drewniany, ale pokryty niestety eternitem. Wspominany dzwon w Starym Wiśniczu jest pęknięty i eksponowany obok kościoła pod specjalnie dla niego wybudowanym daszkiem, a niedaleko, przy drodze, stoi pod starą lipą piękna figura św. Jana Nepomucena. Jak już jesteśmy przy kościółkach, to warto zauważyć, że drewniany kościół w Roznowicach spalił się w Wielki Piątek w 1993 r. Zdaniem proboszcza: „no i chwała Bogu, wreszcie będziemy mogli wybudować nowy!” (autentyczne!).

Kolejnym przykładem są różnice wysokości szczytów w porównaniu z mapami PPWK – od kilku metrów (Brzanka, Bukowiec, Falkowa, Gilowa Góra, Trzemeska Góra) do kilkunastu (!) przy Paprotnej (450 i 436 m) i Kobylnicy (562 i 582 m).

Zatrzymajmy się chwilę przy wspomnianych dziejach Wiśnicza. A.M. pisze, że „....już podobno w okresie średniowiecza był na wzgórzu 275 m prastary gródek stróżujący nad trak-

tem handlowym z Bochni przez Wiśnicz w stronę Węgier. W 1419 r. kasztelan przemyski Mikołaj Kmita wznosił w Wiśniczu zamek w postaci silnej twierdzy...” Gródek ten wybudowano w XIV w. i zrobili to najprawdopodobniej Kmitowie. „Teka konserwatorska nr 3”, zajmująca się zamkiem w Wiśniczu (autor: Alfred Majewski), nie potrafi podać dokładnej daty budowy z powodu braku danych archiwalnych, a rozróżnienie muru z XIV, XV i XVI w. jest nadzwyczaj trudne. Najpewniej zamek był rozbudowywany kilkakrotnie, „sugestie w zakresie ustalenia kolejnych faz zamku Kmitowskiego muszą być nader ostrożne”. Mikołaj Kmita mógł się przyczynić do rozbudowy zamku, choć raczej mało prawdopodobne jest, by w 1419 r., gdyż majątek wiśnicki otrzymał prawnie dopiero w 1441 r., wcześniej opiekując się tymi dobrami z zamku Sobień koło Leska (spadek po Piotrze Kmicie długo nie był podzielony, pisano o jego następcach – braciach Piotrze Lunaku i Mikołaju – „fratres indivisi”). Notabene, kasztelanem przemyskim został dopiero w 1433 r. Oczywiście nie mógł (str. 316) urządzić przyjęcia „na cześć królowej Bony” (1494-1557). Barbarze Radziwiłłównie nie podano tutaj trucizny, jest to jedna z legend związanych z zamkiem. Zamek nie „należał przez 40 lat do Stanisława Barzego herbu Korczak”, gdyż po Stanisławie, marszałku nadwornym, odziedziczył go syn Jan, a potem jego stryjeczny brat, również Stanisław – tak więc mamy trzech różnych Barzich. Trudno mi się zgodzić, by zamek „łączył motywy doryckie, renesansowe i barokowe” (str. 318).

Obóz koncentracyjny w Nowym Wiśniczu (str. 43) nigdy nie powstał, mimo iż Niemcy przygotowali nawet odpowiednie koperty – w więzieniu istniał jedynie obóz pracy (23 XII 1939 – 30 VI 1940 r.), potem więźniów przewieziono do Oświęcimia (267 osób, po zwolnieniu niektórych starszych i chorych), ciężkie więzienie karne zaczęło funkcjonować od I VII 1940 r., a nie w czerwcu. Za ucieczkę więźnia Krzykacza rozstrzelano 5 Polaków i 5 Żydów, ale 8 VI 1940 r., a nie 27 maja (wg wspomnień ks. Adama Kozłowieckiego). Według Stanisława Fischera, kościół klasztorny Karmelitów został rozebrany w ciągu ośmiu tygodni w jesieni 1940 r. przez hitlerowców, pozostawiono jedynie dolne części murów – nie mógł być więc spalony w 1942 r., jak pisze A.M. Kościół parafialny nie stoi „w centrum Wiśnicza”, lecz raczej na obrzeżu miasteczka.

Jeśli zaś chodzi o legendę o jeńcach tu-reckich, którzy mieli uciec z zamku przy pomocy skrzydeł z pogubionych piór przelatującego ptactwa, to nie można jej łączyć bezkrytycznie z kamiennymi obeliskami – kapliczkami „w miejscu ich śmierci”. Dwie z nich ufundowane zostały w 1654 r. przez Jana Drozdowskiego „szlachetnie urodzonego” prefekta zamku wiśnickiego (obok liceum plastycznego w Nowym Wiśniczu i Kopalinach), trzecia w Bochni („na Karasku”) powstała w 1711 lub 1762 r. (wg różnych źródeł) na mogile zmarłych na czarną ospę.

Tyle uwag krytycznych. Jednak – rzecz oczywista – jest to publikacja nad wyraz potrzebna i wartościowa, zmagająca kolejną białą plamę, w biblioteczkę karpackiego turysty. Myślę, że powinna się znaleźć na wielu półkach, gotowa do pomocy w układaniu tras i w wędrówkach po jakże przecież ciekawym Pogórze Karpackim.

Radosław Jerzy Truś

## ZIEMIA KŁODZKA

Po obfitym plonie, jakim uraczył nas przez ostatnie lata Krzysztof Radosław Mazurski swymi publikacjami, przyszedł czas na całkiem nietypowe wydanie, a rzecz ma się o nowym jego przewodniku pt. *Ziemia Kłodzka – część południowa*. Wydała go, już tradycyjnie, Oficyna Wydawnicza Sudety Oddziału Wrocławskiego PTTK. Od razu miłym zaskoczeniem jest nietypowa, bo nieszablona forma przewodnika. Otóż w porównaniu z poprzednimi przewodnikami K. R. Mazurskiego zajmującymi się tylko jednym bądź dwoma pasmami górskimi, prawie całkowicie pomijając tereny „płaskie”, jak kotliny śródgórskie, ten na odwrót: bardziej skupił się na krajobrazie kotlinnym, zaś tereny górskie są tu jakby na drugim planie, co nie znaczy wcale, że zostały pominięte. Swym zasięgiem obejmuje prawie całe Krowiarki oraz część Gór Bystrzyckich – po Przełęcz Spaloną i Masyw Śnieżnika po sam Śnieżnik (licząc od Kotliny Kłodzkiej), a także Rów Górnej Nisy i południową część właśnie Kotliny Kłodzkiej.

Już po pierwszych wersach *Przedmowy* uderza charakterystyczny styl autora, lecz tym razem okraszony poetyckością, spod której wyraźnie bije zamiłowanie piszącego do rejonu Ziemi Kłodzkiej. Dodatkowo, tu i ówdzie, wśród skondensowanej, rzetelnej wiedzy, pojawiają się zdania całkiem humorystyczne. Cieszy mnie to bardzo, że po tylu latach p. Krzysztof zdecydował się na tak swobodny język. Dzięki temu wiadomości krajoznawcze same wchodzą do głowy, a przewodnik czyta się przystawowo jednym tchem „od deski do deski”. No właśnie, co się tyczy treści, to i tu zaszyły dość istotne zmiany, moim zdaniem na lepsze. Posiadaczy poprzednich przewodników tego autora zaskoczy mile zasób istotnych informacji i to dość obszerny. Albowiem znacznie zostały zredukowane opisy tras li tylko i wyłącznie do znakowanych szlaków, opierając się na tym, iż istnieją obecnie bardzo dokładne mapy, które znakomicie poprowadzą turystę. Również opisy poszczególnych szlaków opisują tylko najbardziej charakterystyczne miejsca na szlaku, ograniczając się prawie tylko do chronometrażu czasowego. Tym samym uległa znacznej redukcji ilość tzw. punktów węzłowych, ograniczając się zaledwie do kilku, lecz odległości czasowe pozostały raczej bez zmian. Trasy opisanych jest 21, lecz nieaktualnione są zmiany w przebiegu szlaków w okolicy Międzyzlesia i Boboszowa, choć we wcześniejszym przewodniku „Masyw Śnieżnika i Góry Bialskie” (wyd 2., rozsz.) tegoż autora uwzględnione zostały nowe szlaki. W takim razie, skąd ten błąd? Może zwykłe przeoczenie, które w tego typu publikacjach nie powinno raczej mieć miejsca, a może... lenistwo?

Oprócz tras pieszych, autor zamieścił, co również jest *novum*, cztery kruciusieńkie opisy tras szosowych dla zmotoryzowanych.

Przewodnik posiada 168 stron, zaś opis tras turystycznych zajmuje niecałe 30 strony. W takim razie, co takiego jest na pozostałych? Otóż to jest największym atutem przewodnika. Autor uraczył nas dosłowną uczcią krajoznawczą, bo takiego multum wiadomości w poprzednich jego publikacjach jeszcze nie było. Najpierw, co również świadczy o przełamaniu dotychczasowych konwencji, opisane są dwa miasta, jakie występują w południowej części Ziemi Kłodzkiej: Bystrzyca Kłodzka, Międzyzlesie oraz wieś Międzygórze. Opisy tych dwóch pierwszych są tak rozległe, iż autor podzielił je na kilka tematycznych podrozdziałków. Zatem, w opisie Bystrzycy natkniemy się na *Początki miejscowości*, następnie by poprzez *Wojny i nie tylko* oraz *Przemysł i współczesność* dojdzie do *Zabytków moc i czar*. Prawda, że już sam tytuł jest wielce urzekający. Znajdziemy tu wiadomości o ratuszu, figurze wotywniej, kościele paraf. św. Michała Archanioła i jego plebanii, murach obronnych, Muzeum Filumenistycznym, przęgierzu, Wieży Wodnej oraz wielu innych. Po tym następuje krótki, lecz praktyczny podrozdziałek: *Informacje praktyczne*. Również rozdział o Międzyzlesiu dzieli się na części, tyle, że na ciut inne, z których pewne tytuły są nader oryginalne: *Majątek roślin*.

Następnie, w rozdziale *Godne poznania też są...* autor w tradycyjny sposób, w alfabetycznym porządku, zgromadził dane o pozostałych miejscowościach.

Również i punkty węzłowe szlaków zostały w sposób wydatny opisane, tzn. jest tu więcej treści krajoznawczej niż poprzednio.

Oczywiście, wystąpiło kilka usterek. Poza wspomnianymi błędami, dotyczącymi nowych szlaków, istnieje jedna poważna: mimo usilnych starań autora, który w każdej publikacji i na każdym sejmiku pilnował, by imię, nieżyjącego już jego przyjaciela, Zbygniewa Marty-

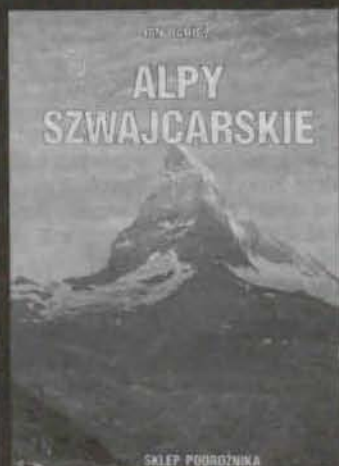
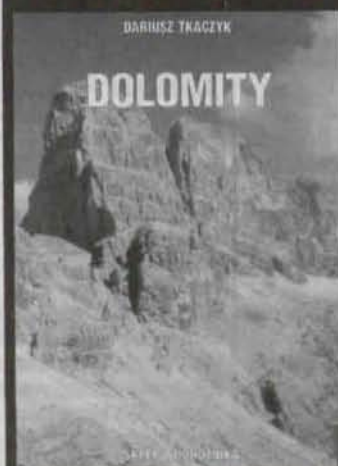
nowskiego, pisać (bądź wymawiać) poprawnie, tu, u samego autora, zdarzył się wypadek, bo w *Przedmowie* widnieje błędnie „Zbigniew”. No cóż, najciemniej pod latarnią.

Jest jeszcze kilka błędów, jak choćby ten: *Z obu stron spływają ku niej* [do Nisy Kłodzkiej – przyp. autora] *górskie potoki, wyraźnie większe od zachodu, jak Wilczka, Pławna czy Równica*, gdy tak naprawdę są to dopływy wschodnie. Ale i tak te niedopatrzienia w niczym, no, może w niczym, nie umniejszają bogatej treści turystycznej. Zapewne nawet najbardziej wszechwiedzący znajdą tu coś ciekawego dla siebie.

Mariusz Szatkowski

Krzysztof R. Mazurski: *Ziemia Kłodzka, część południowa*. OW Sudety: Wrocław 1996, ss. 168.

## NOWOŚCI SKLEPU PODRÓŻNIKA



**SKLEP PODRÓŻNIKA**  
**WARSZAWA**  
 Grójcka 46/50, tel./fax 224456  
 Kaliska 8/10, K1, tel. 226481  
 Kaliska 8/10, K2, tel. 225487

**KRAKÓW**  
 Szujskiego 2, tel./fax 218922  
 Jagiellońska 6, tel. 222640 w. 18  
 Dietla 68, tel. 212004

**OLSZTYN**  
 Pl. Jedności Słowiańskiej 9,  
 tel. 272034

**BIELSKO BIALA**  
 ul. Wzgórze 9, tel. 123648

# TURYSTYKA A PARKI NARODOWE (I)

Już same zadania statutowe parków narodowych na gruncie polskiego prawa ochrony środowiska i przyrody implikują złożony charakter zagadnienia, określonego w tytule, jak też niosą w sobie czynnik konfliktogenny. Spowodowane to jest ujęciem w nich celów, które w pewnej mierze są nawzajem wykluczające się, bowiem obejmują:

- ochronę konserwatorską istniejących, a uznanych za rzadkie lub unikatowe, zespoły przyrodnicze,
- ochronę szczególnie wartościowych zespołów krajobrazowych pod względem estetycznym,
- umożliwienie prowadzenia prac naukowo-badawczych w szczególnie wartościowych lub rzadkich zespołach przyrodniczych,
- zachowanie i udostępnienie wartościowych zespołów przyrodniczych dla wypoczynku i zwiedzania przez społeczeństwo,
- zachowanie szczególnie wartościowych obiektów kulturowych w otoczeniu wartościowej i unikatowej przyrody.

Nietrudno dostrzec, iż zachodzi kolizja między, przykładowo rzecz biorąc, ochroną konserwatorską możliwie pierwotnych zespołów przyrodniczych a ochroną (zachowaniem) znajdujących się w nich obiektów kulturowych (szczególnie budownictwa), które – mimo często swego dysharmonicznego charakteru w okresie powstawania, w miarę czasu nabierają swoistej patyny i wartości zabytkowej. Jeszcze większa kolizja zachodzi między celami ochrony przyrody a udostępnianiem jej dla wypoczynku i zwiedzania, gdyż absolutnie każda obecność człowieka w pierwotnym lub zbliżonym do pierwotnego środowisku niesie dlań zagrożenia, już to w postaci mechanicznego niszczenia gleby i jej roślinnego pokrycia wraz z drobniejszą fauną (w postaci nacisku stających osób), już to w możliwości zawleczenia obcych organizmów, w tym choćby roślin synantropijnych. Z tego też względu tereny parków narodowych należy uznać za typowe obszary problemowe, tj. tereny, na których zachodzi konkurencja i kolizja różnych celów działalności człowieka. Z uwagi na fakt, iż zachodzi bardzo duże zróżnicowanie co do typu środowisk przyrodniczych chronionych jako parki narodowe oraz form i zakresu innego użytkowania ich, nie ma jednolitej metodyki rozstrzygania konfliktów

opisanego typu. Nie należy też przypuszczać, by była ona ustalona i w przyszłości. Wiąże się to nie tylko ze zmianą zakładanych celów, możliwości (choćby finansowych) i przekształceń samego środowiska, ale i z kształtowaniem się cech niewymiernych, z których za najważniejszą należy uznać postawy moralne społeczeństwa. W tej bowiem kategorii dochodzi do przyjęcia pewnych koncepcji realizacyjnych, wpływających na pogodzenie różnych kolizyjnych funkcji. Jako zasadniczy problem powinno się tu postawić pytanie: na ile obecne pokolenie zobowiązane jest myśleć o pokoleniach następnych, jego potrzebach i oczekiwaniach?

Jako egzemplifikację można tu postawić hasło, sformułowane właśnie w zakresie ochrony środowiska: Jesteśmy dłużnikami naszych wnuków. Przyjęcie takiej postawy determinuje z kolei postulat realizacyjny, zawarty w następnym pytaniu: na ile jesteśmy (obecne pokolenie) w stanie zrezygnować z własnych korzyści, by z określonych dóbr/zasobów mogły skorzystać i nasze wnuki? Wnioski, wypływające z analizy powyższych zagadnień, powinny zawierać się w formie końcowej jako paradygmat użytkowania parków narodowych. Takiego paradygmatu nie ma, zaś faktyczne użytkowanie parków w ramach ogólnych przepisów prawnych ustalane jest na zasadzie praktyki, w której poszczególne (te same) argumenty mają zmienną moc ważącą, przy czym nie zawsze argumenty właśnie odgrywają zasadniczą rolę, a bardziej znaczenie grupy nacisku lub jej powiązania z decydentami.

Powyższa, skrócona z oczywistych względów, analiza teoretyczna sytuacji metodologicznej, nie została dokonana li tylko dla samej teorii. Przy podjęciu bowiem próby określenia własnej koncepcji modelowej była ona potrzebna dla podkreślenia niezwykle istotnego kroku, który musi bezwzględnie poprzedzać ustalenia zasad ruchu turystycznego, szczególnie na terenach górskich, cechujących się nadzwyczaj wrażliwym na antropopresję środowiskiem przyrodniczym. Krok ów to **określenie przez przyrodznawców stref/obszarów parku narodowego o różnej wartości przyrodniczej**. Powinien on uwzględniać następujące elementy:

- inwentaryzację przyrodniczą,
- ocenę wartości przyrodniczych w aspekcie regionalnoporównawczym (stwierdzenie rzadkości lub unikatowości

określonych cech) oraz moralnym, tj. na ile te wartości powinny być chronione, by przetrwały dla następnych pokoleń.

Ocena moralna implikuje bowiem konieczność ograniczenia lub rezygnacji z pewnych lub wszystkich działań na określonych obszarach. Osobiście jestem w pełni przekonany, iż opinia przyrodnicza musi odgrywać w tym zakresie rolę absolutną i cele ochrony przyrodniczej powinny mieć bezwzględny priorytet. W wypadku błędnej waloryzacji nie dojdzie bowiem do szkód – gdy będzie ona zawyżona, natomiast powstaną one, gdy ocena przyrodnicza ustąpi kryteriom innego typu, np. ekonomicznego. Straty, wyrządzone wówczas środowisku, mogą być usuwane wówczas przez długi czas lub w ogóle nie będą mogły być usunięte.

Obszary parków narodowych odznaczają się oczywistą zmiennością środowiska, a tym samym różną wartością poszczególnych swoich części. Dlatego też waloryzacja powinna wyodrębnić je w skali bardziej zróżnicowanej aniżeli czyni się to obecnie. Obowiązujące przepisy i stosowane zasady pozwalają w obrębie parku narodowego wydzielić tylko jedną formę ochrony ścisłej, a mianowicie rezerwy ścisłe bez dostępu turystów i zwiedzających. Wydaje się, że dla celów praktycznych, właśnie pod kątem użytkowania rekreacyjnego, należałoby zastosować nieco bardziej rozwinętą skalę dostępności, np. trzy- lub czterostopniową: zakazu całkowitego (rezerwy ścisłe), silnych ograniczeń ilościowych i jakościowych (dotyczy form przebywania), ograniczeń średnich i ograniczeń bardzo luźnych. Niezwykle istotne jest powołanie – obligatoryjnie, już w momencie powoływania parku narodowego, strefy ochronnej zwanej potocznie otuliną, obejmującej 10-15 km przedpola parku oraz przepisów szczególnych w strefie 20-25 km (np. specjalnego nadzoru i wymogów wobec obiektów zagrażających środowisku w formie emisji atmosferycznych czy ściekowych). Posiadając dopiero delimitację obszaru parku pod kątem jego waloryzacji, a tym samym dostępności dla turystów i zwiedzających, można przystąpić do dalszych prac limitująco-sterujących, dających ująć się w dwa etapy:

- określenie pojemności turystycznej, czyli maksymalnej ilości osób na danym terenie bez naruszania równowagi ekologicznej na nim,
- ustalenie form regulacji napływu turystów i innych osób odwiedzających park.

c.d.n.

Krzysztof R. Mazurski

Zgodnie z kilkakrotnymi zapowiedziami, spotkaliśmy się w dniach 31 maja – 2 czerwca br. z naszymi przesympatycznymi Czytelnikami w schronisku PTTK „Strzecha Akademicka” w Karkonoszach. Przybyło ich pięćdziesięciu, Redakcja stawiała się niemal w komplecie, bo zabrakło Aleksandra Lwowa, Andrzeja Matuszczyka i Przemysława Pilicha. Niektórzy już wcześniej wędrowali po najwyższym paśmie Sudetów, w czym sprzyjała wyśmienita pogoda – przez cały czas, bo co prawda w niedzielę rano wstawaliśmy w minorowych nastrojach (za oknem ulewa, mgła), ale rychło przejaśniło się.

W piątek wieczorem odbyliśmy spotkanie Czytelnicy – Redakcja. Mówiliśmy o swojej pracy, problemach i zamierzeniach, odpowiadaliśmy na pytania. Sporo pomysłów, które podsuwano nam i tzw. kuluarach, postaramy się wykorzystać. W sobotę wyruszyliśmy na szlaki, jak przystało na prawdziwych turystów. Grupę „uderzeniową” poprowadził członek KTG Oddziału Wrocławskiego Jacek Serkowski – do schr. PTTK „Odrodzenie” i z powrotem, oczywiście różnymi trasami. Trasę dla mniej rozruszanych powiódł mgr Maciej Gontarek, specjalista Karkonoskiego Parku Narodowego – do Słonecznika, potem nad Wielkim Stawem do Starej Polany i do schr. PTTK „Samotnia”. Tu odbyło się krótkie spotkanie promocyjne Karpacza, zorganizowane przez Grzegorza Cyganka, dyrektora tamtejszego Ośrodka Kultury i Informacji Turystycznej. W imieniu władz Karpacza zaprosił następnie na obiad – serdeczne dzięki! Następnie obie grupy zeszły się w „Strzesze” i tu na godz. 17 stawily się ważne osoby: dy-

rektor KPN Ryszard Mochola i jego zastępca Józef Szafran. W sposób przystępny, ale i wyczerpujący, przedstawili oni różne problemy Parku, zwłaszcza powstające na styku ochrona przyrody – turystyka. Posypały się pytania, rozwinęła się dyskusja, która zgromadzonym Czytelnikom wyjaśniła wiele kulis działalności, niewidocznej ze szlaku. Mimo dużego uznania dla gości, trzeba było ich wieczorem puścić do domu. A po kolacji – dalszy ciąg. Znany z naszych łamów Juliusz Wysłouch wyświetlił atrakcyjne przeżocza, których kompozycja dała namiastkę zajmującej wędrowki.

Atmosfera w „Strzesze” była wyśmienita, w czym główna zasługa jej wieloletniej kierowniczkii Aleksandry Domańskiej, wielu znanej jako Ola – z czasów AKT, Domku Myśliwskiego, wielu spotkań i rajdów. Duża kultura obsługi, grzeczność personelu na każdym kroku i wygodne pokoje sprawiły, że przy koleżeńskim zżyciu uczestników trudno było się rozstawać. Niektórzy jeszcze zostali, sporo ruszyło na Śnieżkę, inni przez Budniki wrócili do Karpacza. Miło nam było slyszec postulaty, by nie czekać następnych dziesięciu lat, ale już w przyszłym roku zorganizować II Zlot. Pożyjemy, zobaczymy! Zamiast podsumowania: niech żałuje ten, kto nie był!

Krzysztof R. Mazurski

P.S. Miło nam zakomunikować że II Ogólnopolski Zlot Czytelników i Sympatyków „Na szlaku” planuje się zorganizować na terenie Babiogórskiego Parku Narodowego (Beskid Wysoki) w dniach 29 maja – 1 czerwca 1997 r. Już teraz zapraszamy!



Juliusz Wysłouch (z plecakiem) w dyskusji z pracownikiem Parku Maciejem Gontarkiem (w tle Śnieżka). Foto: Piotr Dacko



Wspólne zdjęcie grupy J. Serkowskiego na tle Śnieżki. Foto: Ryszard Kuczer



Miejsce spotkania – Schronisko PTTK „Strzecha Akademicka”. Foto: Piotr Dacko



Odpoczynek pod Słonecznikiem. Foto: Ryszard Kuczer



Przy Słoneczniku. Od lewej: sekretarz redakcji i redaktor techniczny. Foto: Aleksandra Uchman



Odpoczynek z prelekcją na temat ochrony przyrody i ruchu turystycznego w Parkach Narodowych. Po turecku siedzi (drugi z lewej, w środku) Redaktor Naczelny  
Foto: Piotr Dacko



Wielki Staw, „Strzecha” i Śnieżka  
Foto: Piotr Dacko

# NA SZLAKU z Komisją Turystyki Górskiej ZG PTTK

## NOWE EUROPEJSKIE SZLAKI PIESZE

Tegoroczna majowa konferencja regionalna Europejskiego Związku Wędrownictwa w Jasnej (Niskie Tatry) połączona była między innymi z otwarciem pierwszego międzynarodowego szlaku pieszego nowego typu. Od kilku już lat na Kongresach EWV, podczas dyskusji plenarnych i w komisjach, podnoszono problem przyszłości sieci Europejskich Szlaków Dalekobieżnych – czy nadal je tworzyć, znakować i popularyzować.

Wykryształizowały się właściwie dwa stanowiska: pierwsze uznawało, że sieć jest już dość gęsta i poza 12 realizowanych szlaków nie należy wychodzić (dopuszczano tu jedynie możliwość tworzenia, czy mnożenia, wariantów tych szlaków), drugie opowiadało się za poszerzeniem sieci o nowe szlaki. Pierwsze stanowisko popierały głównie te kraje, które już mają dość gęstą sieć, głównie były to Niemcy, Szwajcaria, Francja i Polska; drugie – kraje, które najczęściej nie znakują szlaków w terenie lub uważają, że mają ich zbyt mało.

Ostatecznie przeważał pogląd, że szlaków jest dość. Problem tworzenia wariantów przebiegu w zasadzie pozostał nierozstrzygnięty, a właściwie decydują tu poszczególne kraje. PTTK stoi na stanowisku, że warianty są zbyt kosztowne w utrzymaniu, a frekwencja na szlakach nie uzasadnia takich działań.

Ponieważ wiadomo, że życie i tak powie swoje, okazało się, iż istnieje zapotrzebowanie na skromniejsze szlaki, nie tak długie i „transeuropejskie”. Zresztą w wielu krajach funkcjonują już różne międzynarodowe szlaki (vide nasza karkonoska „Droga Przyjaźni” czy inne szlaki graniczne). Cieszą się one na ogół sporym zainteresowaniem turystów. W tej sytuacji proponowaliśmy, wspólnie z sąsiednimi krajami, aby niektórym istniejącym, atrakcyjnym szlakom nadać rangę międzynarodową. Trzyletnie dyskusje doprowadziły do określenia ich założeń organizacyjnych. Przyjęto właściwie jedną zasadę, że taki szlak musi łączyć (prowadzić) przynajmniej trzy kraje

(właśnie dlatego, aby wyeliminować różne lokalne „drogi przyjaźni” – inaczej taka sieć byłaby nie do opanowania).

Ponieważ większość Europejskich Szlaków Dalekobieżnych wiedzie – przynajmniej w naszej części kontynentu – na ogół równoleżnikowo, brakowało atrakcyjnych tras prowadzących południkowo. Na poprzednich konferencjach regionalnych narodził się pomysł szlaku łączącego Polskę–Czechy (lub Słowację) i Austrię. Po dalszych studiach PTTK zaproponowało trasę z Częstochowy do Maria Zell i jej nazwę: „Międzynarodowy Szlak Pielgrzymkowy”. Po ustaleniu z grubsza jego przebiegu i określeniu przejść granicznych, przystąpiono do realizacji. I tu najbardziej pospieszył się Klub Turystów Słowackich, ponieważ zorganizował otwarcie swojego odcinka już w maju tego roku, podczas, gdy PTTK i ÖAV planują taką imprezę w przyszłym roku (faktycznie cały polski odcinek jest – poza drobnymi korektami – i tak wyznakowany od lat).

A więc kilka słów o otwarciu i samym szlaku. Uroczystość, bardzo skromna i kameralna, tylko z udziałem delegacji zagranicznych i przewodniczącego Komisji Szlaków EWV oraz kilku lokalnych działaczy KST odbyła się 25 maja w Levoči, na Mariańskiej Górze, która stanowi jedno z najważniejszych sanktuariów maryjnych w tym kraju, dodatkowo wstawione zeszłoroczną wizytą papieską. Sam kościół

jest wybitnie nieciekawym – neogotycko-neoromańska budowla z początku XX w., nie ma też żadnego interesującego wyposażenia, ale rozciąga się stamtąd wspaniała panorama miasta i rozległej okolicy.

Warto także podać, przynajmniej z grubsza, przebieg szlaku i obiekty pielgrzymkowe znajdujące się na nim lub w bezpośrednim sąsiedztwie (połączone krótkimi szlakami dojsciowymi). A więc „International Virgin Mary Pilgrimage Route” prowadzi od przejścia granicznego Lysa nad Dunajcem na polskiej granicy (Niedzica) w pobliżu Litmanové koło Starej Lubowni. Jest to ostatnio bardzo modne miejsce pielgrzymkowe, słynące też z objawień. Szczególne uroczystości mają tam miejsce w pierwszą niedzielę sierpnia.

Dalej na szlaku leży wspomniana już Levoča (uroczystości 2 lipca) i Spišský Nova Ves. Tutaj trasa wchodzi na jedyny słowacki szlak dalekobieżny „Powstania Słowackiego”, którym prowadzi już E8 (z Bratysławy na Przeł. Dukielską). Kolejnym miejscem pielgrzymkowym są Staré Hory koło Banskiej Bystrzycy. Tamejszy kościół powstał w XV w. jako późnogotycki, ale był kilkakrotnie przebudowywany, w tym zasadniczo na barokowy w 1722 r. W 1794 r. wzniesiono przy nim kaplicę. Wewnątrz jest znana figura MB (uroczystości religijne również odbywają się tu 2 lipca).

Kolejnym sanktuarium jest Rajeckí



Lesna na pd. od Žiliny. Przy neogotyckim kościele z lat 1860-63 zachowała się gotycka kaplica z początku XIV w. i kaplica barokowa z 2. połowy XVIII w. W kaplicy jest sławna gotycka figura MB z około 1500 r. Tutaj uroczystości odbywają się 8 września i w dzień Trójcy Świętej.

Nad Wagiem w pobliżu Trenčina wznosi się benedyktyńska Skalka, związana m.in. ze św. Świeradem. Jest to jedno z najważniejszych dla Słowaków miejsc kultowych. Została ufundowana w 1220 r. przez biskupa Nitry Jakuba I. Opactwo leży w ruinie, ale zachował się piękny kościół NMP ufundowany przez J. Thurzo w 1520 r. z kaplicą św. Doroty z 1713 r. Całość przebudowali wówczas jezuita. Najważniejsze uroczystości religijne mają tutaj miejsce 15 sierpnia.

Jednym z najokazalszych obiektów na szlaku jest kościół w Šaštíně. Pierwotnie gotycki, został zbarokizowany po 1685 r., natomiast klasztor paulinów w obecnej formie powstał w latach 1733-86 według projektu sławnego F.A. Hillebrandta. Zachował wspinały barokowy wystrój wnętrza, w tym gotycką figurę z 1564 r. MB podtrzymującej umierającego Jezusa, zwaną MB Siedmiu Boleści. Kościół ten w 1964 r. uzyskał tytuł bazyliki mniejszej. Główne uroczystości religijne odbywają się w bazylice 15 września.

Ostatnim miejscem pielgrzymkowym jest Marianka koło Bratysławy. Jest tu niewielki, ale bardzo sławny kościółek gotycki z 1377 r., rozbudowany w XVII w., a w 1877 r. regotytyzowany. Wśród barokowego wyposażenia uwagę zwraca znana gotycka figurka Madonny z końca XIV w. Dawny klasztor został w latach 1711-14 przebudowany na letnią siedzibę arcybiskupa Bratysławy. W sąsiedztwie są inne kapliczki i figury. Na Mariankę pielgrzymi najliczniej przybywają 8 września. Słowacki odcinek kończy się w Bratysławie, a ściślej na przejściu granicznym do Austrii.

Wydaje się, że tak pomyślany szlak będzie cieszył się zainteresowaniem turystów. Świadczą o tym już napływające zapytania o pozostałe odcinki. Nie jest to jedyny nowy szlak tego typu. Już obecnie władze EWV wymogły przygotowanie nowego szlaku „Adriatyk-Sudety”. W zamysle ma on połączyć wybrzeże Adriatyku w Słowenii (może nawet Chorwacji) z Polską. Na razie jego punkt początkowy jeszcze nie jest określony ostatecznie. Przy miarce dotyczą Rijeki lub Puli na pół-

wyspie Istria. W razie trudności zaczynałby się w Trieście. Dalej przez Austrię i Czechy doprowadzi na Przełęcz Międzyleską, a stąd najprawdopodobniej przez Góry Bystrzyckie, Stołowe, Sowie i Masyw Ślęży dojdzie do Wrocławia, gdzie spotka się z innym projektowanym szlakiem międzynarodowym.

Są to plany, ale już dość skonkretyzowane. Do ostatecznego rozstrzygnięcia pozostaje tylko sposób oznakowania tych szlaków. Proponujemy (i chyba tak zostanie to przyjęte), aby na grotach drogowych, na barwnym pasku, pisać literę „I” i numer szlaku – analogicznie jak przy szlakach dalekobieżnych, np. „E8”. Cały problem polega na tym, że dopiero na Kongresie w jesieni tego roku zapadnie decyzja, jakie numery będą nosić te szlaki. Dyskusja dotyczy problemu, czy zaczynać od 21 czy od 31.

A teraz krótka informacja na nieco inny temat. Otóż w majowym nr „Na szlaku” Mariusz Szatkowski martwi się bardzo w imieniu turystów czeskich i słowackich o możliwości poruszania się po szlakach na ich wspólnej granicy. Spieszę zatem uspokoić kol. Mariusza, że niepotrzebnie – przynajmniej na razie. Byłoby co prawda lepiej samemu to sprawdzić na miejscu przed napisaniem, ale to trochę daleko, więc go wyręczę. Jak dotychczas nie się tam nie dzieje niepokojącego. Ruch turystyczny odbywa się po starym, to znaczy – wszystkie szlaki biegnące wzdłuż granicy i dochodzące do niej są dostępne bez ograniczeń z obu stron. Turyści chodzą nimi bez przeszkód, przekraczają linię graniczną w dowolnym miejscu i wracają do siebie też w dowolnym miejscu. Nikt nie robi problemu jeżeli szlak graniczny prowadzi raz po jednej stronie granicy, raz po drugiej. Dokonano tylko niewielkich korekt przebiegu niektórych szlaków, które „cho-

dziły zygakiem”, niepotrzebnie przekraczając obecną granicę. Zrobiono to głównie ze względu na organizację prac znarkarskich, aby jednoznacznie było wiadomo, co do kogo należy. Większą korektę przeszedł tylko europejski szlak, też z tych względów.

Oficjalne przejścia graniczne obowiązują w ruchu drogowym i kolejowym, natomiast w górach jest normalnie. Oczywiście na dalsze wyprawy (poza strefą graniczną) obowiązują przepisy o przekraczaniu granicy. Nikt nie wspomina też o jakimś nasilonym przemyśle, zresztą co można przemycać między tymi krajami? Problemem natomiast staje się poziom usług turystycznych w Słowacji, która wyraźnie odstaje od tego, co dzieje się u nas czy w Czechach. Tam wszystko zdaje się trwać po starym. Większość obiektów jest zamknięta (dawne zakładowe domy i ośrodki, mnóstwo lokali gastronomicznych, kolejki i wyciągi). Zdaniem Słowaków nic się nie opłaca, a wszyscy ich rozkradają. Obsługa jest również nieskora do sprostania życzeniom turystów, a najchętniej widziane są zorganizowane grupy typu „wczasy zakładowe”. Jedyne co wyraźnie podniosło poziom, to ceny, ale to już inna sprawa.

Marek Staffa



Rohacz Ostry i Jamnicki Staw Wyżni w słowackich Tatrach Zachodnich. Foto: Piotr Mrugalski

# JUBILEUSZ 85-LECIA ODDZIAŁU PTT – PTTK „BESKID ŚLĄSKI” W CIESZYNIE

Jubileuszowe uroczystości odbyły się 15. 12. 1995 r. w reprezentacyjnej sali ratuszowej cieszyńskiego Urzędu Miasta. Na spotkanie przybyło prawie 130 działaczy turystycznych, przewodników, przodowników, nestorów turystyki i liczne grono gości z wojewodą bielskim prof. dr. Markiem Trombskim, burmistrzem Cieszyna dr. Janem Olbrychem oraz przedstawiciele KTG ZG i COTG PTTK, prezesi oddziałów PTTK z Bielska i Żywca.

Rys historyczny przedstawił prezes oddziału mgr Ryszard Mazur – prowadzący cieszyński oddział już dwadzieścia lat. Mówił o początkach ruchu turystycznego na Śląsku Cieszyńskim, których doszukać się można na przełomie XVIII/XIX w. Wspomnieć należy chociażby o podróżach i opisach dokonanych przez Michała Jerzego Mniszcha (1768), Franciszka Karpińskiego (1770), Ksawerego Bohusza (1777), Stanisława Staszica (1790), Kazimierza Brodzińskiego (1813), Apoloniusza Tomkowicza (1834), Wincentego Pola (1843), Ludwika Zejsznera (1849).

W 1910 r. książę pszczyński Ludwik Anhalt von Coethen z ks. pastorem Władysławem Rakowskim wyszli na Baranią Górę, prowadzeni przez wiślańskiego górala Jakuba Szarca.

Propagatorami turystyki, szczególnie w środowisku szkolnym, byli Andrzej Cinciała, dr Jan Niemiec, Jan Kotas, Jan Kubisz, Józef Joniec, Leopold Szersznik – to najważniejsze nazwiska znanych Polaków świadczące o wybitnych zainteresowaniach turystycznych i prowadzeniu turystycznego rozpoznania Beskidu Śląskiego. Wycieczki organizowane w tym czasie stanowiły bardzo istotny element wychowania patriotycznego.

Pierwsza organizacja turystyczna powstała w 1893 r. – był to aktywny niemiecki „Beskidenverein”. Jego celem było skupienie niemieckiej ludności w działaniach turystycznych i niedopuszczenie wszelkimi siłami do powołania polskiej organizacji turystycznej. Przeciwwstawieniem było wydanie przez ks. Antoniego Macoszka w 1901 r. przewodnika po Śląsku Cieszyńskim, napisanego piękną polszczyzną.

Po kilkuletnich przygotowaniach udało się wreszcie 6.03.1910 r. doprowadzić do walnego zebrania i założenia Polskiego Towarzystwa Turystycznego „Beskid” z siedzibą w Cieszynie. Na czele ówczesnego zarządu stanął mecenas Cyryl Ratajski z Raciborza (późniejszy prezydent Poznania). W 1913 r. otwarto pierwsze polskie schronisko na Ropiczce, zbudowane z drewna w stylu podhalańskim.

Przez długie lata – z przerwą wojenną – prowadzone są bogate tradycje PTT, a następnie PTTK przez Oddział „Beskid Śląski”, który w 1921 r. połączył się z Polskim Towarzystwem Tatrzań-

skim. Po wielkim rozkwicie w latach siedemdziesiątych (Oddział liczył wtedy ponad 4000 członków skupionych w 78 kołach) nastąpiły lata chude i obecnie ma on niespełna 1000 członków zrzeszonych w 28 kołach terenowych, zakładowych i szkolnych. Kadre stanowi 66 przewodników oraz 103 przodowników, instruktorów, organizatorów turystyki i znakarzy szlaków górskich. Działa też Tur. Klub Narciarski „Watra” (zał. 1921), Tur. Klub Kolarski „Ondraszek”, Tur. Klub Żeglarski „Sternik” oraz Klub Górski i Koło Przewodników.

Uroczystość jubileuszowa była też okazją do wręczenia licznych odznaczeń i wyróżnień. M.in. Złote Honorowe Odznaki PTTK otrzymali: Karol Gilar, Jerzy Niemczyk i Jerzy Skoczylas, a Złote Odznaki „Zasłużony Pracownik PTTK” – Maria Czyż i Alojzy Szupina, zaś Medal KTG ZG PTTK: Oskar Ciompa i Alojzy Szupina. Legitymację Honorowego Przodownika Górskiego otrzymał Ryszard Mazur.

Spotkanie zakończono podsumowującym pokazem przeżroczony dotyczących historii turystyki i schronisk na Ziemi Cieszyńskiej w wykonaniu niżej podpisanego.  
Alojzy Szupina



Mnichy Chochołowskie. Foto: Zdzisław J. Zieliński

Bazy namiotowe PTTK w 1996 roku

Nazwa bazy	Położenie	Oddział Klub	Okres otwarcia	Najbliższe przystanki PKS	Najbliższy sklep spożywczy	Ilość miejsc, namioty	Rezerwacja	Inne informacje
<b>Lubań</b>	Polana szczytowa na Lubaniu w Gorcach	Oddział Akademicki PTTK w Krakowie Studenckie Koło Przewodników Górskich	26.06 - 30.08	PKS Grywałd, PKS Ochotnica Dolna	Grywałd, Ochotnica Dolna	56 namioty 2-3 osobowe	Oddział Akademicki PTTK w Krakowie, ul. Radziwiłowska 21 tel.: 0-12227003 w sezonie: 34-444 Grywałd 220	Kuchnia w wiacie pole namiotowe
<b>Gorc</b>	Hale Gorcowskie na stokach Gorca w Gorcach	Oddział Akademicki PTTK w Krakowie Studenckie Koło Przewodników Górskich	01.07 - 31.08	PKS Lubomierz Przysłop, PKS Ochotnica Dolna Gorcowe	Ochotnica Dolna Gorcowe	50 namioty 3-4 osobowe	Oddział Akademicki PTTK w Krakowie, ul. Radziwiłowska 21 tel.: 0-12227003	Kuchnia w namiocie pole namiotowe
<b>Radocyna</b>	Radocyna w Beskidzie Niskim	Oddział Akademicki PTTK w Krakowie Studenckie Koło Przewodników Górskich	01.07 - 31.08	PKS Krzywa PKS Wyszowadka	Konieczna Krzywa Hotel Nadleśnictwa w Radocynie	30 namioty 10 osobowe	Oddział Akademicki PTTK w Krakowie, ul. Radziwiłowska 21 tel.: 0-12227003	Kuchnia w wiacie pole namiotowe
<b>Klekociny</b>	Przel. Klekociny Koszarawa w Beskidzie Żywieckim	Oddział Akademicki PTTK w Częstochowie SKTG „Yeti”	01.07 - 31.08	PKS Koszarawa Bystra	Koszarawa Bystra	30 namioty 10 osobowe	Oddział Akademicki PTTK w Częstochowie, ul. Akademicka 5 w sezonie: Chowaniak Adam 34-223 Zawoja 1023	Kuchnia w wiacie pole namiotowe prysznic
<b>Jędrus</b>	Zawoja Bębny Górne w Beskidzie Żywieckim	Oddział Akademicki PTTK w Częstochowie SKTG „Yeti”	01.06 - 22.09	PKS Zawoja Widły	Zawoja	30 namioty 10 osobowe	Oddział Akademicki PTTK w Częstochowie, ul. Akademicka 5 w sezonie: Chowaniak Adam 34-223 Zawoja 1023	Kuchnia w wiacie pole namiotowe
<b>Górowa</b>	Polana Górowa pod Piłskiem w Beskidzie Żywieckim	Oddział Międzyuczelnian. PTTK w Katowicach Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich	15.06 - 15.09	PKS Korbiełów PKS Sopotnia Wielka	Korbiełów Sopotnia	70 namioty 10 osobowe i w budynku	Oddział Międzyuczelnian PTTK w Katowicach, ul. Dyrekcyjna 10/5 0-321538558	Kuchnia i świetlica w budynku prysznic
<b>Głuchaczki</b>	Przel. Głuchaczki w Beskidzie Żywieckim	Oddział Międzyuczelnian. PTTK w Katowicach Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich	22.06 - 30.08	PKS Przyborów Moczarki	Przyborów-Moczarki	40 namioty 10 osobowe	Oddział Międzyuczelnian PTTK w Katowicach, ul. Dyrekcyjna 10/5 0-321538558	Kuchnia w wiacie pole namiotowe prysznic
<b>Wały</b>	Polana Wały pod Krzysztonowem w Beskidzie Wyspowym	Oddział Międzyuczelnian. PTTK w Katowicach Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich	29.06 - 01.09	PKS Białe PKS Pólrzeczki	Białe	20 namioty 10 osobowe	Oddział Międzyuczelnian PTTK w Katowicach, ul. Dyrekcyjna 10/5 0-321538558	Kuchnia w wiacie pole namiotowe prysznic
<b>Jaskinia Radochowska</b>	obok Jaskini Radochowskiej w Górach Złotych	Oddział Międzyuczelnian PTTK w Poznaniu AKG „Halny”	01.07 - 31.08	PKS Radochów	Radochów	30 namioty 10 osobowe i namioty małe	Oddział Międzyuczelnian PTTK w Poznaniu ul. Kramarska 32	Kuchnia w wiacie pole namiotowe
<b>Nowa Morawa</b>	między Górami Białskimi a Masywem Śnieżnika	Oddział Międzyuczelnian PTTK w Poznaniu AKG „Halny”	01.07 - 31.08	PKS Bolesław	Bolesław	30 namioty 10 osobowe	Oddział Międzyuczelnian PTTK w Poznaniu ul. Kramarska 32 w sezonie: Nowa Morawa 3 57-550 Stronie Śl.	Kuchnia w wiacie pole namiotowe

Informacje podano na odpowiedzialność oddziałów PTTK organizujących bazy



# Weroniki Sobolewskiej i Szymona Płazy PANOPTICUM GÓRSKIE

Niewiele wiadomo o życiu i twórczości Michała Morzkowskiego (podpisywał się także: Morzkowski). Nieznana jest data jego urodzin, sporna jest data zgonu, który nastąpił albo w 1868 albo w 1870 r. Pochodził z rodziny szlacheckiej, urodził się w Rybienkach nad Bugiem, do gimnazjum uczęszczał na Lesznie w Warszawie i tam kolegował się z bardziej późniejszą od niego znanymi poetami: Felicianem Faleńskim i Włodzimierzem Wolskim. Był więc ich rówieśnikiem, z czego można wnioskować, że urodził się około 1824 r.

szerokie, przeto istotnie potrafił wiele dostrzec. Miał przy tym niewątpliwie talent narracyjny. O swoich podróżniczych doznaniach opowiadał ciekawie i żywo, stanowiący zatem część *Wspomnień z podróży w północnych Niemczech* szkic *Tydzień w górach Harcu* (tamże, s. 5-43) jest i dziś lekturą tym bardziej zajmującą, że w sternowskiej manierze autor sam z siebie potrafił czasem kpić, żartobliwie traktując swoje turystyczne pasje i romantyczne doznania. Wartość wspomnień Morzkowskiego polega jednak i na tym, że dobrze

Halberstadt. Lubo nie po raz pierwszy wsiadałem na parowóz, nie pamiętam, ażebym kiedy doznał żywszej przyjemności jazdy, jak natenczas [s. 5-6].

[...]

Nazajutrz o jedenastej z rana stanąłem w Ilsenburgu, miasteczku położonym u stóp samego Brocken, najwyższej góry Harcu, którą jakby dla śmiechu nazwano okruszyną (Brocken). Piękna pogoda ustalała i drobny deszczyk zaczął padać. Chcąc przeczekać ten nieprzyjazny wypadek do podróżnego pieszego i polu-

## Romantyczna wycieczka na szczyt Brockenu

Zaangażowany był w ruch patriotyczny, warszawski zaś dom jego rodziców odegrał pewną rolę w życiu literackim jako miejsce spotkań grupy literackiej znanej pod nazwą Cyganerii Warszawskiej, działającej w latach 1839-1843. Gdy policja deptała po piętach jego przyjaciółom, chronili się oni we dworze w Rybienkach, co miało znaczenie zwłaszcza w 1843 r., gdy w Królestwie Polskim nastąpiło rozbiście akcji spiskowej. Wiadomo, że przyznał się z Teofilem Lenartowiczem, znał na pewno Cypriana Norwida. Był poetą, dramatisarzem i prozaikiem, ale tylko jedna jego literacka praca osobno została wydrukowana (o niej tu będzie mowa). Wiersze w czasopiśmie i almanachach drukował (ale i tych było niewiele) od 1843 r., jego twórczość poszła jednak w całkowite niemal zapomnienie i niewielkie wzbudziła zainteresowanie wśród historyków literatury, być może zresztą niesłusznie. Wiadomo o nim jeszcze tyle, że odbył podróże do Niemiec w 1845, 1846 i 1857 r., że w 1848 r. ożenił się z Walerią Malletską, która po jego śmierci wyszła za mąż za Władysława Marrené i stała się pod jego nazwiskiem znana w historii literatury i kultury jako jedna z aktywnych feministek.

Najciekawszą z literackich prac Michała Morzkowskiego są na pewno drukowane najpierw w „Dzwonie Literackim”, potem w osobnym wydaniu książkowym w Warszawie w 1856 r. *Wspomnienia z podróży w północnych Niemczech*. W interesującym do nich wstępie autor sam siebie określił mianem „wojżera dyletanta”, z pewnością jednak nim nie był, umiał bowiem na świat patrzeć i obserwując krajobraz dobrze wiedział, że „nie tylko na kartach książki, ale i na ziemi można doczytać się prawd filozoficznych” (s. 42) i budować z nich uogólnienia o znaczeniu szerszym. Umiejętność bowiem romantycznej egzegezy krajobrazu – „czytania w księdze natury”, Morzkowski posiadał w stopniu bardzo wysokim, że zaś był dobrze wykształcony, znał literaturę niemiecką i zainteresowania miał

obrazują one przemiany, jakim uległy w połowie XIX w. style zachowań podróżniczych. Morzkowski myślał i czuł bardzo romantycznie (jakie to romantyczne: czytać *Fausta* na Brockenie), zauważył jednak, że w kulturze popularnej połowy wieku XIX wielkie wartości kultury romantycznej ulegają degradacji i spauperyzowaniu. Ten kryzys romantyzmu trochę go śmieszył, trochę jednak także irytował. Zarazem ciekawe są jego uwagi o oglądanym krajobrazie i sposobie reagowania na rozległy widok ze szczytu, przypominają one bowiem trochę refleksje Stanisława Staszica o panoramie roztaczającej się z tatrzańskiego Krywania („Nic nie widzi oko, kiedy razem widzi wszystko”). I właśnie te elementy postawy podróżopisarza sprawiają, że jego wspomnienia z wyprawy na Brocken w Górach Harcu mogą i dzisiaj być interesujące. Oddajmy zatem głos Michałowi Morzkowskiemu...

\* \* \*

„Przejeżdżając w zeszłym roku przez Magdeburg, ze szczytu sławnej w tym mieście, niegdyś katedralnej, wieży, zobaczyłem jakby we mgle niebieszczyjące z dala kształty fantastycznego Harcu. Patrzałem długo w ową stronę, dzwonnik, pokazujący osobliwości świątyni, brzydki, ale grzeczny Niemiec, nie znając stanu moich geograficznych wiadomości, wyciągnął w kierunku mego nosa indeks i tonem nadętym objaśnił, że to są sławne góry Harcu.

Udawszy nieświadomca w tym przedmiocie, nic na to nie odrzekłem, przewodnik ciągnął dalej i zaczął nieskończone opowiadanie o kopalniach srebra, o czarownicach, o jakimś leśniku z dużymi wąsami, co wskrzesza umarłych i sławnie strzela, nareszcie zaczął mówić o sobie, Francuzach, wojnie w trzynastym roku itp. Przerwałem te gadaniny i spytałem, o której godzinie wychodzi kolej do Halberstadt.

– Punkt o jedenastej.

Nie czekałem nic więcej i wsunąwszy złotówkę dzwonnikowi rozkiełznanej gadatliwości, śpiesznie podążyłem na ulicę. W pół godziny wysmukła i zgrabna lokomotywa przewoziła mnie do

jącego na piękne widoki natury, wstąpiłem do oberży, gdzie zamówiwszy śniadanie, spytałem gospodarza, czy dostanę mułów lub przewodnika na Brocken. Gospodarz zdziwiony wytrzeszczył na mnie oczy i odpowiedział dosyć grzecznie, że lubo są dwa muły w stajni, jednak radzi mi odłożyć nieco mój zamiar, dodając jeszcze grzeczniej:

– Zanoszą się na wielką słotę, zamiast przyjemności, mógłby się pan zażębić, dostać kataru, a co najgorsze, nie widzieć oprócz niezgrabnych uszu muła, bo zwykle podczas deszczu wielka mgła otacza do pół wysokości górę.

Już od dawna doktorzy mówili mi, że jestem żółciowym, że powinienem strzec się wszelkiej irytacji umysłowej, zwiększającej to usposobienie, pamiętam o tym w każdej chwili, lecz natenczas nie mogłem wstrzymać zgrzyźliwości, która mnie napadła i uczulem, jak mi się gorzko zrobiło, odpowiedziałem więc oberżycie:

– Pomyśl pan tylko o śniadaniu, bo co się tyczy podróży, to rzecz moja, a w duszy dodałem: choćbym miał całą drogę marznąć i widzieć tylko uszy muła, wolę jechać, niż siedzieć w tej smutnej, ciemnej izbie i patrzeć na twoje, wprawdzie nie mule, ale osłe, uszy.

Tymczasem deszcz nie ustawał, klimatologiczny stan oddziaływał na mnie w sposób przerażający; chciałem koniecznie się rozerwać, doznać jakiegoś wrażenia, jakiej zmiany, powiedziałem więc ostatecznie gospodarzowi, że żądam przewodnika i mułów na Brocken.

– Ależ ośmielę się jeszcze raz zwrócić jego uwagę na pogodę, widno nie musiałeś pan wiele podróżować w górach, mało kto odważyłby się dziś udać do Brockenu. Ludzie, którzy stamtąd nad ranem przybyli, mówią, że wiatr północny się zerwał i śnieg nawet prószy.

Śnieg prószy, pomyślałem, tym lepiej, jeszcze też nigdy nie widziałem śniegu we wrześniu, będzie to zawsze coś nowego, nie chcąc jednak uchodzić w mniemaniu oberżysty za półgłówka, odpowiedziałem:

- To są fraszki, ja dziś muszę koniecznie być na Brocken, mam gwałtowny interes.

- Interes?... interes? ... - bąknął zdziwiony Gastwirh.

- Tak jest, panie, interes, rendez-vous.

- A to co innego, zapewne z tą bladą Angielką, która wczoraj najęła stąd muły i udała się do Brocken.

Śnieg we wrześniu i blada Angielka, dwa niespodziewane dodatki do widoków natury, tym lepiej - jeszcze raz pomyślałem, pojedę więc natychmiast i czułem, jak widocznie system zólciowy tracił na sile dodatniej.

Droga z Ilsenburga (*chaussé*) na szczyt góry dosyć wygodna, kręci się ślimakiem i na trzy czwarte drogi łączy się z drugą z przeciwnej strony szosą, która prowadzi do Elbigerode. Żeby nie nudny deszczem i wilgotne powietrze, byłbym niezawodnie więcej miał czasu zachwycać się nad ciemnymi lasami, skałami i szumiącymi spadkami, przez które wypadalo przejeżdżać, lecz przy takiej pogodzie musiałem ciągle myśleć [!] to o nieposłusznej czapeczce, chcącej gwałtem złożyć uszanowanie tej dzikiej okolicy, to o krótkim kołnierzu aksamitnego surduta przepuszczającego deszcz z flegmatyczną grzecznością na części werbelarne mojej osoby [...]. Nie ujechaliśmy kilkuset kroków, gdy mój towarzysz zwrócił moją nieco zakapturzoną uwagę na wysoką skałę wystającą spoza drzew, a która w fantastycznych kształtach rysowała się na zachmurzonym przestworzu. Wierzech tej wysokiej, piramidalnej skały zakończony był żelaznym krzyżem; istotnie zadziwiający był, jak mogła ręka ludzka tam go umieścić. Właśnie, gdy chciałem o to spytać mego towarzysza, przewodnik odgadując myśl, nie czekał na zapytanie i tonem właściciela menażerii powiedział:

- Ta skała nazywa się Ilsenstein, ma przeszło 300 stóp wysokości; często ogromne złomy z hukiem odpadają i dlatego tak nieregularna; dawniej w Dzień Zaduszny schodziły się tu diabły i czarownice, ale od czasu, gdy hrabia Antoni Stolberg - Wernigerode, ein Volkswater, krzyż ten żelazny postawił, odtąd skała stoi spokojnie, a diabłów i czarownic ani śladu.

[...]

Ujechaliśmy już o półtora tysiąca stóp wysokości, deszcz nieco ustał, ale za to wiatr stawał się coraz dokuczliwszym i jakieś mglisto-wilgotne powietrze przejmowało do kości. Okolica była coraz dziksza, wegetacja nawet nie tak bujna; karłowate drzewa północnej strefy naginane od wiatru, tu i ówdzie wyglądające złomy omszonego granitu i szum spadających ze wszech stron strumieni, zmieszane z krzykiem dzikiego plectwa, smutne jakieś wrażenie czyniły. Uczułem tęsknotę za zielonymi i złotymi równinami Powiśla, ta zdębiała i granitowa natura nie harmonizowała z wychowawcem pól. Wszędzie było jak pustol! Żeby choć spotkać jaką żywą duszę z „niech będzie pochwalony” na ustach. Ale gdzie tam, chyba jaki węglarz przemknął się niby symbol złego i niknął w lesie. Nieraz, jak taka okopconca postać zaszła ku nam, chciałem się prze-

żegnać i odpędzić szatana zaklęciem, lecz w tej chwili zimna refleksja przychodziła i myślałem sobie:

- To jakiś biedny węglarz, nawet do niemieckiego diabła niepodobny, może ochotniejszy do przyjęcia kilku groszy na tabakę, jak na duszę chrześcijanina.

Ale bo też Matko Boska Staroskrzyńska, miej ich tam w swej opiekę! Musieli ludzie stron owych wiele złego nabroić, kiedy do dziś dnia tyle diabelstwa w nazwiskach i pamiątkach tamtejszych. Co dziesięć kroków można spotkać jakiś kawał skały, jakieś drzewo itp., gdzie czarownice lub diabły dawały świadectwo bytności. I tak: tu kamień, na którym Mefistofeles rozdawał i pieczętował ekspedycje piekielne; tu równina, na której diabły z czarownicami walcowali; tam znów dąb, w którym piszczący zakłętą duszą, a którego żadną siekierą ściąć nie można. Tyle tam tych Teufelsburg, Teufelsmauer, Teufelskanzel, Steinere Hölle, Hexentanzplatz, że oprócz dobrze okutego kija, ani się rusz bez kropidła, mianowicie w wieczór, bo inaczej nie opędzisz się tej piekielnej hałastrze.

Nędzna budka jakiegoś węglarza zatrzymała nas na chwilę. Chcąc nieco odpocząć i zaspokoić pragnienie zimną wodą, której bijące nieopodal kryształły nęciły świeżością, zsiadliśmy z mułów i weszli do chaty. Oprócz węglarza i dwójki kopcuszków na wpół nagich, siedzących w kącie izdebki, przed kominkiem stało dwóch tyłem do nas odwróconych ludzi. Z ubioru jednego z nich domyśliłem się, że musi być *cicerone*, ale przynajmniej stron tych mieszkaniec, drugi wyglądał na podróżnego. Po zwykłym przywitaniu nastąpiła krótka pogawędka w „Plattdeutsch” między dwoma krajowcami, z której domyśliłem się, że na Brocken śnieg i zimno, i że podróżni od wczoraj tam przybyli siedzą w oberży i zamiast napawać się rozkoszą widoków, patrzą na gołe ściany, palą fajkę lub muchy łapią” [s. 10-14].

\* \* \*

Brak miejsca uniemożliwia nam, niestety, przytoczenie całości tej trochę zbyt obszernej relacji Morzkowskiego, pewne jej więc fragmenty musimy streścić. Otóż spotkaliśmy w chacie węglarza podróżnym okazał się uczonego botanik, profesor przybyły do Harzu z Berna, który „odbywał w tych stronach ekskursję naukową, dźwiżył duży zielnik, przy tym z kieszeni wyglądał mu kilka świeżych i jeszcze nierozpostartych roślin”. Śpieszył się on bardzo do Wernigerode i udało mu się Morzkowskiego uprosić, by ten, odstąpiwszy mu swego muła, resztę wycieczki na górę odbył pieszo. Wdzięczny za to, że Morzkowski się zgodził, tytułować go począł ów uczonego „grafem”, wyciskał, dał „jakis kawalek chwastu na pamiątkę” i zalecił przewodnikowi, by polskiego wędrowca wprowadził na szczyt drogą najkrótszą. Jakoż istotnie, drogą uciążliwą, „niemiłosiernie przykrą, śliską i skalistą ścieżką”, wśród padającego śniegu, w zimnym wietrze utrudniającym oddychanie („co pięć minut nieomal musiałem się zatrzymać, by nabrać świeżego zapasu powietrza, którego mimo przyspieszonego oddychania zdawało się, że

zabraknie”), po dobrej godzinie znalazł się nasz bohater na Brockenie i wszedłszy do oberży, zażądał od jej gospodarza ciepłej stancji i ciepłego piwa. O tym, czy je otrzymał, mowy we wspomnieniach nie ma, z dalszej jednak relacji wynika, że piwo zapewne się znalazło, wolnego natomiast pokoju nie było. Ledwie Morzkowski zabrał się do suszenia przemoczonej garderoby, już nastąpił obiad. Towarzystwo zebrane przy stole okazało się równie nieciekawe, jak serwowane przez oberżystę potrawy. Było tam dwóch studentów z Getyngi, oficer straży leśnej, jakiś tusty jegomość, jakiś mężczyzna w towarzystwie damy oraz para Anglików. Czy była to para małżeńska, tego Morzkowskiemu stwierdzić się nie udało, w czasie całego bowiem obiadu nie odezwali się nawet słowem. W dodatku „blada Angielka była nieskończenie chuda i brzydka, a co do jej wieku, to by nawet autor romansu *La femme de trenté ans* [Balzac, *Kobieta trzydziestoletnia*] nie mógł mieć pretensji”. Obiad „przeszedł w cichości”, że zaś pogoda się nie poprawiła, przeto każdy sobie po nim sam szukał zajęcia. Angolicy „zajęli się przerzucaniem pięknie oprawnych keepsaków [toreb podróżnych]”, gruby Niemiec wyszedł zobaczyć, czy barometr nie spada [!], acz raczej go powinno być interesować, czy się nie podnosi, studenci zabrali się do warcabów, piwa i fajek, Morzkowski zaś, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, jał przeglądać „dwie duże księgi”, w które od kilku lat wpisują się podróżni zwiedzający Brocken. Tak przebiegłszy kilka stron, oddajmy znów głos Michałowi Morzkowskiemu, by poznać jego uwagi o wpisach poczynionych do tych ksiąg, dają one bowiem obraz nie tyle romantycznej turystyki, ile stawania się przez nią w połowie XIX w. przejawem kultury popularnej.

\* \* \*

„Zdaje się, że nie ma nic nudniejszego, jak czytać nieskończoną liczbę nazwisk nieznananych, czasem nawet niewyraźnie napisanych; jest to na pozór praca, która by najzapaleńszego paleografa odstęrczyła: - byłoby to może i prawdą, gdyby każde nazwisko stało tam napisane samo bez dodatku i objaśnienia. Ale we wszystkich takich [księgach] oprócz czwyczych nazwisk, pełno jest komentarzy, które mają swoją stronę fenomenologiczną, czasem bardzo śmieszną i zajmującą dla miernej nawet refleksji.

Przerzucając wielką księgę podróżnych na Brocken zdawało mi się patrzeć na rozmaite postaci i indywidualności społeczeństwa, przesuujące się niby w latarni magicznej ze swymi ułomnościami, drobiazgami, słowem, z całą charakterystyką właściwej fizjologii. Ten napis np.: *Rentier Müller aus Braunschweig, Seine Frau und Tochter dto.* To nic innego, tylko jakiś pocziwy tusty Niemiec, który chcąc zrobić żonie i córce przyjemność, wymyślił *eine schöne Partie* w Góry Harcu i nareszcie, jak weksel na terminie, w dzień imienia lub urodzin szanownej małżonki zrealizował obietnicę.

*John Dundrej of London.* Także znana figura wyspiarza z cygarem w ustach, lornetką w oku i opisem w kieszeni,

zachwycającego się na komendę, nudzącego na zawołanie, który podróżuje dla stracenia spleenu lub w celu znalezienia wygodnego miejsca, aby wypalić z pistoletu do własnej głowy.

W księdze podróży na Brocken nie tyle różnorodności, co w innych tego rodzaju księgach, miejsce nie jest tak przystępne i uczęszczane, jak gdziekolwiek w innych stronach, najwięcej też można spotkać nazwisk niemieckich i to jeszcze studentów; z obcych gdzieś tam angielskie i na tym koniec, lubo i tu znalazłem francuskie i polskie wpisy.

Pewna Francuzka napisała: *Non jamais, jamais! Je n'oublierais le Brocken, en songe seulement on voit des pareilles beautés. [Nie, nigdy, nie zapomnę Brocken; we śnie tylko zobaczyć można podobne piękności]*. Jakiś dowcipniś lub może towarzysz podróży dopisał:

*Ma toute charmante*

<i>Tu voyages</i>	<i>[Mojaś ty czarująca]</i>
<i>En volage</i>	<i>Podróżujesz</i>
<i>Et tu crois</i>	<i>Roztrzępana</i>
<i>Que tu vois</i>	<i>I wierzysz,</i>
<i>Quelque chose</i>	<i>Że cokolwiek</i>
	<i>Widzisz]</i>

W ostatniej księdze z bieżącego roku natrafiłem na jakąś niesmaczną tyradę mego współziomka. Niżej naskarżywszy się do woli na zły obiad, przykrą drogę i zawód, jakiego doznał, kończył płaskim dowcipem, że lubo cieszy się, iż jest bliżej nieba, nie życzyłby sobie jednakże w nim się znajdować, sądząc, że tam być musi jeszcze zimniej jak na Brocken.

Gdy skończył przerzucać księgi, wszyscy goście, wyjąwszy studentów, opuścili salę; spojrziałem na zegarek, indeks wskazywał wpół do dziewiątej; na spoczynek było za wcześnie, dobyłem więc z kieszeni *Fausta* i wyciągnąwszy znużone członki na drewnianej ławie zacząłem po raz setny czytać ulubione miejsca. Filozof i teolog z Getyngi nucili nieznośne piosenki, odwilżając, bezustannie niewdzięczne gardło ciemnym bawarem, aż nareszcie jeden z nich, idąc za moim przykładem, rozciągnął się na stole i kończąc resztę fajki, domrukiwał niezrozumiałą piosenkę.

Znużonego podróżą sen mimowiednie pochwylił. *Faust* wysunął się z ręki i stan pozorowego bezruchu jaźń moją owładnął [s. 18-20].

[...] Sen miałem okropny, złożony z samych żywiołów zniszczenia i śmierci, i pewny jestem, że najlepszy *Sennik warszawski* nie wytłumaczyłby i połowy. W najtragiczniejszej części snu, w chwili kiedy dwanaście czarownic, wyjąwszy poprzednio żelaznym hakiem serce, deliberowało nad stosownym miejscem do rzucenia mnie w przepaść, loskot prawdziwy jakby spadającego ciała na ziemię przeszkodził czarownicy dopełnić złośliwego aktu, a ja na dobre przebudzony, porwałem za laskę podróżną i w obronnej stanąłem pozycji. Słabe światło dogorywającej na stole świecy dozwoliło mi wkrótce poznać przyczynę loskotu. Student leżący na ławie, niepokojony snem czy też piwem bawarskim nad miarę użytym, straciwszy równowagę, nieświadomym ruchem potoczył się na ziemię i na podłodze dokańczył jakiegoś zaklęcia.

Rozgniewany dwojako tym wypadkiem, raz, że się przebudził, po wtóre, że przerywany mi został sen, którego końca mocno byłem ciekawy, szczególnie co do mojego *Ja* rzuconego w przepaść, poprawilem gasnącą świecę i wpisałem do notatek *ad generalia* kilka uwag wcale nie pochlebnych o studenterii niemieckiej. Istotnie wstyd patrzeć, jak połowa młodzieży uniwersytetów niemieckich marnuje czas poświęcony naukom, a marnuje na knajpowaniu, piciu i bezczelnym próżniactwie. Przy dzisiejszej cywilizacji cała nawet ekscentryczność studencka straciła powab i wygląda, jak wypłowiła Arlekina suknia. Minęły czasy rozbojników Schillera; nie ma dziś Werterów, zabijających się z miłości i tęsknoty; śpiewak Becker, dostawczy od króla pruskiego złoty puchar, zapil śpiewającą strunę i umarł w nędzy i zapomnieniu; Fallersleben nawet już umilkł, – z całej więc epoki rycersko-neapolitańskiej zostało tylko wspomnienie i kilka piosenek okopconych dymem i zatopionych w morzu piwnych libacji" [s. 20-21].

\*\*\*

Innych wrażeń noc spędzona w jadalni na ławie już naszemu turyście nie dostarczyła; zapewne po owym incydencie z pijanym studentem nic już mu snu nie zakłóciło. Prawdziwie jednak godne uwagi i na pewno przyjemniejsze doznania przyniósł mu poranek.

\*\*\*

„O szóstej z rana wszedł gospodarz do stacji i zbudził podróżnych pomysłą nowiną, że w nocy nastąpiło przesilenie się niepogody i że zbiera się na najpiękniejszy dzień jesienny. Całe towarzystwo wkrótce było na nogach i jak kto mógł, spieszył na wieżę, żeby zobaczyć okrzyczany i rzadko pogodnie widziany wschód słońca na Brocken.

Nad głowami było jeszcze ciemno, gwiazdy jedne dogorywały, drugie osłonięte resztkami rozbijających się tumanów czasami blade zabłyśły i znów, niby iskry zasnutę popiołem, niktęły. W dole jakby przepowiednie rychłego słońca zaczęły bielić się chmury, a mgły osiadłe, podobne do falujących bałwanów morza, przelewając się z jednych na drugie, rozmaite, widoczniejsze grupowały kształty. Niewiele czasu upłynęło, a złote słońce jaskrawym płomieniem niby kula przesyłało mgły najniższe i purpurowym ogniem zaczęło czyścić horyzont. Co chwila widnokrąg się rozszerzał i wyjaśniał; zdawało się, jakoby ognista ręka słońca szybko pisała po księdze natury i coraz nowymi obrazami powiększała zamglone i białe jej karty. Chmury rozpędzane ognistym mieczem jak widma uciekały i nikły we przestworzu; niejedne z nich przybierając na siebie niejako postaci ludzi ścierały i walczyły ze sobą, a potem razem nikły bez śladu. Kto wie, czy na widok podobnego zjawiska nie przyszła myśl wielkiemu Kaulbachowi do sławnego obrazu, walki Hunnów z Rzymianami, przed którego kartonem później niejedną chwilę w zachwyceniu stawiłem.

Gdy już wyświecony horyzont znalazł się w jedną niezmierną całość, zajaśniał krajobraz pyszny, nieskończony, a jednak dziwna, patrząc na niego, doznałem

uczucia znużenia i braku. Wzrok za wiele naraz ogarnia, bliższe przedmioty zobojętniają i przytłaczają przedmioty dalsze tak, że obejmując całość, zostaje jakieś konieczne [końcowe, ostateczne] wrażenie dysharmonii i nierównowagi.

Na ośmnaście mil długości ciągnie się promień widzialny: Braunschweig, Hannover, Hildesheim, Kassel, Wartburg, zamek w Gotha, wieża kościoła erfurckiego, nareszcie Köthen, Nordhausen, Magdeburg, Halberstadt i tysiące innych miejsc kilkoma rzutami wzroku można ogarnąć i rozemnać; lecz właśnie ta mnogość i encyklopedyczność przedmiotów zabija piękność i wielkośća rozmiarów przygniatą słabość zmysłów.

Chciałem tego samego dnia przed południem opuścić Brocken, lecz tłusty Niemiec, który wczoraj z nami obiadował, ofiarował się towarzyszyć mi do Elbingerode, prosząc o kilka godzin zwłoki. Zatrzymałem się więc jeszcze do godziny trzeciej i nie tracąc czasu, obejrzałem niektóre miejsca pamiętne w legendach i tradycji miejscowej. Niedaleko samego szczytu znajduje się rozpadlina blisko szesnaście łokci długa, nazywana Magdbette (Dziewczęce Łoże). Stara saga mówi o niej, jak następuje: pobożna dziewczyna żyła w zamku rozpustnego rycerza, który ją wziął do niewoli, oderwawszy biedną sierotę od łona zabitej matki. Gdy z dziecka wyrosła na gładką, hożą dziewczę, rycerz, który uwolnił jej ciało od śmierci, by zatracić duszę, zapragnął ją uwieść. Dziewczyna opuściła zamek i uciekając dniem i nocą zaszła wpół umierająca na Brocken. Wysłani za nią pacholki ślad stracili i powrócili z niczym do zamku. Jeden tylko spomiędzy nich, giermek rycerza, cnotliwy i pobożnego serca, który ją dawno w milczeniu ubóstwiał, poleciwszy duszę Panu Bogu i nie tracąc nadziei, szedł dalej, by skarb swój odzyskać. Błądny ognik biegł przed nim i prowadził do celu. Dwa razy jeszcze słońce nie zaszło, a giermek zobaczył w rozpadlinie na szarym glazie wśród mchu zielonego, bladego trupa dziewczyny, a dusza jej w postaci błędnego ognika mignęła raz ostatni i znikła. Od owego czasu rozpadlinę tę nazwano Magdbette.

Pożegnawszy miłego gospodarza z Brocken, starego wojska, od którego dowiedziałem się wielu szczegółów mogących mi posłużyć w podróży, w dalszą zabrałem się drogę. Na progu domu córka gospodarza obdarzyła mnie równianką z ziół Harcu; rośliny te suche, bezbarwne, wytrzymałe w wytrzymałości, jak wszystkie rośliny rosnące w podobnych miejscach, przeciwne w ogólności kwiatom, bo smutne sprawiając wrażenie, służą za pamiątkę podróży z wiedzającym Brocken" [s. 22-24].

\*\*\*

Tak się skończyła Michała Morzkowskiego wycieczka na Brocken. Podróżując potem dalej przez dni kilka jeszcze po Harzu, widział on w tych górach wiele różnych ciekawych zjawisk i miał okazję do czytania ukochanego *Fausta* w najbardziej do tego odpowiedniej, jakże romantycznej, scenerii. O tym jednak opowiemy kiedy indziej.

Goszcząc na Turbaczu przez parę dni, można odbyć kilka wycieczek „na lekko”, wykorzystując liczne szlaki znakowane i pozostałe ścieżki, łącząc je w wycieczkowe pętle. W ten sposób można poznać Gorce bardziej „od środka” i z dala od znowu tłumnie uczęszczanych popularnych szlaków.

ście w dolinę Koniny. Wkrótce spotykamy drogę i potok na dnie doliny. Tu zmieniamy radykalnie kierunek wędrówki, skręcając na prawo w górę doliny.

Za chwilę spotykamy wygodne miejsce na dłuższy odpoczynek – po lewej stronie drogi, nad potokiem. Z

podejście, mogą wybrać czarny szlak doprowadzający do Gabrowej Polany i z niej głównym szlakiem wrócić do schroniska.

Wycieczka nie jest długa i jest średnio uciążliwa, można ją odbyć nawet w krótki jesienny dzień. Uciążliwe są niektóre odcinki zejścia z Mos-

## GORCE – NA BOREK PO KOCICH ŁBACH

Trasa, którą dziś prezentuję, zaczyna się i kończy na Turbaczu, ale głównym celem wędrówki jest przełęcz Borek oraz pewna osobliwość, raczej nieczęsto spotykana w samym środku gór. Wychodzimy ze schroniska na Turbaczu ścieżką za zn. żółtymi i niebieskimi prowadzącymi na Czoło Turbacza. Na rozstaju ścieżek opuszczamy szlak.

Na wschód odchodzi żółty, sprowadzający na Borek, my zaś idziemy na widoczną doskonale Mostownicę (1251 m). Gdy osiągamy najwyższe wzniesienie, warto przystanąć na chwilę. Ze szczytowej polany mamy wspaniały widok na Dolinę Kamienicy wciśniętą między masyw Kudłonia i grzbiet między Jaworzyną a Gorcem. Ciekawie prezentuje się też kopuła Turbacza.

Ruszamy dalej na północ, idąc chwilę odkrytym terenem, po czym zanurzamy się w las, zmierzając do kolejnego widokowego miejsca na Polanie Podmostownica. Zejście jest dosyć strome i może być błotniste, co nie jest w Gorcach czymś szczególnym. Z Podmostownicy (ok. 1000 m) strome zej-

miejsca odpoczynku widok na stromy stok, którym idąc wprost do góry i utrzymując stały kierunek można dojść do czarnego szlaku Konina – Kudłoń. Nasza trasa prowadzi dalej w górę doliny do rozwidlenia dróg.

Rzut oka na mapę. Wydaje się, że trzeba iść w prawo drogą prowadzącą wprost na Borek. To byłoby najprostsze rozwiązanie, ale znacznie ciekawiej będzie, jeśli pójdziemy lewą odnogą. Wkrótce spotykamy coś dosyć niezwykłego, zważywszy że znajdujemy się pośrodku gorczańskiej puszczy. Jest to długi odcinek brukowanej drogi i to dużymi, dość dokładnie obrobionymi „kamolami”. Dochodzimy do następnego rozstaju, na którym skręcamy w prawo na drogę stokową. Drogą tą, niemal idealnie poziomo, dochodzimy na Borek. Tu tradycyjny odpoczynek, a z przełęcz żółtym szlakiem wracamy na Turbacz, ci zaś, którzy mają ochotę na strome

townicy w Dolinę Koniny, zwłaszcza po deszczu. Przejście doliny w kierunku Borka to miły, łatwy spacer, a stokówka wyprowadzająca na Borek zadziwia prawie idealnie poziomym jej przeprowadzeniem. Przedstawiona trasa nadaje się na wycieczkę rowerem górskim, choć nie jest to zwykła przejażdżka.

Sporo roboty jest na zjeździe z Mostownicy. Przejazd drogą na Borek można podzielić na trzy odcinki pod względem nawierzchni. Pierwszy – od zjazdu z Mostownicy do pierwszego rozstaju, to zwykła dolinna, nieco kamienista droga, potem długi odcinek – „grubego” bruku, a następnie wygodna gruntowa stokówka. Największy podjazd jest na odcinku brukowanym. Jest to ciekawa i wielce zajmująca jazda. Podjazd z Borka na Turbacz nie jest specjalnie trudny, jedynie pierwszą stromizną szlaku trzeba pokonać prowadząc rower, a dalej można jechać aż do samego schroniska, co niżej podpisany sprawdził i poleca wszystkim sprawnym górskim rowerzystom.

Na przedstawionej obok trasie trudno jest spotkać turystów poza odcinkiem Turbacz – Mostownica i Borkiem. Warto się na nią wybrać, by zagłębić się w gorczańskiej gęszy, choćby na brukowanej drodze.

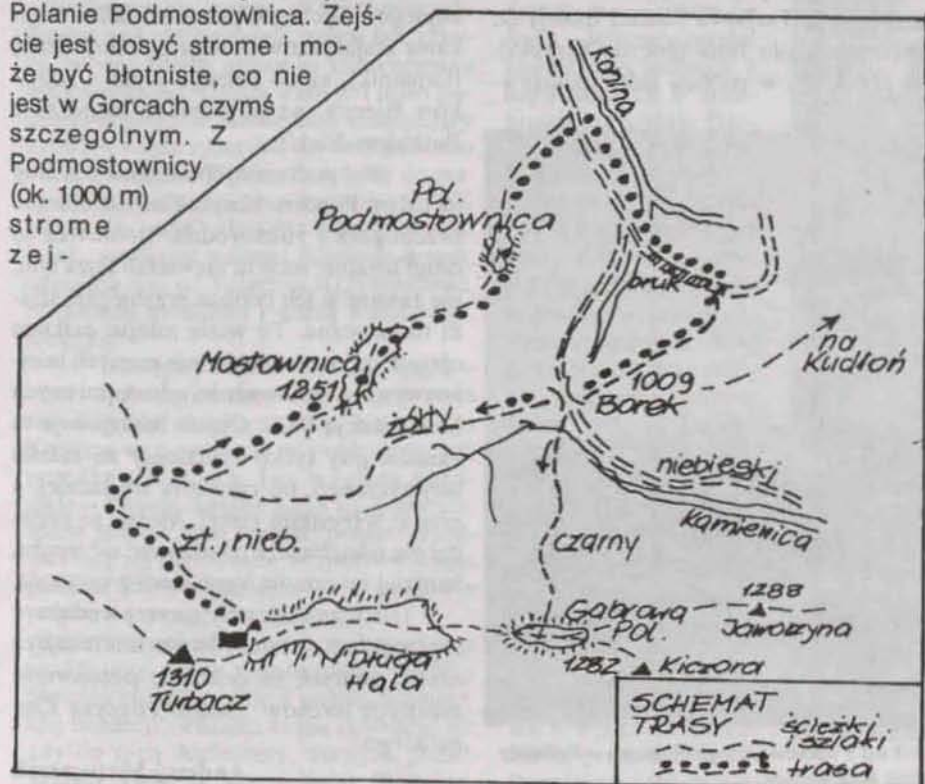
Juliusz Wyslouch

### OPLATA AUTOSTRADOWA W AUSTRII

Chcemy Państwa poinformować o tym, że od 1. 01. 1997 r. rząd austriacki wprowadza w Austrii opłaty za korzystanie z autostrad. Winiety (znaczk autostradowe) dla samochodów osobowych i ciężarowych do 3,5 t, ważna na cały rok 1997, będzie kosztowała 550 ATS.

Udało się wynegocjować niższą taryfę dla turystów odwiedzających Austrię – wynosi ona 150 ATS za winietkę ważną przez dwa miesiące. Aby skorzystać z odcinków autostrad, które do tej pory były płatne, wprowadza się opłatę w wysokości 350 ATS – zawiera ona pakiet dwumiesięcznej winietki turystycznej oraz daje możliwość przejechania dwóch odcinków dotychczas płatnych (tunele, przełęcze).

Dla porównania: we Włoszech jeden przejazd autostradą na odcinku Tarvisio – Mediolan (485 km) kosztuje 273 ATS, we Francji jeden przejazd na trasie Bordeaux – Toulouse (242 km) kosztuje 174 ATS. W Szwajcarii winietka roczna kosztuje 350 ATS, dodatkowo płaci się za przejazdy tunele lub przełęcze. (AOIT)



## PRZEŁĘCZ KOTARZ (991 m)

Oddziela masywy Małej Rycerzowej (1207 m) i Muńcuła (1165 m) w Beskidzie Żywieckim. Nazewnictwo tego skrawka Żywieczzyny w Paśmie Wielkiej Raczy w sposób szczególny oddaje i

schroniska w Mładej Horze (przy szlaku czerwonym z Rycerki Dolnej na Rycerzową), stał się punktem pośrednim w dalszych i bardziej urozmaiconych wędrówkach po Paśmie Wielkiej Raczy.

Można teraz np. dotrzeć tędy z

czego i przyst. PKS skrzyżowanie podgóskich dróg do Olszyn i Jodłówki Tuchowskiej, osiedla Ratówki nieopodal szczytu Brzanki (536 m) oraz widokowej grzbietowej drogi do Rzepiennika Biskupiego.

Na północ od przełęczy bliski szczyk Młynarskiej Góry, na południe dalszą panoramę na Pogórze Ciężkowickie przystania grzbiet Serwońca (356 m) i Średniego (345 m). Miejsce pozbawione jest panoram z wyjątkiem fragmentów zalesionej Nosalowej (365 m) w kierunku południowo-zachodnim. Dojście stąd do schroniska-bacówki na Brzance (45 minut), wydaje się niepomernie sympatyczniejsze od niebieskiego szlaku z pobliskiej Jodłówki Tuchowskiej.

Sieć lokalnych dróg na Pogórze Karpackim w ogóle, a na Pogórze Ciężkowickim w szczególności, skłania do refleksji głębszej natury nad możliwością ich wykorzystania do krajoznawczego poznawania uroków Pogórze także rowerem lub samochodem.

Zacznę tu właśnie od przykładu Przełęczy nad Olszynami. Niecałe 3 km asfaltowej nitki drogi prowadzi na północ prawie pod schronisko-bacówkę na Brzance. W przeciwnym kierunku możliwości jest więcej. Droga wiodąca na Średnie i wysoko tam usytuowane osiedla Jodłówki Tuchowskiej rozwidła się na grzbiecie na widokowy odcinek na południo-wschód do wioski Kołkówka, a w kierunku południowym sprowadza pod kościół do Rzepiennika Biskupiego.

Traktem czterech Rzepienników (Marciszewskiego, Strzyżewskiego, Biskupiego i Suchego) prowadzi ładna i ciekawa krajobrazowo droga z doliny Białej (Gromnik), aż do pełnego uroku i zabytków Biecza, na pograniczu Pogórze z Beskidem Niskim.

Sieć podrzędnych asfaltowych dróg na całym Pogórze Karpackim jest obecnie przebogata i różnorodna. Ponieważ to drogi lokalne, ruch tu niewielki. Poza tym, nie zawsze w ich pobliżu przebiegają szlaki turystyczne. To wiele miejsc całkiem obcych turystom, dokładnie znanych miejscowym, a przeważnie udostępnionych komunikacją PKS. Często funkcjonuje tu zasada: gdy tylko zejdziemy ze szlaku turystycznego, od razu robi się ładniej, a przede wszystkim ciszej. Można tu prawdziwie odetchnąć, rozkoszować się innym, bardziej intymnym kontaktem z przyrodą.

To inna jak przy pieszej wędrówce z plecakiem – lecz równie interesująca oferta, pomysł, na dokładne poznawanie pięknych terenów całego Pogórze Karpackiego.

Andrzej Matuszczyk

# KARPACKIE PRZEŁĘCZE (18)

odwzorowuje związki osadnicze wynikające z migracji tutejszej ludności w pogranicznym ze Słowacją regionie. Można twierdzić tak tym bardziej, że zamienna nazwa przełęczy, ponurej i odludnej, zagubionej w rozległych kompleksach lasów między Muńcułem a Rycerzową – to Hotar.

Nazwa Kotarz lub nazwy do niej zbliżone spotyka się w kilku innych miejscach w Beskidzie Żywieckim i Beskidzie Śląskim. Mała Romanka nad Sopotnią Wielką to inaczej Kotarnica, potok u jej podnóżu – Kotarka, a stromy szczyt nad Szczyrkem Salmopolem nazywany jest Kotarzem.

Turysta wędrujący zielonym szlakiem z Ujsoł przez Muńcuł w stronę Rycerzowej spotka na przeł. Kotarz prostopadle przebiegającą ścieżkę, którą przed trzema laty Oddział Babiogórski PTTK w Żywcu wytyczył nowe turystyczne przejście (kolor niebieski) z Soblówki aż do doliny Rycerek usytuowanej pod Przegibkiem. Sam Kotarz leży na grzbiecie oddzielającym potoki Cichą od wschodu i uroczą Danielkę po stronie zachodniej, których wody łączą się w pobliskich Ujsołach.

Kotarz poprzez nowy niebieski szlak z Soblówki ku Rycerkom, dążący do

Soblówki do uroczego schroniska PTTK na Przegibku, na stoku Wielkiej Będoszki, z ominięciem całego masywu Rycerzowej. Dla turystów wypoczywających w Ujsołach możliwa jest obecnie świetna trasa okrężna: Soblówka–Kotarz–dolina Danielki, z której biegiem dojdziemy właśnie do centrum Ujsoł.

Godne polecenia są również widokowe walory niebieskiego szlaku na przeł. Kotarz – nad Soblówką. Rozległa polana nad soblowskim osiedlem Śliwkówka odkrywa panoramę na graniczne szczyty Wielkiego Smerekowa i Jaworzyny (1052 m), Soliska i Pietkuli, a także na strome, zalesione zbocza Muńcuła. Cicho tu i odludnie, w tych coraz nieliczniejszych uroczyskach Beskidu Żywieckiego.

## PRZEŁĘCZ NAD OLSZYNAMI (305 m)

Leży na Pogórze Ciężkowickim. Na wschód mamy wieś Olszyny, na zachodzie – Jodłówkę Tuchowską. Przełęcz znajduje się przy lokalnej drodze z Lubaszowej koło Tuchowa (dolina Białej) do Siepietnicy koło Jasła (dolina Olszynki). Na przełęczy, w pobliżu sklepu spożyw-



Wał (526 m) oglądany z grzbieta Suchej Góry (400 m) z lokalnej drogi: Kipszna – Polichy – Gromnik. Foto: Andrzej Matuszczyk

# SUDECKA WIOSNA

Przydługi, pierwszomajowy weekend był okazją do wyprawy w góry. Cel: Sudety... teren rozległy, ale wiemy chociaż, gdzie zacząć – w Jeleniej Górze. Tam najłatwiej o nocleg, komunikacja też dobra. Sobotni rano. Mgła nie zapowiada tak pogodnego dnia. Trasa jest prosta, relaksowa. Zielony szlak prowadzi prosto z Piechowic na Bobrowe Skały. U ich podnóża można zauważyć ruiny XVII-wiecznego zamku Bobrowiec... szkoda, że po wsi nie ma śladów, tylko kwitną zawilce. Ze szczytu rozpościera się wspaniała panorama ośnieżonych Karkonoszy. Przez Babią Przełęcz i Wrzosówkę, a potem dla urozmaicenia leśnymi drogami, bez szlaku, kierując się mapą i słońcem poszukujemy rezerwatu krokusów w Górzycu... jest... szkoda, że te piękne kwiaty nie kwitną. Jeszcze tylko strumień (choć może to była droga, bo są koleiny po samochodach), Mniszy Las z malowniczymi i wygrzany słońcem skałkami i już Górzyniec, skąd do Jeleniej Góry kursują autobusy.

W niedzielę wyprawa do Wlenia. Pociągami. To małe miasteczko jest zadziwiająco ciche, czyste i ukwiecone... mały rynek z ratuszem i XVIII-wieczną figurą oraz górujący nad nim zamek. Mozolnie pniemy się pod górę... resztki murów... fosa... zawilce... znów mury, tym razem już „właściwe mury zamkowe”. Myszkuje wśród ruin... te komnaty wydają się tak małe! Podziwiamy panoramę z wieży... szkoda, że schody na nią są spróchniałe. Trzeba iść dalej. Lasami i polami przez Dziki Wąwóz – jedyny dzisiaj kawałek prawdziwie górskiego szlaku – docieramy do zapory w Pilichowicach. Zapora jest przeogromna, zalew też, szkoda, że jego brzegi usłane są kilkumetrową warstwą śmieci. Dalsza trasa jest mało ciekawa, dopiero w Siedlęcinie interesujący obiekt – wieża rycerska, do dziś zamieszkała... Brzegiem Bobru docieramy do malowniczo położonego schroniska PTTK „Perła Zachodu”, skąd już tylko niewielki las, najeżony pniami świętych drzew, odgradza nas od Wzgórza Krzywoustego, ze śladami grodziska i wieżą widokową... niegdys.

Następny rano wita nas mgłą – trasa, z początku nieciekawa, poprawia się. Pogoda chwilowo też. Na zbocza Koziańca wspinamy się w pobłyskujących promieniach słońca. Las wygląda wspaniale – kwiaty, świeże liście na drzewach, śpiew ptaków, tym bardziej ponuro przedstawiają się łąki wokół Wojanowa – całe połacie trawy wypalone. W Wojanowie przykuwa uwagę kościółek (XVIII w.) z wmurowanymi tablicami nagrobnymi oraz znajdujący się w ruinie pałac, będący obecnie siedzibą jakiejś polsko-niemieckiej fundacji. Sokoliki kuszą skałkami, ale gdy do nich docieramy, zaczyna padać. Szkoda. Dalej są Starościńskie Skały, to-

nące we mgle, Piec – trochę bardziej zaśnieżony, występująca z brzegów Janówka i zamek. Ruiny Bolczowa są dobrze zachowane, nawet jest piwnica... pewnie to w niej straszy duch kapelana. Już Janowice Wielkie. Deszcz powoduje decyzję o powrocie do Jeleniej Góry. A tam słońce.

Wtorek wita nas słońcem i bezchmurnym niebem. Z Trzcianka kierujemy się ponownie na Sokoliki – dzisiaj można połączyć po skałkach, pooglądać ośnieżone (ale już mniej) Karkonosze. Schodzimy do Karpnik, a stamtąd obok kamieniołomu, przez Gruszków na Skalnik – najwyższy szczyt Rudaw Janowickich. Przechodzimy przez warstwę chmur i ze szczytowej skałki możemy podziwiać niecodzienny widok: z morza mgieł wyłaniają się pojedyncze szczyty górskie. Do „Czartaka” schodzimy po kolana w śniegu – pamiętacie po długiej i mroźnej zimie.

Kolejny rano wita nas mgłą. Nie przejmujemy się – rano mgły są częste o tej porze roku. Ale pogoda płata nam figla – mgła przeradza się w ulewę. Schodzimy ze szlaku i szosą docieramy do Wieściszowic, skąd autobusem i na „stopa” docieramy do Bolkowa. W deszczu zwiedzamy ten wzniesiony w XIV w. przez księcia Bolka zamek i malownicze miasteczko. Mamy szczęście – od spacerujących po uliczkach rycerzy, z których jeden okazuje się kustoszem zamku, otrzymujemy zaproszenie na nocleg w nim. Ledwie rozwiesiliśmy mokre kurtki, wyjrzało słońce. Decydujemy się na spacer do Świn – leżącego opodal zamczyska jednego z największych w średniowieczu rodów śląskich. Ten wielokrotnie przebudowany (oczywiście teraz to ruiny) zamek stracił już swój pierwotny charakter, niemniej robi wspaniałe wrażenie ogromem budowli. A w czwartek od rana słońce. Żegnamy gościnnych rycerzy i lasami kierujemy się do Myśluborza. Szlak łagodnie wije się wśród wzgórz, wchodząc na niektóre szczyty, tak docieramy do Kwietnik – wsi w pełni zasługującej na swą nazwę, skąd alejami – najpierw czereśniową, potem dagleziową i wreszcie jabłoniową przez Radogost, Bazaltową i Małe Or-

gany Myśluborskie – czyli wnętrze wygasłego wulkanu – docieramy do Myśluborza. Schronisko jest pełne, ale kierowniczką zgadza się, byśmy nocowali w jej gabinecie. Rano – spacer po Wąwozie Myśluborskim – bardzo ciekawym przyrodniczo i geologicznie – i idziemy do Jawora. To miasteczko nie jest tak zadbane jak Bolków, nawet zamek, mimo iż wielokrotnie przebudowywany i do dziś użytkowany, robi bardzo posępne wrażenie, którego nie są w stanie zatrzeć kolorowe kamieniczki w rynku. Autobusem docieramy do Rogoźnicy, skąd pieszo, przez pola dochodzimy do muzeum Gross-Rosen. Zwiedzanie pozostałości największego na tych terenach obozu koncentracyjnego i oglądanie filmu o jego filiacjach zajmuje nam prawie 4 godz. Potem zwiedzamy jeszcze Strzegom i jedziemy do Wałbrzycha.

Sobotni rano poświęcamy na zwiedzenie Książa – akurat są wystawy kwiatów, porcelany i rzeźb Hasióra – i palmiarni w Lubiechowie. Deszcz powoduje rezygnację ze spaceru do ruin zamku Cisy. Popołudnie (przeostało padać) poświęcamy na spacer po okolicznych wzgórzach: Ptasim i Parkowym, a w niedzielę od rana zwiedzamy Wrocław, zwykle leżący zbyt daleko od tras naszych wędrówek. Udało nam się nawet dostać bilety na Panoramę Raclawicką.

Marzena Wojnarowicz



Na zamku Świny. Foto: Piotr Dacko

Żadne z karpaccich schronisk nie doczekało się jeszcze jubileuszu 90-lecia. Tego sezonu Markowe Szczawiny w połowie września rozpoczyna 91 rok w służbie dla turystyki górskiej i turystów. Były

tyki. W latach 1932–37 gospodarzył w obiekcie Władysław Midowicz, człowiek-institucja, gdyż rozmaite i wielorakie zainteresowania, doświadczenia i umiejętności z różnych gór w innych krajach po-

cnych realiach przepisów Babiogórskiego Parku Narodowego?

Komisja Turystyki Narciarskiej Oddziału Krakowskiego PTTK, którą wraz z Krzysiem Rzoncą prowadziliśmy w la-

## SCHRONISKO PTTK NA MARKOWYCH SZCZAWINACH 1906-1996

one świadkiem wszystkiego, tego i dobrego, i złego, co wiązało się z babiogórską i polską turystyką – właściwie w tym stuleciu. Markowym Szczawinom dane było przeżyć trzy wojny (wliczając w to stan wojenny), PRL i dwie Rzeczypospolite, lecz przede wszystkim zmieniające się wciąż trendy w górach i podejściu do gór.

Dla oddziałów „Babiogórskiego” PTTK w Żywcu i „Ziemii Babiogórskiej” w Suchoj Beskidzkiej, jako oddziałów macierzystych, stanowią wierną fotografię jego historii i dokonań, dla setek tysięcy turystów mnóstwo wspomnień pięknych, choć i tragicznych zarazem (tych ostatnich związanych szczególnie z wieloma dramataми babiogórskimi), dla wszystkich zaś z pewnością powód do dumy i satysfakcji, że stoją jeszcze w naszych górach tak dotliwe pomniki historii naszej turystyki.

Przypomnijmy kilka jej wątków o tym cichym zakątku na północnym zboczu Babiej Góry, tuż przy granicy górnego płaju... *Potrzeba zbudowania schroniska, które będzie widowym symbolem naszej działalności, hasłem ożywczym budującym obojętnych z apatii i przypomni znowu Babią Górę szerszej publiczności...* – pisał największy miłośnik, przyrodnik i dobrodziej Babiej Góry dr. Hugo Zapałowicz w maju 1906 r. w liście do Wydziału Towarzystwa Tatrzńskiego. To właśnie on, ówczesny Prezes i założyciel Oddziału PTT w Zawoi, stał się twórcą schroniska – dzisiejszego jubilat. Cykl budowy od czerwca do września 1906 r. był nad wyraz krótkim nie tylko jak na tamte czasy, ale i dziś budzić musi nieklamany podziw.

W pierwszym 10-leciu służby dla turystów Markowe Szczawiny oprócz schronienia i możliwości posiłku spełniały rolę niepomniernie ważniejszą, budząc przede wszystkim uczucia patriotyczne, jak pisał Hugo Zapałowicz... *konieczne wobec potężnego i zupełnym oskrzydleniem nam groźącego Beskidenerinu...* w związku z sąsiednim schroniskiem BV na kopule szczytowej Diablaka. Obiekt na Markowych Szczawinach prowadzili wówczas bracia Gancarczykowie – początkowo Józef, potem Klemens.

Ponieważ o historii schroniska najbardziej zaświadczać mają właśnie jego kierownicy, kilka słów o najbardziej spośród nich zasłużonych dla babiogórskiej turys-

tyki. W latach 1932–37 gospodarzył w obiekcie Władysław Midowicz, człowiek-institucja, gdyż rozmaite i wielorakie zainteresowania, doświadczenia i umiejętności z różnych gór w innych krajach po-

trafił wykorzystać dla dobra i w interesie turystów na Babiej Górze. Ogromnych zasług przysporzył obiektowi Rudolf Wielgus (1937–51), ratując schronisko będące podczas okupacji także bazą partyzantów Armii Krajowej i Armii Ludowej od niechybnego zniszczenia przez Niemców. Lata pięćdziesiąte to okres gazdowania w Markowych Jana Czeczka (1952–60). Rozkochany w górach, wesoly i uczynny, każdego turystę uważał za swojego prywatnego gościa, starając się, aby pobyt w schronisku był dla niego miły, tani i długo wspomniany.

Podobnymi cechami zapisał się w historii Markowych Szczawin Stanisław Jarosz, uprzednio długoletni gospodarz Hali Gąsienicowej w Tatrach. Pod jego kierownictwem (1964–73) schronisko pod Babią zostało gruntownie wyremontowane i zmodernizowane. Należał, mało – nadal należy, do wspominanych z łezką w oku, kierownika autentycznie ukochanego przez turystów. Zawsze mówiło się: idziemy do Jarosza, a nie – na Markowe...

Od 1966 r. w ramach jubileuszu schroniska – własny jubileusz 30-lecia funkcjonuje obok Markowych pierwszy w Karpatach Ośrodek Kultury Turystyki Górskiej PTTK.

Z lat nam bliższych należy wspomnieć jeszcze o zasłużonym ratowniku Beskidzkiej grupy GOPR – Zbigniewie Urbańskim, który Markowe Szczawiny prowadził w latach 1977–81, a zginął wkrótce potem tragicznie w wypadku pod Halą Rysianką. Gazdując na Markowych, niezliczonym turystom zaskoczonym na grani Babiej załamaniem pogody ratował Urbański zdrowie, a nawet życie.

Moje osobiste wspomnienia związane z Markowymi Szczawinami to ponad 60 pobyków w schronisku od 1961 r. Inna była wówczas górską turystyką, jakby stale na nowo odkrywana, pełna spontaniczności i autentycznego entuzjazmu. Krakowski Klub Przewodników Turystyki Górskiej Krakowskiego Oddziału PTTK organizował corocznie pod Babią Górą swoje zloty (szczególnie pamiętne w listopadzie lat 1966 i 1967 – Boże, to już trzydzieści lat temu!), a nawet mistrzostwa narciarskie (styczeń 1968 r.). Czy wyobrażacie sobie dziś Państwo trasę biegu zjazdowego spod Przełęczy Brona pod schronisko na Markowych Szczawinach w obe-

tach siedemdziesiątych, na Małej Babiej Górze (1517 m) zlokalizowała w 1970 r. punkt kontrolny bardzo wówczas popularnych rajdów narciarskich „Na Raty”. Oparciem pozostawało oczywiście schronisko na Markowych. Nawiązując jeszcze do zimy: zjazdy z Małej Babiej na Przeł. Jałowiecką należały do codzienności, a zjazd z Diablaka przez Sokolicę i funkcjonującą jeszcze w latach osiemdziesiątych nartostradę na Krowiarki dostarczał zawsze przeżyć niezapomnianych.

Oddział PTTK w Suchoj Beskidzkiej utrzymywał każdej zimy nartostradę z Markowych Szczawin przez Sulową Cyrle i drugą przez Fitaków Groń do Zawoi-Lajkonika i Zawoi-Markowej zwabiając tym liczne grono narciarzy-turystów. Przełęcz Krowiarki była cichym i wspaniałym uroczyskiem z samotną jedynie budką schronu, dająca miejsce wytchnienia po zakończeniu wytrwałych zmagania z przeciwnościami pogody na grani Babiej i to przeważnie pogody pod psem. Bywały także Krowiarki przystankiem w drodze do... Jeśli na nartach to najczęściej do Zawoi-Policznego i dalej ku Widłom, bo tylko do Widła docierała w Zawoi komunikacja PKS. W lecie natomiast stanowiły Krowiarki piknikowy przystanek przed dalszą wędrówką także na Orawę, a przede wszystkim do zubrzyckiego skansenu, jeszcze skansenu – a nie parku etnograficznego...

Dziś najczęstszym zmartwieniem, zwłaszcza zmotoryzowanych turystów z plecakiem, pozostaje obawa, czy aby w czasie wycieczki na Babią nie rozszabrowano im auta na parkingu na Krowiarkach...

Z najnowszych, a istotnych dla Markowych Szczawin wydarzeń należy wspomnieć o elektryfikacji schroniska kablem ziemnym, dzięki osobistym wysiłkom i zaangażowaniu wieloletniego prezesa ZW PTTK i wicewojewody bielskiego dr. Jana Wałacha, oraz o niedawnym uruchomieniu biologicznej oczyszczalni ścieków, co było dziełem Spółki „Karpaty” – Schroniska i Hotele PTTK.

To ostatnie dokonanie cieszyć powinno zwłaszcza Babiogórski Park Narodowy (w marcu 1996 r. obchodził też jubileusz, 40-lecia), chociaż nie wiem, czy równie cieszą turystów wdrażane od lat kilku nowe porządki pod Babią Górą.

# WIEŚCI Z TATR I PODHAŁA

Przedtem Babia Góra była dla turystów, leżąc na terenie Parku. Dziś odnieść można wrażenie, że Babia Góra jest przede wszystkim dla Parku, a turyści, określani w obowiązujących regulaminach pogardliwym statusem „zwiedzających” włości Parku, stanowią tylko zło absolutnie niekonieczne, chociaż jednak konieczne głównie z powodu oczekiwanych i coraz większych wpływów ze sprzedaży biletów wstępu.

Niestety, godna pożałowania inicjatywa Tatrzańskiego Parku Narodowego w tym względzie sprzed lat kilku, szybko zyskała naśladowców (i to pełnych pomysowości – praktycznie już we wszystkich górskich parkach).

To Babiogórski Park łącznie z wszechogarniającą nas urbanizacją stworzył pod Babią Górą i na jej grani całkiem nowe zasady, czego niemy świadkiem są i Markowe Szczawiny, w których do rachunku za nocleg dolicza się turystom cenę za drugi bilet wstępu, bo za pierwszy musieli już zapłacić na Krowiarkach. Bilety oczywiście zaopatrzone są w datowniki, co wymaga kupowania nowego biletu za każdy następny dzień pobytu w Parku. Kadra przewodników turystyki górskiej, jako jedyna mogąca wodzić po górach ludzi w sposób całkowicie społeczny, ma swoją posługę w górskich parkach narodowych poważnie utrudnianą.

Nie jestem też pewien, czy Dyrekcja Parku Babiogórskiego (co twierdzą jako wieloletni działacze ochrony przyrody i strażnik ochrony przyrody) dobrze zapisuje się w dziejach Babiej Góry i Markowych Szczawin brukując szlaki do schroniska, w tym czarny z Zawoi, fundując Diabłakowi mur czy umacniając schody na Akademickiej Perci i czerwonym szlaku turystycznym na Przełęcz Bronę.

W czasach, gdy bliżej nam jest do otwarcia przejść górskich na Słowację, na szlakach (na przełęcz Brona, Jałowicka), a w przeszłości wskutek nadgorliwości byłego WOP-u, notowaliśmy na Babiej Górze ofiary śmiertelne (jak choćby słynny narciarz Aleksander Starzeński), już od Markowych Szczawin pracownicy tropi się turystów wybierających się na Babią na wschód słońca. To już chyba jakaś paranoja...

Ale nic to. Babia Góra co stoi, ludzie po niej wędrują, a historia dokładnie zapisze dla potomności wszystkie zarówno pozytywne, jak i negatywne.

A więc Markowym Szczawinom „Hyr” na ich piękny i niepowtarzalny doprawdy jubileusz!!!

**Adres schroniska:** Schronisko PTTK na Markowych Szczawinach, dzierżawcy: Halina i Jan Lizakowie, 34-223 Zawoja-Markowa, tel. Zawoja 105.

Andrzej Matuszczyk

● W ostatnim tygodniu czerwca sprzedano 26 tys. biletów wstępu na teren TPN. Najliczniej odwiedzane było Morskie Oko – 1174 osób dziennie, a najmniej turystów obserwowano w Dolinie Chochołowskiej – 342 osoby w ciągu dnia.

● Trzej zakopiańscy taternicy Mariusz Dziubas, Maciej Rysula i Zbigniew Winiarski wybierają się w Alpy Julijskie i Kamienieckie na terenie Słowenii. Chcą m.in. zdobyć Triglav (2865 m), wspinając się na skalną ścianę ponadkilometrowej wysokości. Przez ostatnie dwadzieścia lat nie odnotowano w tej części Alp działalności sportowej polskich wspinaczy.

● Obok Centrum Informacji Turystycznej, przy ul. Kościuszki w Zakopanem, działa od niedawna elektroniczna tablica informacyjna. Składa się ona z dwóch części. Na jednej umieszczono wykaz hoteli i pensjonatów zaopatrzonych w zielone i czerwone światła informujące o wolnych miejscach noclegowych lub o ich braku. Na drugiej plan miasta i coś w rodzaju klawiatury telefonicznej. Po wybraniu cyfry, którą oznaczony jest dany hotel lub pensjonat – żółte światło wskaże nam na planie jego lokalizację. Tablica zainstalowana została przez krakowską firmę Jordan bt electronics.

Informacje o wolnych miejscach noclegowych przekazywane są na tablicę z poszczególnych hoteli i pensjonatów drogą radiową. Każdy użytkownik tablicy płaci miesięcznie równowartość jednego oferowanego przez siebie noclegu. Dotychczas na tablicy pojawiło się 15 hoteli i pensjonatów.

● W dniu 22 czerwca br. w zakopiańskiej willi „Koliba” odbyła się premiera filmu telewizyjnego o Mieczysławie Karłowiczu „Pieśń o wszechbycie”, który wyreżyserował Jacek Zygałdo. Film ukazuje życie Mieczysława Karłowicza od momentu, kiedy postanawia wyprowadzić się z Warszawy i zamieszkuje w Zakopanem. Karłowicz chodził w góry z powodów estetycznych, stworzył ideologię taternictwa. I taki

jest też film. Oszczędny w wyrazie i formie, nasycony miejscami związanymi z Karłowiczem, gdzie fotografował. Jest jego muzyka, jego listy i wspomnienia najbliższych.

● W czerwcu zorganizowano w Warszawie spotkanie, którego tematem była nowelizacja rozporządzenia o utworzeniu Tatrzańskiego Parku Narodowego oraz sprawa modernizacji urzędzeń narciarskich w rejonie Kasprowego Wierchu. W konferencji wzięli udział m.in. dyrektor TPN i burmistrz Zakopanego oraz przedstawiciele Ministerstwa Ochrony Środowiska, UKFIT, Ministerstwa Finansów i Transportu.

● W zakopiańskim BWA czynna jest wystawa tkanin, koronek i innych prac wykonanych przez uczennice Zespołu Szkół Zawodowych im. Heleny Modrzejewskiej.

● Honorowe członkostwo Towarzystwa Muzeum Tatrzańskiego otrzymali Zofia Radwańska-Paryska i Henryk Jost. Uroczystość odbyła się w Galerii Kulczyckich na Koziańcu w dniu 6 lipca.

● Na początku lipca br. odbyło się w pienińskiej Leśnicy spotkanie wysokich przedstawicieli służb granicznych polskich i słowackich. Nieoficjalnie dowiadujemy się, że w sierpniu otwarte zostanie na Drozde Pienińskiej z Leśnicy do Szczawnicy turystyczne przejście graniczne bez stałego punktu odprawy paszportowo-celnej. Natomiast do rozmów na temat uruchomienia podobnych przejść w Tatrach strona słowacka nie jest gotowa.

● Hotel Górski na Kalatówkach – jako jedyne schronisko w Tatrach – uzyskał ostatnio specjalne wyróżnienie – rekomendację Polskiego Zrzeszenia Hotelarzy.

● Ukazała się II teka Architektury Współczesnej Ziemi Górskich, wydana przez Pracownię Regionalną Politechniki Krakowskiej „Stara Polana” w Zakopanem. Tecka zawiera m.in. szereg projektów, będących współczesnym rozwinięciem stylu witkiewiczowskiego i jest jeszcze do nabycia w siedzibie Pracowni Regionalnej przy ul. Nowotarskiej 59.

(„Gazeta Podhalańska”)



Tatry. Długi Giewont ze Szczerby. Foto: Wojciech W. Wiśniewski

Nie od razu Kraków zbudowano, nie każdy od razu stał się wytrawnym i samodzielnym turystą. Dla mniej wprawnych, ale i nie tylko, wprowadzamy kącik umożliwiający stopniowe wdrażanie się do wędrówek szlakami i bez szlaków, zawsze jednak stosunkowo łatwych i nadających się do wspólnych, rodzinnych wypadów. Zapewniamy, że wszystkie trasy będą nie tylko łatwe, ale i atrakcyjne – widokowo i krajobrazowo. A więc – na szlaki!

Punkty wyjścia i dojścia, mogą być zresztą traktowane zamiennie, znajdują się na linii kolejowej Wrocław – Wałbrzych – Jelenia Góra o częstych połączeniach przez cały rok. Wsiadamy więc w Ciechanowicach, leżących u początku niezwykle malowniczego przełomu Bobru, oddzielającego stromymi stokami Góry Ołowiane (południowy fragment Gór Kaczawskich) od Rudaw Janowickich, usy-

my wylot sztolni „Helena”, którą zaczęto kuć w 1747 r. W środku bardzo mokro, korytarze ciągną się na 150 m. Po kolejnych 25 min. docieramy do wapiennika, w którym wypalano surowiec z soczewy w Wapiennym Stoku. Droga skręca ostro w lewo w stronę torów kolejowych i wkrótce z prawej mijamy Smrekowy Dół, jedną z większych dolinek rozcinających Góry Ołowiane. Przechodzimy koło sa-

my w stare centrum tej dużej, coraz popularniejszej wsi letniskowej. Minąwszy skrzyżowanie z drogą do Radomierza skręcamy w lewo, przez most i po 10 min. osiągamy stację kolejową. Całość trasy zabiera 1,30 godz., można więc swobodnie rozkoszować się widokami i czynić częste popasy. Dla uzupełnienia dnia, przeznaczonego na wycieczkę, można z Janowic Wlk. wyskoczyć jeszcze szlakiem zielonym (50 min.) do ruin niezwykle malowniczego zamku Bolczów – już w Rudawach Janowickich.

Same Janowice Wielkie zostały wzmiankowane już w 1217 r. Większa część jej dziejów związana była z gómic-

## PRZEŁOM BOBRU

tuowanych od południa. Dziś to wioska, ale powstała już na pocz. XIII w., rozwijając się dzięki górnictwu rud miedzi i ołowiu. Miejscowość miała w latach 1754-1809 nawet prawa wolnego miasta górniczego. Dziś z tej świetności nic nie zostało. W ostatnich dziesięcioleciach rozebrano opuszczony kościół ewangelicki i karczmę górnica, ostał się jednak gotycki kościół katolicki z bardzo ciekawym wyposażeniem, w tym poewangelicką amboną i licznymi nagrobkami. Malowniczą bryłę posiada barokowy dwór na Dworskich Błoniach, dziś szkoła podstawowa.

Ruszamy tedy ze stacji kol. przez most na Bobrze, mijając leśniczówkę. Droga wiedzie cały czas bez znaków, prawym brzegiem rzeki, pięknie tu meandrującej. Na jej błoniach szczególnie uroczym jest późną wiosną, zaś wczesną jesienią feerią barw goreją mieszane lasy na stokach doliny. Po 10 min. z prawej mija-



Obecny widok dworu w Ciechanowicach. Foto: Archiwum



Dwór w Ciechanowicach według litografii z początku XIX w.

motnego gospodarstwa, tuż koło mostu i nadal łagodnie i wygodnie idziemy po prawej stronie Bobru, którego wody często błyszczą się na bystrzach. Po 30 min. droga staje się lepiej utrzymana, lekko do góry i już pierwsze zabudowania Janowic Wielkich. Przy dwóch kościołach wkracza-

twem rud metali, a od połowy XIX w. usadawiał się tu przemysł. Warto zapoznać się z tutejszymi zabytkami. Dawny kościół ewangelicki z XVIII w. ma dziś formę neogotycką i obsługuje parafię katolicką. Natomiast dawny kościół katolicki z końca XV w., o ciekawym i urozmaiconym wyposażeniu, stał się pomocniczym. Na prawym brzegu rzeki wznosi się renesansowy dwór, później znacznie zmieniony, o licznych jednak starych detalach i otoczony malowniczym parkiem. W pobliżu wsi liczne ślady dawnego gómic-twa: sztolnie, wyrobiska i hałdy.

Czym się wesprzeć? Przewodnikiem J. Czerwińskiego i K. R. Mazurskiego „Góry Kaczawskie” oraz mapami „Góry Kaczawskie” i „Rudawy Janowickie”.

Krzysztof R. Mazurski

# KARTKA Z USTRZYK GÓRNYCH

W połowie maja znalazłem się na parę dni w Bieszczadach, pogoda dopisała – słońce w dolinach prażyło, w wyższych partiach gór wiatr chłodził, czasem za bardzo, gdyż zamieniał się prawie w huragan. W Ustrzykach Górnych jeszcze w miarę pustawo, sezon turystyczny dopiero się zaczynał, chociaż miejscowością zawładnęli uczestnicy końcowego etapu 41 Ogólnopolskiego Wiosennego Rajdu Górskiego z Tarnowa. W trzygwiazdkowym Hotelu Górskim też pusto, nie wspominając o sali restauracyjnej, zawsze gustownej i zachęcającej do konsumpcji, wcale nie tak wysokimi cenami, jak się wydaje turystom przechodzącym obok hotelu.

Siadam za stolikiem, piję dobrą kawę z ekspresu ze śmietanką, to jedyne miejsce w Ustrzykach Górnych, gdzie można takiej kawy się napić. Z bufetu dobiega zmysłowa muzyka z dominującym instrumentem: fletnią pana. Jeden z kolegów przyrównał ten instrument do multanki z kości zwierzęcych, może ma rację.

Idziemy w góry, decydujemy się na ambitniejszą wycieczkę, od razu na Tarnicę (1346 m), bo nie mamy za dużo czasu. Buki już powoli się zielenią, w podszyciu mnóstwo wysianych kiełkujących buczynek z jednym charakterystycznym listkiem i słabo jeszcze trzymających się podłoża, pewnie niewiele przeżyje, a dorosłym drzewem zostaną jednostki.

Spotykamy parę osób na Szerokim Wierchu i jedną wycieczkę szkolną idącą „na czas”, podczas postoju pytam się czołwówkę wycieczki – dokąd idą – nie wiedzą, a opiekunowie są z tyłu. To mi wystarczy, już wszystko wiem. Od Szerokiego Wierchu towarzyszą nam urzekające widoki, z przełęczy podchodzimy na Tarnicę. Ach, co za widok przed nami. Wkoło połoniny w intensywnie wiosennej zieleni. Morze szczytów, przypominam sobie jeden z moich tekstów, w którym udowaśniałem, że w górach można zobaczyć... morze! Tak, to prawda! Dysonansem są jedynie pozostawione śmieci. Walają się kolorowe plastikowe butelki, czyżby tak trudno było znieść pustą butelkę z powrotem? Chyba większy wysiłek trzeba włożyć w jej wyniesienie na górę, gdy jest jeszcze pełna! Jędrak „Boškoc” dwie najbardziej jaskrawe w kolorze znieśie z powrotem w doliny i postawi je przy budce BPN sprzedającej bilety wstępu do Parku.

Na szczycie Tarnicy stoi wielki ażurowy krzyż. Z daleka i z bliska przypomina podobny na Giewoncie. Pod krzyżem pamiątkowa tablica o treści: „Wznoszę swe oczy ku górom / skąd nadejść ma dla mnie / pomoc / Psalm 121 / - / wyprawa na Tarnicę / Karola Wojtyły - 5.VIII.1954 r. / Na pamiątkę III pielgrzymki / Jana Pawła II - czerwiec 1987 r.” Jej wymiary 37 x 32 cm.

Schodzimy przez Hudów Wierszek do Wołosatego. Szlak niebieski zamieniony został na ścieżkę przyrodniczą Parku o 26 przystankach. Zwracamy uwagę na podwójny numer – 19, specjalnie czy też przeoczenie, nie podejrzewam Parku o fuszerkę. Przy numerze 17 stoi wiata, można chwilę wypocząć, takie miejsca są potrzebne i chwala Bogu za to, tylko dla czego zamieniają się one w śmietniki? Pracownicy Parku konserwując wiatę też dostosowali się i porzucili plastikowy pojemnik po oleju. Czy w Parku Narodowym można przybić tablicę informacyjną wprost do żywego drzewa? Można! Jędrak, który jest kustoszem Ośrodka KTG w Beskidzie Śląskim, kręci głową i komentuje: w Nadleśnictwie Wisła usuwa się takie tablice i wymusza na gospodarzu szlaku wymianę, a daleko przecież Nadleśnictwu do Parku Narodowego, są tylko leśnym kompleksem promocyjnym!

Tuż przed Wołosatem z zachwytem obserwujemy pasące się konie huculskie. Piękna klacz z aktorskim zacięciem pozuje nam do zdjęć pod samotną jabłonką. Hodowla Zachowawcza Konia Huculskiego przysporzy Bieszczadom dodatkowych atrakcji.

W baczce PTTK pod Małą Rawką dwóch turystów plecakowych w jadalni. Sezon też dopiero się tu zaczyna. Ze ścian zniknęły słynne horoskopy, dobudowano zadaszenie na tarasie i oferuje się... saunę za 8 zł. Na połoninie Małej Rawki w huraganowym wietrze obserwujemy, jak świetnie z nim radzi sobie kruk. Pod samym szczytem usiadł pod wiatr, rozerwał pozostawiony woreczek z PVC, wyjął sobie kanapkę i odleciał z wiatrem z pełnym dziobem. Nas huragan chciał zrzucić z grani, daleko nam było do

umiejętności kruka. Południowo-zachodnie stoki Rawki porośnięte są skarłowaciałą buczyną, od północnej strony jarząbem, który w tym miejscu zastępuje kosówkę i... upodabnia się do niej. Ciekawe zjawisko.

Sklepy w Ustrzykach Górnych czynne są nawet w niedzielę. Kupujemy chleb z Czarnej, polecany przez miejscowych, jednak wcale rewelacyjny nie jest, ot zwykły chleb. Towaru na półkach sporo, jak w mieście. Po kempingu wędruje sobie z gracją... łania, przychodzi pożywić się, nie boi się ludzi ani aparatów fotograficznych. Z bliska ma coś smutnego w oczach, spuszcza głowę i patrzy w ziemię.

W „Zielonym Domku” Ośrodka KTG w Bieszczadach do sezonu przygotowuje się kustosz Kazimierz B. Schütterl, prywatnie dyrektor szkoły podstawowej w Czarnej. Maluje ściany, dokłada w izbie muzealnej nowe zbiory, planuje nowe publikacje na sezon. Jak widzę – wszyscy w Ustrzykach Górnych czekają tylko na turystów.

W nocy i w dzień etatowym dyżurnym był kumak, do którego skrzeczenia po prostu trzeba się było przyzwyczaić. Wieczorem obok „Zielonego Domku” palimy ognisko, gitarowe popisy Jacka Kotarby dodają kolorytu Bieszczadom, gwiazdy ostro świecą, może za bardzo. Jacek – kustosz „Chałupy Kudzi” z Zawoi wtopił się swoimi piosenkami w bieszczadzkie noce, będzie nam tego brakować, gdy powrócimy w swoje strony. W jednej z piosenek Jacka odnalazłem coś pasującego zarówno do Bieszczadów, jak i do życia: „wędrujemy przez życie wertepami”. Tak, to prawda.

Ryszard M. Remiszewski



Huculy na połoninach. Foto: Archiwum

Ostatnie dni wiosny (czytaj: pierwszą połowę czerwca) spędziłem w Beskidzie Śląskim. Przyznaję, że zbyt często nie bywam w tym uroczym zakątku naszego kraju, dlatego też z wielkim zainteresowaniem przyglądałem się temu regionowi.

Pogoda w tym czasie była znakomita, czasami wręcz „zbyt dobra”, bo upały ok. 30-stopniowe sprzyjały raczej odpoczynkowi w cieniu drzew lub na brze-

budynku. Sam obiekt usytuowany jest na obszernej polanie u stóp szczytu Równicy (884 m), królującej nad pobliskim Ustroniem, na który to szczyt wszak już mało kto wchodzi, chociaż to tylko ok. 15 minut drogi i wiedzie tędy żółty szlak do Skoczowa. Za to ci, którzy podejść chociaż do połowy wzniesienia, mają przepyszne widoki na znaczną część Beskidu Śląskiego. Jak na dłoni prezentuje się masyw

śle i sąsiednim Ustroniem ruchliwie. Liczne sanatoria i domy wczasowe wypełnione dość szczelnie, chociaż nie tak, jak przed laty (w Jaszowcu na przykład rażąco wręcz pusto. Skończyła się hossa na ten modny swojego czasu kurort). Sporo weekendowiczów przybywa tu także w dni wolne od pracy. Oblegają masowo brzegi nadwiślańskie, rozkładają się na leśnych polankach, nieliczni decydują się

## BESKIDZKIE PEREGRYNACJE

gach płynącej tu wartkim nurtem Wisły. Większość dni jednak sprzyjała wędrownikom po górach i okolicznych miejscowościach. A na szlakach spokojnie. Od czasu do czasu można wprawdzie było spotkać młodzieżowe wycieczki (ciekawe, że koniec roku szkolnego tak sprzyja wyprawom turystycznym), ale indywidualnych turystów jak na lekarstwo. Nawet do popularnego wyciągu w stronę Wielkiej Czantorii (995 m) nie było zbyt wielu chętnych i podwójne krzeselka, w ilości prawie dwustu, jeździły puste (ceny w stosunku do karkonoskich bardzo zachęcające: 2,5 zł w jedną stronę i 4 zł w obydwie).

Z odwiedzanych przeze mnie schronisk największy ruch panował w Schronisku PTTK na Równicy. Ale też nie dziwota: tutaj można dotrzeć wygodnie samochodem lub autokarem asfaltową szosą, doprowadzającą wprost do drzwi

Wielkiej i Małej Czantorii sięgający aż po Pogórze Cieszyńskie. Przy dobrej widoczności można dostrzec nawet nowe osiedla Cieszyna. Patrząc w przeciwnym kierunku obserwujemy grzbiet górski przez Soszów Wielki, Cieślak i Stożek (980 m) na Kiczory, a nawet dalej – przez przełęcz Kubalonka aż po spłaszczone masyw Baraniej Góry (1220 m). Przy odrobinie szczęścia można dojrzeć też Łysą Górę (1324 m), leżącą już w Czechach.

Przyznaję, że brakowało mi schroniska na Baraniej Górze i byłem nieco rozczarowany, gdy po dwugodzinnym, okresowo mozolnym podejściu na szczyt niebieskim szlakiem z Czarnego, zamiast wymarzonej szklanki herbaty nabytej w obiekcie turystycznym, zastałem tylko nowo wybudowaną wieżę widokową. Solidna to budowla i myślę, że przetrwa dość długo, zakładając, że nie zajmą się

nią rodzimi wandale, których wszak nie brak i w górach. Widok z platformy wspaniały na zielone morze lasów. Schronisko spotkałem za to u stóp Baraniej Góry, na tzw. Przysłopie (900 m). Obiekt, w którym za jedną złotówkę dostałem wreszcie szklankę herbaty, bardziej jednak przypomina hotel (coś takiego, jak np. Kalatówki w Tatrach) niż przytulny obiekt turystyczny w stylu chociażby karkonoskich schronisk. I pomyśleć, że wymagania te mogłyby spełniać drewniany budynek dawnego schroniska (b. Zameczek Habsburgów), który ze wspomnianego Przysłopu został swojego czasu przeniesiony do centrum Wisły, gdzie mieści obecnie m.in. siedzibę wiślańskiego oddziału PTTK.

A w samej Wi-

śle i sąsiednim Ustroniem ruchliwie. Liczne sanatoria i domy wczasowe wypełnione dość szczelnie, chociaż nie tak, jak przed laty (w Jaszowcu na przykład rażąco wręcz pusto. Skończyła się hossa na ten modny swojego czasu kurort). Sporo weekendowiczów przybywa tu także w dni wolne od pracy. Oblegają masowo brzegi nadwiślańskie, rozkładają się na leśnych polankach, nieliczni decydują się

A w niedzielne popołudnie całe to bractwo wraca do swoich domów. Na szosach tworzą się monstrualne korki i niesamowity tłok w przepełnionych pociągach. Na przykład skład jadący z Wisły do Katowic ok. godz. 17<sup>00</sup> nie zabiera wszystkich pasażerów... Kolejarze tłumaczą się dekapitalizacją taboru i ogólnie trudną sytuacją PKP. I bez tego każdy gołym okiem widzi, jak mocno okrojone są niektóre składy. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że kolej przestała spełniać wymagania weekendowe ruchu turystycznego na trasie Śląsk – Podbeskidzie.

W swoich czerwcowych wędrowkach docierałem nie tylko na górskie szczyty, ale zwiedzałem też podbeskidzkie miasteczka i osady. Cóż w nich przyciągnęło moją uwagę?

Skoczów, miasto na Pogórzu Cieszyńskim, przy ujściu Błotnicy do Wisły, dotychczas kojarzył mi się z postacią Gustawa Morcinka, jednego z najwybitniejszych pisarzy śląskich (1891-1963). Tutaj żył i tworzył, tutaj też w zabytkowej kamieniczce przy ul. Fabrycznej 5 powstało muzeum jego imienia. Na skwerku przy ul. Mickiewicza znajduje się pomnik pisarza siedzącego w fotelu, natomiast na domach, w których mieszkał, a jest ich pięć, oraz na frontonie Szkoły Podstawowej nr 1, w której uczył, znajdują się tablice pamiątkowe. Teraz Skoczów ma kolejną wybitną postać – Jana Sarkandra (1576-1620), którego 22 maja 1995 r. papież Jan Paweł II, w czasie swojej bytności w tym mieście, powołał do grona świętych. W związku z tym Skoczów dorobił się muzeum biograficznego oraz traktu turystycznego śladami swego rodaka, wiodącego od miejsca urodzin w podziemiach kamienicy stojącej obok ratusza



Autor na tle schroniska „Pod Soszowem” w drodze z Wielkiej Czantorii na Stożek. Foto: R. Szlagor



Skoczów. Ratusz i kamienica – miejsce urodzin św. Jana Sarkandra. Foto: R. Szlagor

(obecnie jest tam kaplica), poprzez kościół p.w. Znalezienia Krzyża Świętego, gdzie zachowała się chrzcielnica, przy której przyszedł święty został ochrzczony, kościół parafialny p.w. Świętych Piotra i Pawła z cyklem malowideł przedstawiających sceny z życia Jana Sarkandra, aż po kaplicę na szczycie wzgórza zwanego Kaplicówką, gdzie odbyła się wspomniana powyżej kanonizacja. Na szczyt wiedzie Aleja Jana Pawła II licząca sobie około 300 schodów. Ale wejście tam warte jest tego trudu, bo widok stąd fantastyczny – na Skoczów i sąsiednie osiedla, aż po Ustroń i rysujący się na tle nieba Beskid Śląski.

Ze Skoczowa wychodzą dwa szlaki: żółty i zielony. Początkowo bieżą razem, wzdłuż brzegów nadwiślańskich, potem żółty podąża przez zbocza Lipowskiego Gronia na Równicę, a zielony, po przejściu kładką na prawy brzeg Wisły, wiedzie do Górek Wielkich. Tutaj zaś, na skraju wsi, w uroczym parterowym domu, znalazło miejsce muzeum biograficzne byłej mieszkanki, wybitnej pisarki Zofii Kossak (-Szczyckiej-Szatowskiej, 1890-1968), natomiast w centrum, tuż obok kościoła parafialnego Wszystkich Świętych, na cmentarzu znajdują się groby Zofii Kossak i jej męża Zygmunta Szatowskiego. Z Górek Wielkich zielonym szlakiem można udać się w kierunku schroniska na Błotnym, ale to już inna opowieść.

Ustroń, gdzie miałem swą stałą bazę, to miasto o charakterze wczasowo-uzdrowiskowym, położone w dolinie Wisły, na skraju Beskidu Śląskiego. Charakterystycznym akcentem są tu usytuowane na zboczach Zawodzia, u stóp Lipowskiego Gronia i Równicy, tzw. piramidy, czyli kompleks 18 budowli sanatoryjnych. Ich sylwetki ożywiają panoramę, gdy z po-

bliskich szczytów lustruje się okolicę Ustronia. Ustroń zapadł mi w pamięci nie tylko z racji rozległych widoków i szlaków wiodących stąd na Równicę oraz Wielką i Małą Czantorię, ale też dzięki miejscowemu folklorowi. Byłem świadkiem występu reprezentacyjnego zespołu Ustronia – Estrady Ludowej „Czantoria”, mającego w swym repertuarze stylizowane regionalne utwory, ale też pieśni religijne, patriotyczne i okolicznościowe, urozmaicone tańcem i muzyką. Ich występowi można poświęcić osobny artykuł, ale wystarczy, że powiem krótko: byłem oczarowany.

Sąsiadująca z Ustroniem Wisła, to już jeden z najważniejszych ośrodków wczasowo-turystycznych w Polsce. Swojego czasu mieszkali tu krócej lub dłużej m.in. Maria Konopnicka, Bolesław Prus, Władysław Orkan, Władysław Reymont, Tadeusz Boy-Żeleński, Czesław Miłosz. Obecnie mieszka tu m.in. aktualny trener piłkarskiej reprezentacji Polski – Antoni Piechniczek. Wisła to też ważny ośrodek sportowy, miejsce przygotowań olimpijczyków, trzy skocznie narciarskie (w tym najbardziej znana w Malince) oraz tereny narciarskie na Kubalonce. Gdy zmierziałem w stronę zapory na Jeziorze Czernańskim, na szosie wiodącej do Czarnego swą suchą zaprawę na narto-rolkach miały biegaczki narciarskie. Na świecie upał, a te w pocie czoła szykują formę na najbliższą zimę...

Wisła to też nazwa największej rzeki Polski (długości 1047 km). Szukałem jej źródeł idąc szlakiem w stronę Baraniej Góry i mając cały czas w zasięgu ręki Białą Wisłę, tworzącą tu liczne kaskady (m.in. Wodospad Kaskady Rodła). Gdy wracałem z tejże wyprawy towarzyszyła mi dla odmiany Czarna Wisłęta, przynosząc moim zmęczonym nogom ulgę w swych nurtach. Ale do źródeł nie dane mi było dotrzeć. Zresztą trudno określić konkretnie miejsce dające początek rzece. Tworzą ją liczne źródła i wykopy na zachodnich i południowych stokach Rezerwatu Barania Góra. Na dobrą sprawę Wisła (nie Wisłęta) zaczyna się dopiero w Nowej Osadzie z połączenia Białej i Czarnej Wisłęty oraz Malinki. I stąd płynie przez Wisłę, Ustroń, Skoczów, następnie tworząc Jezioro Goczałkowickie.

Podążałem tą trasą wracając do domu. W Goczałkowicach Wisła skręciła na wschód, ja zaś przez Pszczynę dotarłem do Katowic, gdzie miałem przesiadkę w stronę Wrocławia. Zostawiłem za sobą niezapomnianą urodę beskidzkiego krajobrazu, którego wspomnienie towarzyszy mi w czasie pisania tych słów. Niechaj tym, którzy już tam byli, okrucy tych moich doznań ożywią ich własne wspomnienia, a tych, którzy jeszcze nie poznali tego zakątka kraju, zachęcą do jak najszybszych odwiedzin.

Ryszard Szlagor

## ZACHOWAWCZA HODOWLA KONIA HUCULSKIEGO W BIESZCZADZKIM PARKU NARODOWYM

Rasa koni huculskich ukształtowała się w XVI wieku na obszarze Karpat Wschodnich. Powstała ze skrzyżowania miejscowego konika typu tarpan i konia mongolskiego. Mieszankę uszlachetniano tureckimi i arabskimi. W ten sposób stworzono ekotyp konia prymitywnego, doskonale przystosowanego do miejscowych warunków. Owe konie większą część roku spędzały na łąkach, a tylko w okresie złych warunków pogodowych chroniły się w szałasach. Dzień i noc, nawet zimą, mogły stać pod zadaszeniem lub przy brogach. Są wytrzymałe, odporne na choroby i niewybredne, mają wrodzone zdolności pokonywania przeszkód, łagodne i pojętne. Używane jako konie juczne, nosiły ładunki do 150 kg po stromych ścieżkach, co przy ich wadze (300-350 kg) jest dużym osiągnięciem. Były wykorzystywane jako wierzchowce. Nosiły na swoim grzbiecie dorosłych i dzieci. W zrywce drzewa wytrzymałością i ambicją przewyższały konie dużej rasy.

Bieszczadzki Park Narodowy chroniąc przyrodę Karpat Wschodnich i elementy kultury tego regionu, działa również na rzecz zachowania rasy konia huculskiego w miejscu jego naturalnego bytowania. Decyzją dyrektora Wojomira Wojciechowskiego gospodarstwo pomocnicze w Wołosatem przystąpiło do tworzenia zachowawczej hodowli konia huculskiego. Środki finansowe na organizację i zakup materiału hodowlanego Bieszczadzki Park Narodowy uzyskał z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

Obecnie mamy w Polsce jedyną Stadninę Koni w Gładyszowie, która specjalizuje się w hodowli konia huculskiego. Dostrzegamy jednak różne niebezpieczeństwa związane, z jednej strony z przekształceniami własnościowymi i podporządkowaniem hodowli kryteriom ekonomicznym, a z drugiej, jak się łatwo domyślić, koncentracją całej populacji w jednej stadninie, która może ulec likwidacji w czasie epidemii lub innej klęski żywiołowej. Różne zagrożenia i okoliczności były powodem, że Park Narodowy w Bieszczadach zdecydował się na prowadzenie zachowawczej hodowli konia huculskiego. Ze względu na ograniczenia finansowe przewiduje się niewielką grupę, około 85 koni. Jednym z ważnych motywów uruchomienia tej hodowli było włączenie terenów wsi Wołosate wraz z fermą Igloopolu do Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Utworzona zostanie również filia hodowlana w obiekcie Wetlina, którą Park przejął w 1993 roku.

Bogusław Pasternak  
Bieszczadzki Park Narodowy  
(„Parki Narodowe” 2/95)

# IV OTWARTE MISTRZOSTWA POLSKI W TRIATHLONIE GÓRSKIM – KARPACZ '96



Start do „zjazdu kajakowego” na rzece Kamiennej

Owa wspaniała impreza odbyła się w dniach 27-28.04.1996 r. w Szklarskiej Porębie i Karpaczu, skupiając czołowych polskich zawodników oraz wielu widzów i sympatyków tej ciekawej dyscypliny sportu.

Zawodnicy zmagali się z 800-metrowym odcinkiem Kamiennej o trudnościach WW IV (w sześciostopniowej Międzynarodowej Skali Trudności Rzek Górskich), drogą wspinaczkową o wysokości 22 m i trudności IV+ i 10 km trasą crossu rowerowego.

W pierwszym dniu rozegrany został zjazd kajakowy, najbardziej widowiskowa i najtrudniejsza konkurencja triathlonu. Start ustawiono na Kamiennej, przy ujściu Szklarki, gdzie odbywały się także imprezy towarzyszące (kiermasze, kuchnia polowa, prezentacje zawodników). Nowicjusze z lekkim strachem spoglądali na silny nurt rzeki, widząc już siebie miotanego po wielkich głazach i przytapianego przez rozszalałą rzekę. Odwagi dodawał fakt, że cała trasa zabezpieczona była przez specjalnie przeszkolone i wyposażone grupy asekuracyjne, które na brak pracy nie narzekały. Doświadczeni zawodnicy nie mieli takich problemów, liczył się tylko czas. Najlepszym okazał się Jarosław Woźniak (Marin-Morzkułc – USA), pewnie pokonując trasę w czasie 4 min. 36 sek. Tuż za nim

uplasowali się Bogusław Nizikiewicz (Pluskon-Giant-Kwark) – 4 min. 50 sek. i ubiegłoroczny Mistrz Polski Tomasz Swinarski (Pluskon-Giant-Kwark) – 4 min. 53 sek. Pierwszą konkurencję ukończyło tylko 25 zawodników. Organizator, którym był Akademicki Klub Turystyki Kajakowej „Bystrze” z Krakowa, zapewniał także sprzęt, co umożliwiło start nowicjuszom (nie zrzeszonym w klubach kajakowych), dla których kajaki polietylenowe z pełnym osprzętem są nieosiągalne, ze

względu na wysokie ceny zakupu i minimalne możliwości wypożyczenia. Piękna pogoda towarzyszyła zawodnikom przez cały dzień, umożliwiając pechowcom szybkie wysuszenie odzieży i wychłodzonego ciała po przymusowej kąpieli.

Niedzielnny poranek okazał się już chłodniejszy. Tuż po godz. 10 zawodnicy rozpoczęli kolejną konkurencję – wspinaczkę na „Kruczych Skałach”. Limit czterominutowy pozwalał spokojnie przejść całą drogę, nieliczni tylko odpadali i to głównie tuż pod zawieszonym na szczycie dzwonkiem, wyznaczającym koniec drogi. Prawdziwą klasę pokazali zawodnicy „Sportivy Alpinus” przebiegający wręcz po skale. Niewątpliwie było to wynikiem wcześniejszego „patentowania” poszczególnych przechwyty, lecz regulamin tego nie zabraniał i każdy mógł przed startem poprobać swoich sił. Zwycięzcami tej konkurencji zostali: Jacek Zaczkowski – 28,4 sek., Jacek Kantyka 30,5 sek., Dominik Pilip – 30,7 sek., wszyscy „Sportiva Alpinus”.

Bezpośrednio po zakończeniu wspinaczki rozpoczynał się cross rowerowy. Pętla o długości 10 km z 2-km podjazdem, ostrymi zjazdami w śniegu i po kamieniach, dawała wiele satysfakcji. Nie obyło się bez licznych upadków, złapanych gumach i rozbitych kolanach. Najlepszy czas



Dekoracja zwycięzców triathlonu

# TATRY I ZAKOPANE: Co? Gdzie i za ile?



Trening tuż przed zawodami na Kruczych Skalach

wykręcił Dariusz Szewczyk (Sportiva Alpinus – 42 min. 31,9 sek.), drugi był Przemysław Blok (Bystrze II) – 43 min. 42 sek., na trzecim miejscu ułokował się Marcin Gaborski (Bystrze II) 43 min. 21 sek.

Po obiedzie wszyscy zebrali się w gościnnych progach Szkoły Górskiej w Karpaczu (współorganizatora imprezy), gdzie ogłoszono oficjalne wyniki. Mistrzem Polski w Triathlonie Górskim na 1996 r. został Jarosław Woźniak (Marin-Morzkuł – USA), wicemistrzem Dariusz Szewczyk (Sportiva Alpinus), zaś II wicemistrzem Tomasz Swinarski (Pluskot-Giant-Kwark).

Drużynowo zwyciężyły: 1. Marin-Morzkuł – USA, 2. Pluskon-Giant-Kwark, 3. Bystrze II.

Atmosfera na imprezie była bardzo miła, nie odczuwało się bezpośredniej rywalizacji, a najcięższa była walka z samym sobą, pokonanie własnych słabości. Żał tylko, że tak mało zawodników reprezentowało nasz teren, myślę, że za rok będzie nas (sudeciaków) więcej.

Do zobaczenia za rok, na V Otwartych Mistrzostwach Polski w Triathlonie Górskim – Karpacz' 97. Wszelkie informacje uzyskać można pod adresem: AKTK „Bystrze”, 30-050, Kraków ul. Akademicka Boczna 9.

Tekst i foto:  
Bogusław Romaszewski

**Schroniska:** Schronisko na Kalatówkach – 84 m., ceny od 16 do 28 zł, tel. 634-44; schronisko na Hali Kondratowej – 20 m., ceny: 11 zł, tel. 152-14; schronisko „Murwaniec” na Hali Gąsienicowej – 108 m., ceny od 13 do 16 zł, podłoga 8 zł, tel. 123-33; schronisko w Dolinie Pięciu Stawów – 70 m., ceny: od 9 do 11 zł, tel. 77-607; schronisko w Dolinie Rزتoki – 77 m., ceny: od 6 do 13 zł, tel. 77-442; schronisko na Hali Ornak – 70 m., ceny: od 11 do 15 zł, tel. 705-20; schronisko na Polanie Chochołowskiej – 130 m., ceny: od 10 do 20 zł, tel. 705-10; schronisko „Morskie Oko” – łóżko z pościelą 20 zł, przyce 10 zł, tel. 77-609.

**Zakopane:** Schronisko Młodzieżowe – 270 m., 9 zł ze śniadaniem, tel. 66-203; „Dom Turysty” – 400 m. od 10 zł do 36 zł, apartament 90 zł, tel. 632-81; camping „Pod Krokwią”, ul. Żeromskiego (tel. 122-56), ciepła woda, prysznice, wc. Pobyt 1 osoby 5 zł, dzieci zniżka 50%, do 4 lat bezpłatnie. Noclegi w domkach campingowych 16-18 zł od osoby, w pokojach z łazienką 20-22 zł od osoby, namiot 4 zł, przyczepa camp. 6-8 zł, sam. osob. 4 zł, duży 6 zł, zniżki 20% dla młodzieży szkolnej, emerytów, rencistów. Opłata miejscowa 0,30-0,50 zł od osoby na dzień. Samochód campingowy 10 zł + 8 zł za podłączenie do energii. Camping „U Daniela” – Oberconiówka, tel. 612-96, prysznice, łazienka, parking strzeżony, bufet, ciepła woda, ubikacje. Pobyt 1 osoby 2,50 zł + ustawienie namiotu (od 2,50 zł do 3 zł), camping „Harenda” – os. Harenda, tel. 147-00, prysznice, ciepła woda, sauna, ubikacje. Pobyt 1 osoby 4 zł, namiot 4 zł, noclegi w domkach 12-18 zł od osoby, camping SN PTT – ul. Za Strugiem 39, tel. 145-66, prysznice, ciepła woda w określonych godzinach, ubikacja, sklepik, świetlica z kominkiem. Pobyt 1 osoby – 6 zł. Noclegi w domkach od 12 zł.

**Wypożyczalnia rowerów górskich:** ul. Br. Czecha, 1 godz. 3 zł, 4 godz. 10 zł, doba 20 zł, tel. 120-05.

**Przewodnictwo górskie:** Centrum Przewodnictwa Górskiego, Rondo Kuźnickie, tel. 637-99, Biuro Usług Turystycznych PTTK, ul. Krupówki 12, tel. 124-29. Przewodnictwo – Alpinizm – Narciarstwo, tel. 142-61. Przewodnictwo wysokogórskie – kursy wspinaczki skalnej. Zakopane, tel. 127-36, 62-746.

**Przejścia graniczne:** Chyżne. Czynne całą dobę (kantory wymiany walut, stacja benzynowa, PZU, Warta, Atu, Łysa Polana. Czynne całą dobę. Chochółów – Sucha Hora. Czynne w godz. 8-18. Przejście dla obywateli: Polski, Słowacji i Czech. Nizdica. Czynne w godz. 6-19. Piwniczna. Tylko dla samochodów osobowych.

**Turystyka piesza poza szlakami znakowanymi w Tatrach:** turyści indywidualni mają możliwość wejścia na niektóre szczyty i przełęcze poza szlakami znakowanymi na terenach, na których dopuszczalna jest działalność taternicka, pod warunkiem, że są prowadzone przez przewodników tatrzańskich posiadających ważną licencję oraz wymagane kwalifikacje taternicze. Ponad 30 przewodników z Zakopanego posiada takie uprawnienia. Informacje: Centrum Informacji Turystycznej TPN przy Rondzie, tel. 637-99 oraz PTTK, ul. Krupówki 12, tel. 158-48.

**Turystyka rowerowa:** na terenie Tatr jest dozwolona tylko na wyznaczonych i oznakowanych trasach. Na terenie Podtatrza można korzystać z wielu dróg asfaltowych, gruntowych i ścieżek, które pokrywają go gęstą siecią. Na obszarze słowackiego Podtatrza oznakowano wiele tras rowerowych. Sport jest ich także w paśmie Magury Spiskiej oraz w Słowackim Raju i Górach Lewockich. Trasy rowerowe w TPN: z Siwej Polany do schroniska na Polanie Chochołowskiej, od Ronda przez Kuźnice do schroniska na Kalatówkach, z Brzeziny Dolną Suchoj Wody do schroniska na Hali Gąsienicowej, z Białczańskiej do schroniska przy Morskim Oku, drogą pod Regłami

na odcinku Siwa Polana – Bystre. Trasy w TANP: z Łysej Polany do Polany Białej Wody, z Białej Wody do Kieżmarskiej, do schroniska przy Zielonym Stawie Kieżmarskim, z Tatrzańskimi Łomnicami do Startu, ze Starego Smokowca na Siedelko, z Tatrzańskimi Polankami do schroniska Śląski Dom w Dolinie Wielickiej, ze Szczyrbskiego Jeziora drogą asfaltową do Popradzkiego Stawu, z Podbańskiej do doliny Koprównej, z Podbańskiej Doliny Cichą, aż do miejsca, gdzie żółty szlak odchodzi z drogi w kierunku Suchoj Przełęczy, z Przybyliny do wylotu Doliny Raczkowej, a następnie terenową Drogą nad Łakami aż do Lip-towskich Matiaszowic.

**Kolejki linowe:** kolej czynna w godz. 7.30-18.10. Bilety: w obie strony 14 zł, ulgowy 9 zł. Tylko w górę: bilet normalny 9 zł, ulgowy 6.50. Kolej linowa – Botorowy Wierch. Czynna 9-18. Kolej linowo-terenowa – Gubałówka. Czynna 6.45 -21.50. Cena biletu w obie strony 4 zł.

**Warunki bezpieczeństwa w Tatrach:** stary złodowiaczy śnieg leży jeszcze miejscami w wyższych partiach Tatr Wysokich, m.in. na ścieżkach na Rysy i Mięgusowiecką Przełęcz pod Chłopkiem oraz na Orlej Perci. W razie spadku temperatury powietrza i opadów można spodziewać się w partiach szczytowych drobnych opadów śniegu. Może także wystąpić oblodzenie. Po ostatnich, intensywnych opadach deszczu zostało uszkodzonych w Tatrach wiele ścieżek turystycznych, co jednak nie spowodowało ich zamknięcia. Podniósł się także stan wody w stawach, utrudniając miejscami ich obejście. W dalszym ciągu zerwany jest łańcuch przy zejściu z Giewontu na płytach. Istnieje możliwość wystąpienia burz orograficznych. W czasie burzy nie należy wchodzić na szczyty, należy unikać otwartych stoków. Wycieczki udające się w Tatry powinny korzystać z usług licencjonowanych przewodników tatrzańskich. Codziennie na bieżąco przed wyruszeniem w góry należy zapoznać się z komunikatem turystycznym TPN lub poinformować o aktualnych warunkach panujących w Tatrach w punkcie informacji TPN (tel. 637-99). W razie wypadku należy powiadomić służby ratownicze, po polskiej stronie Tatr TOPR, a po słowackiej HS. TOPR, Zakopane, ul. Piłsudskiego 63 a, tel. alarmowy 634-44 – można również zgłosić wypadek w schroniskach tatrzańskich, z których jest łączność telefoniczna i radiowa z TOPR.

HS Wysokie Tatry, Dom HS, Stary Smokowiec, tel. 0969-28-20, HS Tatry Zachodnie-Zwierówka, tel. 0845-95-101, HS Tatry Zachodnie, Zarska Dolina, tel. 0849-961-158, HS Niżne Tatry, Dolina Demianowska, tel. 0849-916-78.

Przed wyruszeniem na szlak warto zaopatrzyć się w przewodniki, mapy w Księgarni Górskiej (w Domu Turysty, ul. Zaruskiego 5). Z nowości księgarnia proponuje: *Na jednej linii* – Wanda Rutkiewicz, *Dolomity* – Dariusz Tkaczyk, *Nie tylko Pireneje* – Pamiętnik PTT, tom IV, *Czerwone Wierchy, część zachodnia, Tatry, przewodnik szczegółowy*, tom 3 – Władysław Cywiński, *Pieniny* – album fotograficzny z tekstem J. Kolbuszewskiego, *Tatry* – kieszonkowy atlas, *Góry-Literatura-Kultura*, pod redakcją Jacka Kolbuszewskiego, *Babiogórskie ścieżki* – Urszuli Janickiej-Krzywdy, *Opowieści ze ścian* – John Roskeley.

## ZAPROSILI NAS:

Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Zakopanem na wystawę obrazów Zdzisława Walczaka „Szałas tatrzański”.

Muzeum Podhalańskie PTTK w Nowym Targu na wystawę „Nowy Targ na przełomie XIX i XX wieku”.

Muzeum Stylu Zakopiańskiego w „Kolibie”, ul. Kościeliska 18, na „Architekturę wnętrz w stylu zakopiańskim” oraz „Portrety St. I. Witkiewicza”.

# SKALNE MIASTO

Zawsze byłem zwolennikiem elastyczności planów w czasie wakacyjnych podróży, dlatego też nie zdziwiło mnie, że jadąc w Jesioniki trafiłem do odległego od nich o ponad 100 km miasteczka. A stało się to za sprawą spotkanego gdzieś po drodze mieszkańca Kłodzka: „Panie, co tam Jesioniki, czy był pan w Skalnym Mieście? To dopiero jest piękne miejsce”. I w ten sposób, mimo że tyle nasłuchałem się o uroczych zakątkach w okolicach Złatych Hor i Jesionika, ruinach zamków, Pradziadzie i jaskini „Na Pomezi”, trafiłem do niewielkiego przemysłowego miasteczka – Polic nad Metují.

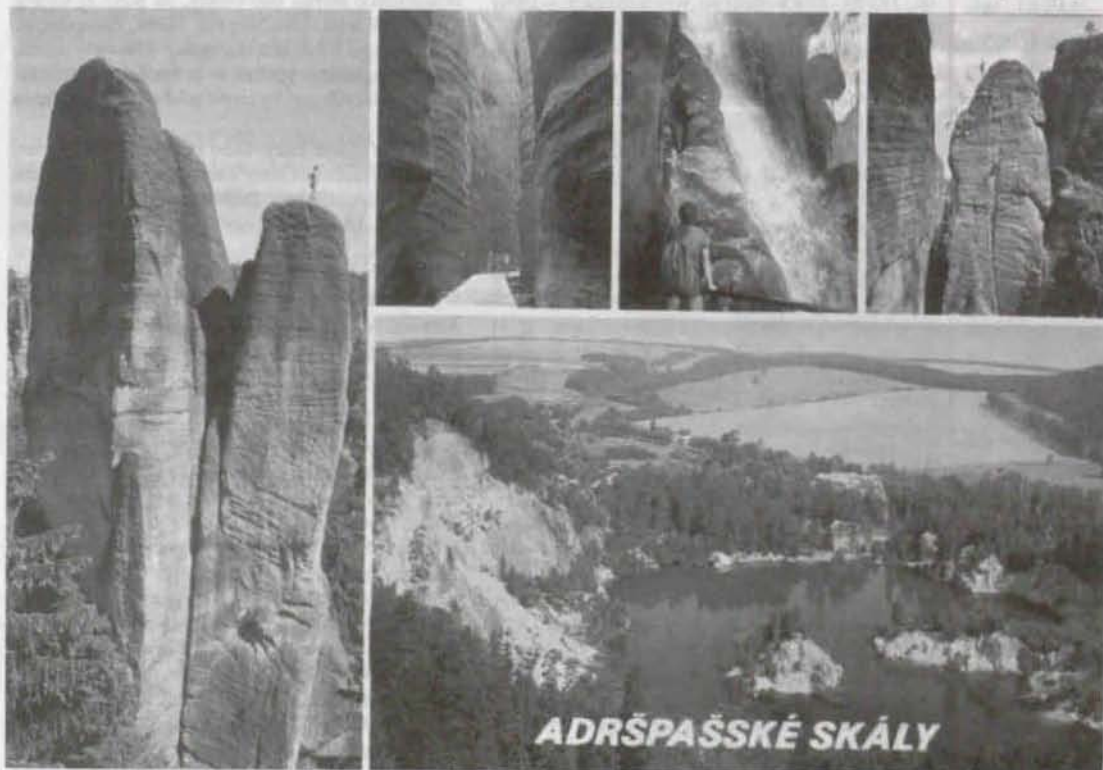
To bardzo stare miasto, wzmiankowane już w 1213 r., zauroczyło mnie swoją życzliwością i uprzejmością. Począwszy od kierowcy, który mnie tutaj przywiózł, poprzez spotkanych na ulicy ludzi i właściciela restauracji „Ostaš” po przemiłą panią Macounová, która lubi Polaków i chętnie ich widzi w hotelu „Spartak”. Hotel to akurat nieadekwatne tutaj słowo, gdyż kojarzy się przede wszystkim z drogimi noclegami, a tu nocleg kosztuje tylko 85 Kč, a do tego do dyspozycji gości są 2-5-osobowe pokoje z ogrzewaniem, świetlicą, kuchnią z wyposażeniem umożliwiającym przygotowanie nawet najbardziej wymyślnych posiłków oraz natryski, sauna i suszarnia.

A jeśli traficie akurat na komplet gości, to kierowniczką znajdziecie Wam nocleg w innym miejscu za podobną cenę. Wszyscy wiemy, jak wiele znaczy miła i sympatyczna obsługa w schronisku, dla której turysta nie jest niechcianym i natrętnym intruzem, lecz gościem. Tak tu właśnie jest.

Mając już z głowy problem noclegu, warto wybrać się na wycieczkę po mieście. Możliwości jest kilka. Można zacząć na przykład od zwiedzenia polickich piwiarni. Stawa czeskiego piwa jest w Polsce na tyle duża, że nikogo chyba nie muszą namawiać do degustacji złotego trunku. Jednakże konieczne jest w tym miejscu ostrzeżenie – chcąc spróbować wszystkich rodzajów piwa lepiej, ze zrozumiałych względów, przeznaczyć na to przynajmniej kilka dni. Piwo jest tu tanie, a siedząc przy nim można we wspólny sposób poznać lokalne zwyczaje i folklor. Najpopularniejszym browarem jest tu Broumov–Olivetin, produkujący „ambrozię śmiertelnych” już od 1348 r.! Gorzej jest ze znalezieniem słynnego „Złotego Bażanta”, którego lepiej spróbować w budkach na przejściu granicznym. Ugasiwszy pierwsze pragnienie, mamy czas na zobaczenie samego miasta, znajdującego się na zewnątrz licznych piwiarni. Leży ono w płytkiej i malowniczej kotlinie Wyżyny Polickiej i posiada

typowy dla średniowiecza układ miejski z kwadratowym rynkiem i siecią ulic wychodzących z naroży rynku. Ratusz, wybudowany w końcu XVI w., obecny kształt uzyskał dopiero w 1718 r. Przy jego budowie współdziałał Kilian Ignaz Dientzenhofer, najwybitniejszy przedstawiciel czeskiego baroku. Warto wspomnieć o jego największych dziełach, którymi są m.in. kościół św. Mikołaja na Starym Mieście i kościół św. Tomasza na Małej Stranie w Pradze, a także inne kościoły i pałace budowane w Czechach i na Śląsku, np. klasztor Benedyktynów w Legnickim Polu.

Wart zobaczenia jest też w Policach wczesnogotycki kościół Wniebowstąpienia PM, założony przez opata Martina w latach 1253–78 i z wejściem ozdobionym portalem. Zachowały się też resztki renesansowych i barokowych malowideł oraz okno z gotyckimi łukami. Klasztor Benedyktynów, wybudowany równoległe z kościołem, zlikwidowany został w 1785 r. i obecnie budynek ten służy jako muzeum państwowe i biblioteka miejska. Police są doskonałym punktem wypadowym w Broumovskie Stěny, Ostaš Adršpasko-Teplickie Skały – zwane popularnie Skalnym Miastem. Są to niewątpliwie najpiękniejsze zakątki tego regionu uznanego Obszarem Krajobrazu Chronionego Regionu Broumovskiego. CHKO Broumovsko powstał w celu ochrony unikatowych w skali światowej krajobrazów. Przed milionami lat było w tym miejscu płytkie morze z wieloma dopływami, które nanosiły muł i piasek. Na skutek parowania wody oraz pod wpływem dużego ciśnienia tworzyły się formacje skalne, które po odsłonięciu poprzez działanie słońca i wiatru popękały, tworząc fantazyjne formy. Głębokie, zacienione wąwozy stwarzają dobre warunki wzrostu roślinności typowej dla obszarów położonych wyżej, natomiast na wysoko usytuowanych platformach skalnych występuje roślinność charakterystyczna dla przedgórza i terenów nizinnych. Rośnie tam rojownik bagienny, góraska orchidea, goryczka, a także duża różnorodność mchów i paproci. Ze zwierząt spotykamy na



ADRŠPAŠSKÉ SKÁLY

Reprodukcja czeskiej widokówki



Milenci w Adršpańskich Skałach  
Foto: Piotr Mrugalski

tym terenie lisa, borsuka, jelenia, sarnę i dzika.

Jeśli ktoś był w Błędnym Skałach czy na Szczelińcu Wielkim w Górach Stołowych, to łatwo mu będzie wyobrazić sobie niesamowitość okolic Adršpachu i Teplíc. Skalne Miasto można przyrównać do tych formacji skalnych, różnica natomiast polega na skali. Ścieżka, prowadząca przez Szczeliniec czy Błędne Skały, wije się wśród potężnych, czasem nawet kilkumetrowych bloków skalnych, co stwarza wrażenie labiryntu zbudowanego przez naturę. Tutaj ściany mają wysokość kilkudziesięciu metrów, co daje niesamowite wrażenie. To ogromne formy skalne wielkości bloków mieszkalnych, pionowo pnące się ku niebu. A w tym mega-labiryncie jest mały, zaledwie dwumetrowy człowiek, będący niczym mrówka wśród masywnych głazów. Skały wyrzeźbione przez słońce i wiatr mają

rozmaite kształty. Do najciekawszych należą Kochankowie, Starosta i Starościna, Wieża Strażnicza, Ząb Karkonosza i wiele innych. Do rezerwatu, bo cały teren Adršpassko-Teplickich Skał jest od 1933 r. pod ochroną, prowadzi wejście przez furtę umieszczoną w skalnej bramie. Rezerwat składa się właściwie z dwóch Skalnych Miast, biorących swe nazwy od pobliskich miasteczek – Adršpachu i Teplíc nad Metuji. Obie części połączone są szlakami turystycznymi: żółtym, prowadzącym dość wygodną ścieżką przez Wilczy Wąwóz, i niebieskim, który wyznakowany jest wśród skał i dużych uskoków, trzeba więc przygotować się na teren trudny i podmokły. Polecam jednak właśnie ten drugi, bardzo urozmaicony i dający szansę sprawdzenia swych górskich możliwości oraz pełniej pozwala poznać charakter tego miejsca. Niezbędne są wszakże tutaj dobre buty i ostrożność.

Niewątpliwą atrakcją Teplickich Skał jest zamek Strmen (Strzemię). Zbudowany w połowie XIII w., należał do rodu mającego w herbie strzemię. W różnych źródłach wzmiankowany był jako gród graniczny. Do dnia dzisiejszego zachowały się niktę resztki, służące za punkt widokowy. Przy dobrej pogodzie widać stąd Karkonosze z ich najwyższym szczytem Śnieżką. Do ruin prowadzi kilkaset metalowych, drewnianych i wykutych w skale stopni. Najpiękniejszym natomiast miejscem okolic Adršpachu jest niewielkie jeziorko, gdzie dzieci po trzykroć wzywają Karkonosza, który w odpowiedzi chlusta niewielką siklawą. Wielu wrażeń dostarczają przejażdżki łodziami po tym bardzo malowniczo położonym jeziorku, kończące się w miejscu rozbrzmiewającym wielokrotnym echem.

Nie sposób opisać wszystkich wrażeń, jakich dostarczają te cudowne tereny. Będąc w czasie wakacji w Pieninach usłyszałem opinię, że Sudety to mało ciekawe, niskie góry, bez szczególnych miejsc. Dedykuję ten artykuł wszystkim zwolennikom owej opinii i chciałbym zaprosić ich w okolice Adršpachu i Teplíc: odwiedźcie Ostaš koło Polic i Broumovskie Stěny! To po prostu czeska część Gór Stołowych, leżąca tuż za granicą i jestem pewien, że zmieni Wasz stosunek do Sudetów. Do Polic nad Metuji najlepiej dostać się przez przejście graniczne w Mieroszowie – Mezimesti lub Kudowie – Nachodzie. Z obu tych miejsc można dojechać kolejką do stacji Ždar n/Metuji, skąd żółtym szlakiem w ciągu pół godziny dociera się do centrum miasta.

Waldek Brygier

## KIEDY PRZEZ GÓRY NA SŁOWACJĘ?

Zarząd Główny PTTK po raz kolejny podjął starania o otwarcie przejść granicznych na szlakach turystycznych. W projekcie umowy mowa jest o przekraczaniu granicy od świtu do zmroku.

Kiedy ruszymy turystycznymi szlakami na Słowację – nie wiadomo. Mamy nadzieję, że odpowiednie władze podejmą decyzję jeszcze w sezonie letnim.

Proponowane miejsca przejść:

- BESKID ŚLĄSKI**  
 Jaworzynka – Čierne pri Čadci  
**BESKID ŻYWIECKI**  
 Zwardoń – Serafinov  
 Kikula – Kykul'a – Vreščowka  
 Wielka Racza – Vel'ka Rača  
 Przeł. Przysłop (Sobólówka) – Vychylovka  
 Przełęcz Glinka – Novot' Tisanovka  
 Pilsko – Pilsko  
 Przełęcz Glinne – sedlo Hliny  
 Przełęcz Gluchaczki – sedlo Gluchački  
 Przełęcz Jałowiecka – Jalovecké sedlo  
 Mała Babia – Mala Babia hora  
 Babia Góra – Babia hora  
 Przywarówka (Lipnica Wielka) – Rabčice
- TATRY**  
 Juraniowa Przełęcz – sedlo Prislop  
 Przełęcz Bobrowiecka – Bobrovecké sedlo  
 Grześ – Lučna  
 Rakoń – Rákoň  
 Wołowiec – Volovec  
 Jarząbczy Wierch – Hruby vrch  
 Kończysty Wierch – Končista  
 Starorobociańska Przeł. – Račkovo sedlo  
 Raczkowa Przełęcz – Gábarovo sedlo  
 Blyszcz – Blyšť  
 Pyszniańska Przełęcz – Pyšné sedlo  
 Tomanowa Przełęcz – Tomanovo sedlo  
 Kasprovy Wierch – Kasprov vrch  
 Przełęcz Liliowe – L'aliové sedlo  
 Gładka Przełęcz – Hladké sedlo  
 Wrota Chalubińskiego – Chalubiňského vrata  
 Przełęcz Mięguszowiecka pod Chłopkiem – Mengusovské sedlo
- RYSY – RYSY**  
 Stara Roztoka – Bielowodská dolina
- PIENINY**  
 Sromowce Niżne – Červený Kláštor  
 Szczawnica – Lesnica  
 Rabsztyn – Rabštin  
 Wierchliczka – Vrchiečky
- BESKID SADECKI**  
 Eliaszówka – Eliašovka  
 Dubne – Obručne  
 Przełęcz Tylicka – Kurovské sedlo
- BESKID NISKI**  
 Przełęcz Regetowska – sedlo Regetovská voda  
 Przełęcz Beskid (Ożenna) – Nižna Polianka  
 Baranie (Polany) – Náslavok (Vyšná Pisaná)  
 Kanasiówka – Kalinov
- BIESZCZADY**  
 Głęboki Wierch – Hiboky Vrch  
 Stryb – Stron  
 Okrażlik – Kruhliak  
 Czoło – Čelo

## LĄDEK ZDRÓJ PO RAZ DRUGI

Organizowany swego czasu z wielkim rozmachem festiwal Filmów Górskich w Katowicach od kilku już lat nie jest kontynuowany. Trochę szkoda tej imprezy. Wszystko bowiem wskazuje na to, że tego typu przedsięwzięcie było jednak potrzebne. Najlepszym dowodem jest fakt, że powstała luka starali się wypełnić organizatorzy okazjonalnego przeglądu w Katowicach, Festiwalu Filmów Podróżniczych w Warszawie i Przeglądu Filmów Górskich w Łądku Zdroju. Łądecki Przegląd – co cieszy – będzie kontynuowany także w tym roku w dniach 20-22 września.

Mimo bardzo skromnego budżetu staramy się, jako organizatorzy, przygotować trzydniową imprezę z licznymi atrakcjami dla gości i mieszkańców miasta. Jesteśmy bogatsi o zeszłoroczne doświadczenia, co z pewnością pozwoli sprawniej pokierować całym przedsięwzięciem. Brak na razie szczegółowego programu, ale mamy już poczynione uzgodnienia pozwalające podać kilka konkretnych. Oczywiście najważniejsze będą filmy, więc od nich też zaczynamy.

Zaprezentujemy sporo materiałów, których tłem będzie trudno dostępna góra

Cerro Torre. Przedstawimy relację z polskiej wyprawy na ten szczyt i nagrodzony w maju br. w Trento obraz „Infinito Sud” E. Salvaterry – najlepszy film wspinaczkowy włoskiego festiwalu. Uznaliśmy, że dobrym uzupełnieniem tego tematu będzie pokaz znanego już niektórym widzom „Krzyku kamienia” W. Herzoga. Postaramy się, aby na miejscu można było kupić w cenie promocyjnej kasety z tym filmem. Miłośnikom fabuły będziemy mogli jeszcze zaproponować spotkanie z „Gwiazdami w południe” (reż. M. Ichac – Francja) – wielką klasyką gatunku. Tradycyjnie poświęcimy sporo czasu filmowym wspomnieniom z egzotycznych wypraw w Himalaje, Andy, Tien-szań...

Niewątpliwym wydarzeniem stanie się wieczór Andrzeja Zawady poświęcony 25-leciu wejścia na Kunyang Chhisch w Karakorum. Będzie oczywiście film nakręcony wówczas przez A. Galińskiego, będą przeżrocza i spotkanie uczestników tamtych wydarzeń.

Jesteśmy przekonani, że doskonałym nawiązaniem do zdrowiskowego charakteru Łącka stanie się cały blok filmowy pod wspólnym tytułem „Góry na

lekarstwo”. Nie wszyscy bowiem wiedzą, że różnego rodzaju aktywność w otoczeniu gór może być znakomitym elementem rehabilitacji zdrowotnej.

Mało znane u nas i z pewnością warte obejrzenia będą filmy Miroslava Šmida – znakomitego czeskiego alpinisty, który zginął w czasie wspinaczki w Yosemitech. Robimy też starania, aby pokazać leżącą od lat w przepastnych magazynach telewizji film Zajęczkowskiego „Pamięć” o uczestnikach historycznej, wrocławskiej wyprawy na Broad Peak – pierwszy polski ośmiotysięcznik.

Zależy nam bardzo na naprawieniu zeszłorocznego potknięcia, które uniemożliwiło pokazanie filmów poświęconych Jerzemu Kukuczce. Zdecydowaliśmy się sprowadzić te filmy raz i zaprezentować je na otwartym bezpłatnym seansie.

Mamy obiecanie spotkanie z niektórymi uczestnikami sierpniowej wyprawy na Nanga Parbat. Liczymy, że wśród gości nie zabraknie Krzysztofa Wielickiego, dla którego będzie to prawdopodobnie czternasty, ostatni brakujący do Korony Himalajów, ośmiotysięcznik. Na pewno sporym zainteresowaniem cieszyć się będzie także spotkanie z Markiem Kamińskim – zeszłorocznym zdobywcą obu biegunów Ziemi. Oczywiście, każdy będzie mógł kupić książkę Marka i zdobyć jego autograf.

Jak więc można się przekonać, atrakcji filmowych i towarzyskich będzie sporo. Łącznie planujemy ok. 18-20 godzin filmów i w miarę możliwości – spotkania z autorami i bohaterami.

To jednak nie wszystko. Szykujemy też kilka imprez, które będą towarzyszyły Przeglądowi: zawody wspinaczkowe w Skalach Łądeckich, wyścigi na rowerach górskich, rewia mody turystycznej, ekspozycja producentów sprzętu, wystawy. Cały czas będzie funkcjonował sklep górski, kawiarenka i bufet z ciepłymi posiłkami. Przez trzy dni koncertować ma peruwiańsko-boliwijska kapela grająca muzykę andyjską. Uczestnictwo w każdym seansie lub konkursie stanie się szansą na wylosowanie kurtki typu polar i koszulki z okolicznościowym nadrukiem. Koszulki te będzie można też kupić po niewygórowanej cenie. Warto jeszcze zaznaczyć, że w tym czasie planowane są obchody 30-lecia odkrycia Jaskini Niedźwiedziej. Jest więc pewne, że oferta atrakcyjnego spędzenia czasu w tej części Kotliny Kłodzkiej będzie o wiele szersza. Nie musimy dodawać, że Góry Złote i rejon Śnieżnika o tej porze roku to naprawdę malownicze miejsce.

Wszyscy zainteresowani mogą zasięgnąć dodatkowych informacji pod numerem telefonu (0-74 146-562) – Centrum Kultury i Rekreacji w Łądku Zdroju, pl. Staromłyński 5. Kontaktować się z nami można także poprzez faks łądeckiego Urzędu Miasta (0-74 147-418). Rezerwację noclegów prowadzi Łądecka Informacja Turystyczna, tel. (0-74 146-255).

Zapraszam wszystkich bardzo serdecznie.

Zbigniew Piotrowicz  
Szef Biura Organizacyjnego

## AGROTURYSTYKA

**Polańczyk – 38-610 Polańczyk.**

Wież letniskowo-uzdrowiskowa nad Jeziorem Solińskim. Siedziba gminy Solina. Domy wczasowo-sanatoryjne, pokoje gościnne, pola biwakowe, wyciągi narciarskie, baseny kąpielowe, przystanie żeglarskie, restauracja, bary, sklepy spożywcze i przemysłowe, kościół, poczta. Połączenia PKS z Krosnem, Rzeszowem, Sanokiem, Leskiem, Ustrzykami Dolnymi.

Wież istnieje od XVI w. Dzięki malowniczoemu położeniu, dobremu warunkom klimatycznym i źródłom wód mineralnych ma duże perspektywy rozwoju. W 1974 r. uzyskała status uzdrowiska.

**Wiesław Matuszczyk, Polańczyk 10, tel. 260.**

Pole biwakowe „Cypel” nad Jeziorem Solińskim. Plaża, przystań wodna, sprzęt pływający, natryski, energia elektryczna. Minibar i sklep spożywczy. Informacja turystyczna na miejscu. Oferta od czerwca do września.

**Józef Kardasz, Polańczyk 4.**

Pole biwakowe „Parkowe”. Kiosk-bar na miejscu. Oferta od czerwca do września.

**Aniela Maszczyk, Polańczyk 8, tel. 116.**

Pole biwakowe „Zacisze” położone nad Jeziorem Solińskim. Wypożyczalnia sprzętu pływającego. Oferta czerwiec-wrzesień.

**Kazimierz Kardasz, Polańczyk 15, tel. 73.**

Pokoje 2- i 3-osobowe (11 miejsc) w nowym drewnianym domku letniskowym. Możliwość sporządzenia posiłków w ośrodku wczasowym. Oferta sezonowa od maja do listopada.

**Bogdan Mucha, Polańczyk 20.**

Pokoje 2- i 3-osobowe (12 miejsc noclegowych) w domu gospodarzy i budynku w obrębie zagrody. Możliwość sporządzania posiłków we własnym zakresie lub korzystania z posiłków w ośrodkach wczasowych. W zimie kuligi. Oferta całoroczna.

**Antoni Kardasz, Polańczyk 27 tel. 204.**

Pokoje 2- i 3-osobowe (9 miejsc noclegowych). Możliwość sporządzania posiłków we własnym zakresie lub korzystania z żywienia w ośrodkach wczasowych. Oferta całoroczna.

**Józef Podkalicki, Polańczyk 32, tel. 207.**

Pokoje 2- i 3-osobowe (25 miejsc). Możliwość sporządzania posiłków we własnym zakresie lub korzystania z żywienia w ośrodkach wczasowych. Oferta maj-październik.



## NOWOŚCI TURYSTYCZNE

\* Na zaproszenie prezesa Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki w dniach 1-5 maja br. obradował w Warszawie XXXIII Narodowy Kongres Federacji Włoskich Biur Podróży (FIAVET). Ponad 600 przedstawicieli włoskich touroperatorów i biur podróży, instytucji i organizacji turystycznych oraz liczne grono dziennikarzy było przez ponad pięć dni gośćmi polskiej turystyki. Odwiedzili Gdańsk, Kraków i zwiedzili Warszawę. Większość uczestników Kongresu przyjechała do Polski po raz pierwszy. Wywieźli od nas niezapomniane wrażenia, nowe znajomości, interesujące kontakty. Mamy nadzieję, że podobnie jak kraje, które wcześniej gościły Kongres FIVET, Polska również odnotowuje wzrost ruchu turystycznego z Włoch.

\* W czasie tegorocznego sezonu turystycznego w Słupskiem będzie można się kąpać w Bałtyku w następujących miejscowościach: Jarosławiec, Ustka, Orzechowo, Poddębnie, Rowy i Łeba. Wszystkie jeziora na terenie województwa są także czyste.

\* 60 pasażerów i samochód osobowy będzie przewoził jednorazowo prom w Kazimierzu Dolnym. Turystom odwiedzającym Kazimierz umożliwi zwiedzenie atrakcyjnych ruin zamku w Janowcu po drugiej stronie Wisły. Na razie jest zacumowany w Puławach. Czekają na zakończenie budowy przyczółków i dróg dojazdowych w Kazimierzu i na drugim brzegu Wisły w Janowcu.

\* Ponad 100 tys. turystów przewozi co roku ponad 100-letnia kolejka wąskotorowa w Żninie w woj. bydgoskim. Ciuchcia od przeszło 20 lat kursuje tylko w okresie letnim, wożąc turystów po Pałukach na trasie Żnin-Wenecja-Biskupin-Gąsawa.

## JEŚLI TAM BĘDZIECIE (lipiec-sierpień)

\* XXXIII Tydzień Kultury Beskidzkiej (Wisła, Szczyrk, Żywiec, Maków Podhalański, Oświęcim, Jabłonków, Bielsko-Biała).

## MONT BLANC

### DLA TURYSTÓW

#### – PO RAZ KOLEJNY!

Z pomocą doświadczonych przewodników, instruktorów alpinizmu i ratowników tatrzańskich.

Terminy: 21-30.09., 5-14.10., 19-28. 10., 2-11.11.1996 r.

Koszt równowartość w złotych:  
2900 FRF + 350 DM.

#### W cenie zapewnia się:

- transport w obie strony i dojazdy na miejscu,
- noclegi w dolinie Chamonix,
- noclegi w schroniskach,
- prowiant w górach,
- francuskie ubezpieczenie górskie,
- opieka przewodników: Piotr Konopka, Arkadiusz Gąsienica Józkowy.

Zapisy: 34-500 Zakopane, ul. Do Bristolu 6, tel./fax (0-165) 142-61.

## Edukacja

### POLICEALNE STUDIUM TURYSTYKI

#### Jeśli chcesz:

- zdobyć interesujący zawód technika obsługi turystycznej,
- zostać przewodnikiem, pilotem wycieczek zagranicznych,
- poznać interesujących ludzi, ciekawe obiekty krajoznawcze w kraju i za granicą

### Zapisz się do nas!!!

POLICEALNE STUDIUM TURYSTYKI  
50-230 Wrocław, ul. Trzebnicka 42  
tel./fax (0-71) 72-29-68  
tel. (0-71) 72-10-59

Największy festiwal folklorystyczny w Europie (27.07-4.08). W ramach tygodnia Kultury Beskidzkiej organizowane są:

Festiwal Folkloru Górali Polskich w Żywcu, Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne w Żywcu, Góralskie Święto w Jabłonkowie, Ogólnopolski Plener Plastyczny dla niepełnosprawnych. Wojewódzki Ośrodek Kultury, tel. (0-30 205 93).

\* Święto Dzieci Gór. Międzynarodowy Festiwal Dziecięcych Zespołów Regionalnych. WDK, tel. (0-18 420229).

\* Sabałowe Bajania. Bukowina Tarzańska (woj. nowosądeckie). Impreza popularyzująca literaturę ludową. Bukowina Tatrzańska, tel. (0-165 77221).

\* Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziemi Górskich. Zakopane (woj. nowosądeckie). Przegląd zespołów folklorystycznych regionów górskich. Biuro Promocji Zakopanego i Podtatrza, tel. (0-165 66950).

\* Złot Fanów Muzyki Elektronicznej. Karpacz, tel. 19 568.

\* Dni Szklarskiej Poręby, tel. (17 2449).

\* Międzynarodowe Zawody na Rowerach Górskich, tel. (17 2449).

\* II Wielka Feta Agroturystyczna (10-11 sierpień), Szczytna, tel. (074 684580).

### Antykwariat FILAR

skr. poczt. 398, 25-01 Kielce 1  
tel: (0-41) 562-19.

Oferuje bogaty wybór literatury o tematyce górskiej:

TATERNICTWO – ALPINIZM  
– HIMALAIZM

Oferujemy nowości i pozycje antykwaryczne – książki czasopisma.

## OFICyna „REWASZ” PROPONUJE:

BIESZCZADY. Przewodnik. Obszerne artykuły w części ogólnej traktują o historii, kulturze, gospodarce i przyrodzie regionu. Opisy tras pieszych, samochodowych i kolejowych, słownik krajoznawczy z wyczerpującymi opisami wszystkich (także nie istniejących) miejscowości Bieszczadzkich. 400 str., ponad 100 ilustracji, mapek i panoram ze szczytów.

SOLINA – POLAŃCZYK 1996. Informator turystyczny. Wydanie doroczne. Zawiera wszelkie informacje przydatne dla wczasowiczów, gości, letników i turystów odwiedzających okolice Zalewu Solińskiego. Omówienie historii miejscowości, atrakcje turystyczne, propozycje wycieczek pieszych i samochodowych.

Grzegorz Rąkowski, POLSKA EGZOTYCZNA t. II. Książka jest kontynuacją wędrówki wzdłuż wschodniej granicy Polski, tym razem na odcinku od Drohiczyzna do Przemysła. Opis trasy jest utrzymany w konwencji gawędy historyczno-krajoznawczej poświęconej obiektom związanym z kulturą i historią mniejszości etnicznych (Podlaszacy, Tatarzy, Żydzi, Ołędrzy, Ukraińcy) i religijnych (unicy i neounicy, prawosławni, Żydzi) zamieszkujących omawiane tereny.

Władysław Midowicz, KRAJ ZA SIEMIOMIOMI MORZAMI – wspomnienia wybitnego krajoznawcy z pobytu w Australii w latach pięćdziesiątych.

Urszula Janicka-Krzywdka, CHRZEŚCIJAŃSKIE TRADYCJE POLSKIEGO PODKARPACIA.

Mapa turystyczna: OKOLICE KRYNICY, 1:50 000.

## Skalnik

### SKLEP GÓRSKI

WROCLAW, UL. BOGUSLAWSKIEGO 45  
PON.-PIĄT. 10<sup>00</sup>-19<sup>00</sup> SOB. 10<sup>00</sup>-15<sup>00</sup>

TEL. 62-72-23

### PROPONUJEMY W SZEROKIM ZAKRESIE:

- informacje, mapy, przewodniki, beletrystykę górską, albumy, fachowe doradztwo
- odzież
  - bluzy, kurtki: POLAR, SYMPA-TEX, GORETEX, PUCHOWE
  - kurtki POLAR także dla dzieci
  - kombinizony, dresy, spodnie z POLARU
  - dodatki (opaski, rękawice, skarpety, ochraniacze)
- obuwie turystyczne i wspinaczkowe
- plecaki
- sprzęt biwakowy: namioty, karimaty, śpiwory, kuchenki gazowe
- sprzęt wspinaczkowy
- szkolenie wspinaczkowe, usługi przewodnickie
- organizujemy wyprawy trampingowe i trekkingowe
- dla stałych klientów 5% rabatu!

Zapraszamy do nowego sklepu we Wrocławiu przy ul. Polaka 20, tel. 21-48-84.

## ZAPRASZAMY!!!



## WOGEZY JAK SUDETY

Być może nie wszyscy miłośnicy gór wiedzą, że oprócz Himalajów, Alp z Dolomitami, no i oczywiście Tatr, są też takie góry, jak W o g e z y. Nie sięgają one nieba, nie poruszają nas urwistymi ścianami i strzelistymi wierchami, ale mimo to są malownicze i atrakcyjne dla górskich łazików. Krajobrazowo bardzo przypominają Sudety, bo też mają podobną przeszłość i budowę geologiczną. Należą przecież do tej samej strefy starych gór i wyżyn środkowoeuropejskich, ale są od nich wyraźnie mniejsze. Ich prawie południkowa rozciągłość w owym charakterystycznym alzackim klinie, wcinającym się jakby w Niemcy, mierzy 160 km, co przy szerokości 40-45 km daje powierzchnię około 6900 km<sup>2</sup>. Od wschodu wycina je szeroka już dolina dolnego Renu, przechodząca łagodnie w pogórski teren Wogezów, zaś ku zachodowi pasmo opada ku francuskim nizinom. Od południa wyrasta ono nad Bramę Burgundzką, miejsce od dawien dawna wykorzystywane przez wędrujące ludy i armie. Teren zaczyna wznosić się koło Belfortu i mimo, iż jest to krystaliczny maszy, zbudowany głównie z granitów i gnejsów, tylko szczytkowo przykryty pstrym piaskowcem, sięga często 1000 m. Południowa część jest wyraźnie wyższa. Tu nad rozległe kompleksy lasów mieszanych, z dużym udziałem buka, sięga piętro subalpejskie z silnym piętnem późnoplejstoceńskich lodowców. Liczne są jeziora przez nie pozostawione, a także sztuczne zbiorniki zaporowe. Nad tą strefą hal z pasącymi się stadami krów (stąd nieustanna muzyka dzwoneczków im przyczepionych) i skalistych stoków wyrastają obłe najczęściej – poza strefą silniejszych złodowceń, w sumie powyżej 1200 m, kopce pojedynczych szczytów. Zwą się one *ballons*, czyli nasze sudeckie kopy. Stąd i najwyższa góra Wogezów to Grand Ballon (1424 m). Natomiast część północna, po Wissembourg na granicy niemieckiego już Palatynatu, jest zbudowana przeważnie z pstręgo piaskowca, niższa, ale nie pozbawiona urozmaiconej rzeźby ze stromymi ścianami wychodni skalnych i fantastycznymi niekiedy w kształtach skałkami.

Całe pasmo przecinają liczne doliny i dolinki, ułatwiające dostęp i zasiedlenie w minionych stuleciach. Ale też ścierały one najazdy i przemarsze różnych wojsk, przy czym szczególnie okrutnie historia zapisała się w losach regionu podczas wojny trzydziestoletniej i I wojny światowej. Oto w 1914 r. koło Woerth w wielkiej bitwie francusko-niemieckiej poległo łącznie ponad 10 tys. żołnierzy!

Nie tylko miłośnicy krajobrazów i przyrody znajdują w Wogezach usatysfakcjonowanie. Jest tu też bardzo wiele zabytków i to nie spotykanych na terenach bliskich Polsce. Oto bardzo atrakcyjne są liczne pozostałości celtyckie należące do kultury megalitycznej, jak kamienne kręgi, dolmeny i menhiry. Nowsze czasy reprezentują nader często stawiane na wzgórzach i nad górskimi przejściami średniowieczne zamki. Tworzy to razem bardzo romantyczny, tajemniczy nastrój, zwłaszcza przy lekko mglistej pogodzie i o zmierzchu. Nic dziwnego: nazwa gór wywodzona jest od celtyckiego bóstwa górskiego Vosegus (łac. *Vogesus mons*), a więc jakby odpowiednika sudeckiego Karkonosza. Są wszakże i młodsze zabytki, szczególnie obficie zachowane w większych miastach na obrzeżach pasma, a więc przede wszystkim w Strasbourgu ze słynną katedrą, Colmarze, Miluzie, Zabern, Haut-Koenigsbourgu. Wszędzie niemal wznoszą się w izolowanym wystąpieniu Alzacji szachulcowe domy, z reguły dobrze utrzymane i cieszące oko grą barw i drewnianego szkieletu. Turysta może się cieleśnie pokrzepić regionalnym przysmakami – zwykłym, a jakże smacznym podpiomykiem, obłożonym szynką lub jabłkami. Można tym się zająć bez końca! Gardło zaś należy oczywiście przeplukać winem – dobrym, alzackim winem, bo piwo za bardzo zalatuje chmielem. Warto dodać, że niektóre winnice uprawiają latorośl z sadzonek pochodzących z okolic Tokaju, stąd nazwy tej używają, ale już krótko (oprotestowali to bowiem Węgrzy), niektóre gatunki. Z 12,5 tys. ha produkuje się tu do 1 mln hektolitrow tego boskiego trunku (*in vino veritas!*).

Nic dziwnego, że turystyka górska w Wogezach jest dobrze rozwinięta w przeciwieństwie do nizinnej Alzacji, gdzie dominują samochodziarze trzymający się miast i hoteli, zresztą bardzo licznych. Piesi mają do dyspozycji 12 tys. km szlaków (i nie narzekają, że jest ich za dużo!), znakowanych jak w Niemczech: kółkami, kwadracikami, rombami itp. Liczne są tabliczki i plansze informacyjne, także z mapą najbliższej okolicy. O to wszystko dba przede wszystkim regionalny klub: Club Vosgien, F-67000 Strasbourg, 16 Rue St. Helene, tel. (88) 325796. Wydaje on dla swoich 20 tys. członków i sympatyków własne pismo „Les Vosges”. Równolegle niejako działa regionalny oddział: Club Alpine Francaise, F-67000 Strasbourg, 48 Rue de la Meinau, tel. (88) 392184.

Wspomniany Klub prowadzi kilka niedużych, przytulnych schronisk w typie hotelików, z reguły dostępnych też samochodowo. Ponadto noclegi można otrzymać w wielu schroniskach młodzieżowych i na kempingach, a także na kwaterach wiejskich. Te często samotnie leżące gospodarstwa górskie o skromnym, ale bardzo przystoim standardzie, przy udzielaniu noclegów noszą nazwę *ferme-auberge* (oberża gospodarska). Korespondencyjnie można poinformować się o warunkach w Miluzie: Chambre d'Agriculture du Haut-Rhin, F-68055 Mulhouse, 4 de l'Est.

Ale można też biwakować poza wyznaczonymi miejscami, byle nie czynić uszczerbku na stanie środowiska. Przytoczmy jeszcze pewną ciekawostkę. Oto pierwszy przewodnik dla turystów pieszych, z mapą, został opracowany i wydany w 1881 r. przez Curta Mündela, księgarza pochodzącego ze Śląska. Osiedł on w Strasbourgu i tak znakomicie poznał Wogezy, że publikacja ta przy wielu wznowieniach zyskała potoczną nazwę „Der Mündel”.

Kto wie, może ktoś się skusi na wędrowkę po tych górach? Ze Zgorzelca jest to tylko 10 godz. samochodem znakomitymi niemieckimi autostradami. Czemu by więc tam nie wybrać się?

Krzysztof R. Mazurski

Wiosna 1995. Letnie wakacje coraz bliżej, a ja ciągle nie mogę się zdecydować, co począć w ciągu tych dwóch miesięcy. W pewnym momencie wydaje się, że zwycięży „wariant rowerowy”. Ale gdzie pojechać? Od kilku lat myślę o dotarciu na dwóch kółkach na Nordkapp, jednak chłodna kalkulacja szybko sprowadza mnie na ziemię. Hm, chyba jeszcze nie w tym roku – zbyt drogo. Może więc zachodnim wybrzeżem Turcji...

Nieoczekiwanie, pewnego dnia otrzymuję niepozorny list z Ukrainy. Jego lektura sprawia, że szybko zapominam o Norwegii,

sokości 6500 m n.p.m. Dla nas najważniejsze jest to, że urodził się w Dzambule, na przedgórzu Tienszan. Doskonale zna ten rejon i zwyczaje miejscowej ludności, a także potrafi porozumieć się po kazachsku i kirgiskiu.

W wagonie spotyka nas niemiła niespodzianka. Niemal z każdego kąta wychodzą karaluchy, „do wyboru do koloru”, małe, średnie i duże, jasnej i ciemnej maści. Bezcześnie spacerują po ścianach, stołach i produktach żywnościowych. Czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziałem. Bez względu na rzeź, jaką urządzamy, przynosi mierne efekty,

pieniądze, to jeszcze napisał na nich skargę. Nie wykluczone, że po tej aferze nasi wagonowi zasilili rzeszę bezrobotnych.

Następny pociąg mamy dopiero wieczorem, więc postanawiamy poczekać w parku nieopodal dworca. Dzielimy się na dwie grupy: jedni pilnują plecaków, drudzy idą na spacer po Moskwie.

Już na pierwszy rzut oka daje się zauważyć, że w mieście panuje napięta atmosfera. Ulicami co kilka minut przejeżdżają patrole policyjne. To niewątpliwie echa konfliktu czeczeńskiego, po tragedii w Budionowsku

## W KRAJNIE ŚNIEŻNEJ PANTERY (I)

Turcji i rowerach. Píše Kuzmicz, nasz dobry przyjaciel, z którym dwa lata wcześniej byliśmy nad Bajkałem (pisałem o tym w jednym z numerów „Na szlaku”). Czytam i nie wierzę własnym oczom – jest realna możliwość zorganizowania wyprawy, do wyboru: w Sajany albo Zachodni Tienszan. Decyzja nie jest trudna, na Syberii już byliśmy, a więc... Środkowa Azja!

Czasu pozostało niewiele, więc zabieramy się do pracy. Trzeba skompletować grupę, uzupełnić braki w sprzęcie, zakupić żywność itd. Mimo przygotowań, cała ta nowa sytuacja jakoś nie chce zagnieździć się w mojej świadomości, Tienszan wydaje mi się tak odległy, że wręcz nierealny.

20 lipca

A jednak stało się. Cztery dni temu wyjechaliśmy z domu. Dotychczasowa podróż minęła bez większych problemów – pociągiem do Przemysła, potem autobusem do Chmielnickiego na Ukrainie i dwudniowy pobyt w tym mieście. Teraz siedzimy w „plac-kartach” (wagony sypialne bez zamykanych przedziałów), jest bardzo gorąco i duszno, a w powietrzu cuchnie stęchlizną, lecz nikt z nas nie przejmuję się takimi drobiazgami. Najważniejsze, że z każdym przebytym kilometrem jesteśmy bliżej Moskwy, a tym samym bliżej celu.

Polska grupa liczy sześć osób. Oprócz mnie jadą: Bartek – świeżo upieczony absolwent medycyny, otrzymał odpowiedzialną funkcję lekarza wyprawy; Sławek – antropolog, pracownik PAN, mój kolega ze studiów i towarzysz poprzednich wypraw; Marcin – wojskowy radiotelegrafista, nowicjusz w wyjazdach na wschód i wyższe góry; Przemek i Marek to jeszcze licealiści. Ze strony ukraińskiej mamy dwie osoby. Kuzmicz, 59-latek, to prawdziwy weteran i (chyba mogę tak powiedzieć) żywa legenda wśród turystów byłego ZSRR. Lista wypraw, w których uczestniczył jest bardzo długa, ja wymienię tylko najciekawsze: Kaukaz, Pustynia Karakum, Altaj, Sajany, Półwysep Tajmyr, Bajkał, niemal dziewicze góry Jakucji, tajga ursorijska, Sichote Alin... Naszym głównym przewodnikiem jest Giena, obyty z górami, wysoko kwalifikowany instruktor alpinizmu. W Pamirze zdobywał m.in. przełęcz na wy-

ponieważ na miejsce poległych pojawiają się nowe sztuki. Po kilku godzinach poddajemy się i, wzorem miejscowych pasażerów, przedstawiamy reagować na panoszące się robactwo.

To jeszcze nie koniec przykrości na ten dzień. Swobodnie i głośno rozmawiamy po polsku. Nikt nie zwraca uwagi na dwóch wagonowych, którzy od czasu do czasu przechodzą korytarzem, bacznie nas obserwując. W końcu jeden z nich prosi naszego „starszego”, czyli Gięnę, do siebie. Po kilku minutach Giena wraca, a jego mina nie wróży nic dobrego. Okazuje się, że jako obcokrajowcy powinniśmy wykupić bilety w kasach „Inturistu”, oczywiście po wyższej cenie. My mamy zwykłe bilety, więc w pewnym sensie jedziemy nielegalnie. Za „przymknięcie oka” na tą sprawę wagonowi żądają po 10 dolarów łapówki od każdego! Nie pomaga tłumaczenie, że jedziemy jako grupa i mamy oficjalne zaproszenia z klubów turystycznych w Chmielnickim i Dzambule. Wściekli, chcąc nie chcąc, wydajemy pieniądze, żeby uniknąć dalszych nieprzyjemności.

Długo psioczymy na ludzką podłość i kraj, przez który przejeżdżamy. Wreszcie w wagonie przygasają światła, trzeba iść spać. Okazuje się, że „dziennie karaluchy” były tylko nędną forpocztą. Teraz, w ciemności, wychodzi ich całe mrowie, a niektóre bez żenady spacerują po rękach i nogach. Ale jakoś trzeba zasnąć.

21 lipca

W nocy przekraczamy granicę ukraińsko-rosyjską. Kontrola celna i paszportowa przebiega bez żadnych problemów, ale nie poprawia to naszych nastrojów. Z uczuciem pewnej ulgi zbliżamy się do Moskwy. Mamy już dosyć tego pociągu.

Na Dworcu Kijowskim jak zwykle panuje olbrzymi tłok. Zrzućmy nasze bagaże na peronie, w jednym miejscu. Nagle Kuzmicz oznajmia, że chciałby jeszcze coś załatwić i wraca do pociągu. Czekamy kilkanaście minut. Wreszcie zauważamy go – nasz starszek idzie uśmiechnięty, palce prawej dłoni unosi na kształt litery „V”, a w lewej trzyma plik zielonych banknotów. Otwieramy usta ze zdziwienia, a Kuzmicz zdaje relację: zrobił awanturę u kierownika pociągu, poszedł z nim do wagonowych i, nie dość, że odzyskał nasze

władze boją się dalszych zamachów terrorystycznych. Dzisiejsza Moskwa to miasto dużych kontrastów, luksus miesza się tutaj ze skrajną biedą. Obserwujemy, jak ogromne mercedesy z przyciemnianymi szybami bezszelestnie i z chłodną obojętnością przemyskają obok rzesz bezdomnych i żebraków. Nic tu nie dziwi – z jednej strony światowy przepych i horrendalne ceny w sklepach Starego i Nowego Arbatu, a z drugiej kłopot z kupieniem koperty ze znaczkiem do Polski.

Wieczorem jedziemy na Dworzec Kazański i zajmujemy miejsca w pociągu, który przez trzy pełne doby powiezie nas na południowy wschód.

22 lipca

Pociąg jedzie do Biszkeku. Na próżno szukalibyśmy tego miasta w atlasie, choć to stolica Kirgistanu. Dziwne? Rozwiązanie tej zagadki jest proste – Biszkek to dawniejsze Frunze. Niedawno powrócono do starej nazwy miasta, sprzed 1926 roku.

Giena i Kuzmicz wykorzystują wolny czas na przygotowanie map oraz ustalenie trasy i harmonogramu przejścia. Przysiadam się do nich i ze zdumieniem spoglądam na naszą „mapę” – jest to plik czarno-białych, niezbyt ostrych fotografii jakiejś wojskowej sztabówki. Giena tnie zdjęcia wzdłuż linii siatki kartograficznej i skleja je w jedną całość za pomocą taśmy klejącej. No cóż, pocieszam się, że mogło być gorzej, np. jakiś uczynny turysta, znający Zachodni Tienszan mógł nam podsunąć samodzielnie wykonany, odręczny szkic...

Bezradnie wpatruję się na trasę przejścia. Przyzwyczajony do naszych dobrych, kolorowych map turystycznych długo nie mogę rozszyfrować rzeźby terenu. Wreszcie zaczynam rozumieć. Będziemy operować w rejonie licznych czterotysięczników, ale tylko niektóre mają podaną wysokość. Nasza droga jest typowa dla wschodniej turystyki „górskiej” – prowadzi wyłącznie przez doliny i przełęcz. Jak gdyby szczyty w ogóle nie istniały! Jestem zawiedziony takim obrotem sprawy, bowiem w skrytości ducha marzyłem o zdobyciu swojego pierwszego czterotysięcznika.

Krajobraz za oknem ciągle „europejski”. Po południu mijamy Wołgę, a w Samarze spotykamy się na stacji z matką i synem Kuzmicza. Przynoszą nam drobny poczę-

stunek – kilka piw i suszone ryby, które są tutejszym przysmakiem spożywanym do piwa, jak u nas słone paluszki. Chłopaki krzywią się. Rybka jest sucha, twarda, bardzo słona i podobno cuchnie. Z przerażeniem obserwują, jak konsumujemy dwie sztuki.

Kobiety łagodzą obyczaje. Stwierdzam, że to chyba jednak prawda, patrząc jak lekko znudzona, młoda inteligencja szybko obniża loty. Atmosfera robi się gęsta od niewyszukanych przekleństw, w rozmowach dominują sprośne kawałki o kobietach, seksie i imprezach. Dziki rechot, głośne bekanie i, jak pisze mój ulubiony Wharton, „puszczenie wiatrów” dopełniają obraz wesolego chlewika, w który zamienił się nasz przedział. I tak już pozostanie do końca.

23 lipca

Wschód słońca budzi nas już w Kazachstanie, na małej stacyjce, gdzie srebrny posąg Lenina unosi dłoń w powitalnym geście.

Opuściliśmy strefę lasów. Teraz, wzdłuż torów ciągną się tylko pasy zadrzewień. Wkrótce one także znikają i wjeżdżamy w bezkresny step, piękny i wspaniały w swej monotonii. Z rzadka mijamy małe osady złożone z kilku domostw; w zachwyt wprawiają nas oryginalne cmentarze przypominające małe, orientalne miasteczka. Tu i ówdzie pasą się stada koni, owiec i wielbłądów.

Chłoniemy nowe dla nas widoki. Kilku z nas interesuje się ornitologią, toteż z przyjemnością obserwujemy krążące nad stepem ptaki, szczególnie drapieżniki: małe sokoły, kurhanniki i orły stepowe. W pobliżu torów przemykają ich ofiary – susły. Kilku szczęśliwcom udaje się dostrzec uciekającego suhaka – jedyną antylozę występującą w Europie.

Na nielicznych stacjach kobiety i dzieci oferują papierosy, słodczyce, suszone i wędzone ryby, wyroby z wielbłądziej wełny itp. Kilku wyrostków chce nam sprzedać młodego orła. Z żalem patrzymy na wspaniałego ptaka targanego przez malców. Na pocieszenie kupujemy sobie gotowane raki.

Po południu mijamy rzekę Elbę, która jest umowną granicą pomiędzy Europą i Azją. Potem krajobraz urozmaicają wzniesienia Mugodżarów, przekraczające 600 m n.p.m., a wieczorem, jak gdyby na deser, delektujemy się wspaniałym zachodem słońca nad piaszczystą pustynią Małe Barsuki. Stadko wielbłądów niemal pozuje nam do zdjęć. Już po zapadnięciu zmroku docieramy do Aralska. Młodzi (tak mówimy na naszych licealistów) twierdzą, że widzieli połyskującą taflę jeziora. Osobiście powątpiewam w to. Skierowanie wód Syr-darii i Amu-darii do nawadniania upraw bawełny sprawiło, że Morze Aralskie wysycha i zmniejsza swoją powierzchnię. Podobno brzeg oddalił się od Aralska o ponad 40 kilometrów! Na domiar złego ryby i inne organizmy giną od nadmiernego zasolenia.

24 lipca

Krajobraz zmienił się wyraźnie, stepy ustąpiły miejsca półpustyni i pustyni, przecinanej gdzieniedzie suchymi korytami rzek okresowych. Upał – na niebie nawet śladu chmurki.

W wagonie poznamy Tatianę, młodą alpinistkę, która wybiera się ze znajomym w Pamiro-Altaj. Sławek zaprasza ją do złożenia wizyty w naszym przedziale. Powoduje to spore zamieszanie i konsternację w męskich szeregach. Jak zaczarowani, w gniewie oka ustawiamy się w kolejce do prysznicza, każdy ścieli swoje postanie, wyciąga najlepsze ciuchy i kosmetyki. Na sprząniętym stole pojawia się herbata i polskie cukierki. W końcu, umyć i wypachnić, uświadomiamy sobie komizm całej sytuacji i wybuchamy śmiechem.

Tania jest urodzoną gadułą. Po kilkunastu minutach pogawędka przekształca się niemal w jej monolog. Ale opowiada ciekawie, szczególnie o swoim ubiegłorocznym zdobyciu Elbrusa. Wypytuje o szczegóły, bowiem wyprawa w Kaukaz i wejście na Elbrus to nasze, na razie jeszcze nieśmiałe, marzenie na przyszły rok. Chłopcy dosyć słabo znają rosyjski, ale nadrabiają miną. Jednak po godzinie kątem oka zauważam, że zaczynają ziewać, a głowy kiwają im się na boki.

Z niezręcznej sytuacji wybawia nas harmider dochodzący z korytarza. Wreszcie jest! Daleko na horyzoncie bieleją ośnieżone wierzchołki Tienszan!

Reszta dnia upływa pod znakiem nerwowego podniecenia. Pakujemy rzeczy i zachłannie sycimy się krajobrazami coraz bliższych gór. Około północy miejscowego czasu docieramy do Dżambułu, gdzie czekają na nas znajomi z dwoma samochodami. Ciemnymi uliczkami dojeżdżamy do rodzinnego domu Gieny. Jego matka już czeka na nas z ciepłą kolacją.

25 lipca

Dżambuł to kilkuset tysięczne miasto leżące na południu Kazachstanu. Dominuje tu parterowa zabudowa z dużą ilością zieleni, nie ma żadnych znaczących zabytków. Główną atrakcją dla nas ma być prawdziwy azjatycki bazar. Już w pociągu opowiadałem chłopakom o wspaniałych uzbeckich bazarach, jakie widziałem w Samarkandzie i Bucharze, toteż nastawiamy się na ciekawe zakupy.

Po śniadaniu udajemy się na miejsce.

Spotyka nas wielkie rozczarowanie. Bazar przypomina nam zwykły polski targ lub tzw. „czarny rynek” sprzed kilkunastu lat. Zamiast ciekawego rękodzieła wszędzie tandetna odzież, tania elektronika i inny chłam. Wiele z tych rzeczy jest zresztą spod znaku „Made in Poland”. Tylko śniade twarze i lekko skośne oczy świadczą o tym, że jesteśmy w Azji. Zdegustowani przechodzimy do części „owocowo-warzywnej”. Tu humory nieco się poprawiają. Tony południowych owoców, nawoływania handlarzy i kuszący zapach szaszłyków w powietrzu stwarza-

ją specyficzny nastrój. Objadamy się nieprzyzwyczajenie, kosztujemy lepioszków, szaszłyków i kumysu. Sprzedawca tytoniu okazuje się znajomym Gieny. Przed nim stoi kilka 50-litrowych worków tytoniu posegregowanego według mocy. Rozmawia chwilę z Gieną, potem uśmiecha się, urywa kawałek gazety, nabiera tytoniu z jakiegoś małego woreczka, który ma za plecami, ślini, skręca, zapala i podaje Bartkowi. Nasz lekarz zaciąga się potężnie, po czym... wybałusza oczy, robi się czerwony i krztusi przez najbliższą minutę. Mamy z biedaka niezły ubaw. Ja jestem bardziej ostrożny, zaciągam się delikatnie i wypalam połowę skręta z wrazeniem, że dym przepali mi płuca na wylot. Sprzedawca dalej uśmiecha się i kiwa z uznaniem głową. Kupujemy porcję słabszego tytoniu, a ja jeszcze pół godziny później czuję się jakbym oberwał w głowę obuchem...

Po powrocie do domu zastajemy same dobre wiadomości. Po pierwsze – mamy zarezerwowane bilety na powrót do Moskwy. Oddychamy z ulgą, bo mogły być problemy. Po drugie – za 80 USD wynajęliśmy bagażówkę, która następnego dnia powiezie nas w góry tak daleko, jak to będzie możliwe. Po trzecie – na kolację będzie płow, czyli regionalna potrawa z ryżu, jarzyn i baraniego mięsa.

W szampańskich nastrojach zabieramy się do przepakowania plecaków i definitywnego rozdziału bagażu. Kuzmicz biegnie z małą, ręczną wagą i układa wszystkie rzeczy na osiem kupek. W końcu wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Wieczorem siadamy do stołu. Duszone z warzywami i baranią ryż jak kamfora znika z półmisek. Na deser konsumujemy ogromnego, soczystego melona. Całość zakrapiamy kazachską wódką.

„Za pomyślność wyprawy!”

26 lipca

Już od godziny jedziemy mikrobusem UAZ na południowy wschód, w stronę granicy z Kirgistanem. Atmosfera jest dosyć napięta. Giena zabronił nam rozmawiać po polsku w razie ewentualnej kontroli. Wreszcie zbli-



Górskie jezioro. Foto: Giennadij Bannow

żamy się i wolno mijamy posterunek straży granicznej. Kilku funkcjonariuszy przygląda się bez większego zainteresowania. Uff! Udało się, chyba już nic nie stanie nam na drodze w upragnione góry, które są już niemal na wyciągnięcie ręki. Surowe, porośnięte stepową spaloną słońcem roślinnością grzbiety w różnych odcieniach żółci i brązu stanowią dla nas dosyć egzotyczny krajobraz. Przejżdżamy przez kilka wiosek, co chwilę zwalniając, żeby przecisnąć się przez stada bydła, owiec i kóz, które korzystają z głównej drogi chyba na równych prawach z samochodami. Gdyby jeszcze miały poważanie dla ruchu prawostronnego!

Na lewo mijamy dosyć duży zbiornik zaporowy. Patrzymy i nie wierzymy własnym oczom – obok tamy, w litej skale wykuto głowę Lenina wielkości kilkupiętrowej kamienicy.

Wreszcie skręcamy na południe i zagłębiając się w szeroką dolinę. Przed nami już tylko góry, wyboista droga, tumany kurzu, wąskie mostki ponad strumieniem – po prostu wolność i nagle... szlaban! Do dziś nie wiem, kim był człowiek, który wyszedł do nas. Być może strażnikiem przyrody kontrolującym myśliwych i turystów. Gienna rozmawia z nim, pokazuje oficjalne pozwolenia, dokumenty, tzw. książeczkę wyprawową z dokładnym harmonogramem przejścia itp. W tym miejscu przydałby się dłuższy wywód, aby wyjaśnić Czytelnikowi, o co chodzi. Postaram się krótko. Otóż w byłym ZSRR turystyka była zjawiskiem masowym i zorganizowanym. Każdy nowicjusz zaczynał „od zera”, przechodził kursy i szkolenia, uczestniczył w obozach, zdawał egzaminy. Ukoronowaniem takiej, założony rocznej, działalności było pozwolenie na chodzenie po górach do 1500 m n.p.m. (!?). Gienna już w pociągu tłumaczył mi, że nasz trekking moglibyśmy zorganizować dopiero po co najmniej trzyletnim szkoleniu. Nie przyjmował do wiadomości moich argumentów, że to ograniczanie wolności osobistej, że dorosły człowiek ponosi odpowiedzialność za swoje postępowanie i nie musi tego robić państwo.

Ale wróćmy do rzeczywistości. Strażnik nie ma zastrzeżeń do naszych fikcyjnych papierów, dostaje kilka pomidorów i ruszamy. Zerkam na tablicę, na której figurują chronione zwierzęta z „Czerwonej Księgi” i kary za ich zabijanie. „Najdroższa” jest śnieżna pantera.

Po godzinie karkołomnej jazdy docieramy do ujścia doliny Bieszkol. Pamiątkowe zdjęcia, pożegnania z kierowcami i zostajemy sami. Podczas posiłku rozkoszujemy się ciszą, bezchmurnym niebem i rześkim powietrzem. Jesteśmy na wysokości ok. 1600 m. Wreszcie ruszamy ścieżką w górę doliny. Na tę chwilę czekaliśmy od miesięcy. Już po kilku kilometrach marszu uświadamiamy sobie, jak ciężkie są plecaki. Zaczynam przeklinać w duchu własne skąpstwo. Część żywności kupiliśmy na Ukrainie, taniej niż w Polsce. Teraz czuję jak „pancerne”, półkilogramowe tuszonki i puchy ze skondensowanym mlekiem wgniatają mnie do ziemi. Z niepokojem patrzę na Kuzmicza, który wlecze się z tyłu, trzymając w

rękach 5-kilogramową „pamirkę”. Nie ma jej gdzie przytrzymać, bo pół plecaka zajmuje mu archaiczny, anilanowy śpiwór. „Cholera, kolejny błąd! Przecież można było zorganizować dziadkowi jakiś normalny sprzęt”.

Na pierwszym postoju Gienna podnosi wszystkie plecaki, ocenia ich wagę, po czym daje mi do spakowania namiot Kuzmicza. Teraz w górach to właśnie Gienna jest kierownikiem. W sytuacjach trudnych i konflikto- wych musi być również dyktatorem, który gasi w zarodku wszystkie kłótnie i przejawy anarchii. Rozumiem to, więc bez zbędnych słów przyjmuję „prezent”, a chłopakom rozdaję po jednej puszcze z mojego plecaka.

Ścieżka cały czas łagodnie pnie się w górę. Wąską w tym miejscu dolinę ograniczają pionowe urwiska. Na półkach skalnych dostrzegamy olbrzymie gniazda, a wysoko na niebie krążą ich właściciele, królowie tutejszych przestworzy – sępy. Jest ich tutaj kilka gatunków. Rozpiętość skrzydeł największych osobników sięga 3 metrów. Szczególnie interesujący jest orłosep brodaty, który żywi się głównie padliną, ale potrafi również strącać swoje ofiary ze skał. Często zjada również kości. Aby je rozbić zrzuca je na skały z dużej wysokości.

Po południu mijamy kilku pasterzy na koniach. Są bardzo przyjaźni, uśmiechnięci, witają się z każdym przez podanie ręki, chętnie fotografują się z nami. Gienna rozmawia przez chwilę. Okazuje się, że kilkaset metrów dalej jest domek, w którym możemy spędzić noc. Dwóch Kirgizów zapowiedziało, że złoży nam wieczorem wizytę.

W domku nie ma żadnych sprzętów, a miejsca akurat tyle, aby rozłożyć wszystkie karimaty. Rozpalamy ognisko i gotujemy posiłek. Po kolacji rzeczywiście przyjeżdżają pasterze. „Parkują” swoje konie obok domu i wspólnie siadamy przy ogniu. Częstujemy ich wódką, lepioszką, pomidorami, cebulą i czosnkiem. Odwzajemniają się kilkoma litrami świeżego kumysu. Jest to napój alkoholowy wyrabiany z kobyłego mleka. Smakuje trochę jak kefir, ale jest ostrzejszy i ma jednorodną konsystencję. Podobno jest mocniejszy od piwa. Wódka szybko znika, a na efekty nie trzeba długo czekać. Słyszę, jak Gienna umawia się, że jutro część plecaków podrzucimy wyżej na koniach...



W drodze na przełęcz. Foto: Giennadij Bannow

Zaczyna siąpić deszcz. Żegnam się i wcześniej wchodzę do śpiwora. Mam podły humor, a przez głowę przelatują najczarniejsze myśli. „Wyprawa rozsypuje się już pierwszego dnia. Kuzmicz jest skonany, a Gienna błądy i skarży się na ból serca. Nic dziwnego, że chcą skorzystać z koni. A przecież to dopiero dwa tysiące metrów. Co będzie dalej? Tylko patrzeć, jak któryś z dziadków kopnie w kalendarz na atak serca. Ciekawe, który pierwszy...” Zasypiam.

27 lipca

Zrywamy się z Bartkiem o siódmej. Mamy dzisiaj dyżur kuchenny. Długo męczymy się z ogniskiem, bo wilgotne drewno nie chce się palić. Czterotysięczne wierzchołki, od południa zamykające dolinę, przyprószył w nocy śnieg. Gdzieś wśród nich leży pierwsza przełęcz, którą mamy pokonać.

Po posiłku i krótkim marszu docieramy do obozowiska pasterzy. Dwa, duże, brezentowe namioty, które zastąpiły dawne jurty, stoją na przyjemnej polance nieopodal potoku. Zamieszkuje je trzech mężczyzn, dwie kobiety i trójka dzieci. Rozglądamy się z zaciekawieniem i robimy mnóstwo zdjęć. Po chwili wchodzimy do jednego z namiotów i siadamy w półkolu, po turecku, młodzieli po bokach, a dziadkowie na honorowych miejscach, naprzeciw wejścia. W środku jest schludnie i panuje miły chłodek. Podłoga jest wyłożona miękkimi materacami, a na środku leży obrus, tzw. „dastarchan”. Jest to jak gdyby stół traktowany z wielką czcią. Wielkim nietaktem

byłoby deptanie po nim. Na rusztowaniach wisi odzież i naczynia kuchenne.

Siedzimy w milczeniu. Wreszcie jedna z kobiet, Mira, przynosi czajnik z herbatą i podaje go mężowi. Ten nalewa napój do małych czarek (tzw. „piały”), zawsze tylko do połowy, i podaje gościom. Nie dla wszystkich starczyło naczyń, więc wyciągam z plecaka swój wysłużony plastikowy kubek. Gospodarz podaje go żonie, która wychodzi, myje kubek w oddalonym o kilkadziesiąt metrów potoku i za chwilę wraca. Czuję się trochę nieswojo, ale nie mam odwagi oponować. Ciągle nie odrywając się pijemy herbatę, przegrzamy lepioszkę i masłem urabianym z cukrem. Wreszcie Gienna, nie śpiesząc się, zaczyna luźną pogawędkę.

Po kilkunastu minutach nakrywamy piały całą dłonią – to znak, że chcemy zakończyć poczęstunek.

– Ałtasch agbar! – dziękujemy Allahowi wznosząc do góry dłonie i bierzemy się do wyjścia. Mira ponownie zabiera mój kubek i idzie umyć go. Hm, co kraj, to obyczaj...

Dwaj Kirgizi siodłają konie, każdemu przytracają dodatkowo po dwa plecaki i ruszają w drogę. Żegnamy się ze wszystkimi. Mirze ofiarujemy butelkę oleju i trochę cukru, a dzieciaki otrzymują po garści cukierków.

Po godzinie wędrówki dochodzimy do innego obozu, zamieszkanego przez samych mężczyzn. Tym razem dastarchan zostaje rozwinięty pod gołym niebem. Gorzka gorąca herbata wspaniale gasi pragnienie. Słońce zalewa całą dolinę, roziskrza świeży śnieg na szczytach, miło rozleniwiło ciało. Na niebie przesuwają się sylwetki sępów, po drugiej stronie potoku, na łące, baraszkują świstaki. Ileż prawdy jest w powiedzeniu Krzysztofa Wielickiego: „Idę w góry cieszyć się życiem!” Jestem szczęśliwy. To są chwile, dla których naprawdę warto żyć. Miesiące przygotowań, tysiące kilometrów podróży – warto było, choćby dla tych kilku łyków herbaty, tu i teraz.

Prawie wszyscy mężczyźni są uzbrojeni. Dowiadujemy się, że polują głównie na dzikie owce górskie, czasami zdarza się również niedźwiedź i dzik, choć mięsa tego ostatniego, jako mużulmanie, nie jedzą. Wokół obozu poniewiera się sporo owczych rogów. Młodzi decydują się na heroiczny krok – zabierają po jednym na pamiątkę, chociaż to dodatkowe kilogramy.

Trzeba ruszać. Idziemy ciągle wzdłuż rzeki, w górę doliny Bieszkol. Ścieżka robi się bardziej stroma, podejście wymaga dużego wysiłku. W dole pozostawiamy ostatnie skupienia karłowatych drzewek. Po południu docieramy do urokliwego jeziora na wysokości ok. 2500 m. Tutaj kończy się nasz konny transport. Dziękujemy za pomoc i żegnamy się z pasterzami. Gienna wręcza im po butelce wódki. Skąd ja to znam? To nie jedyny zakątek byłego ZSRR, gdzie pieniądze nie mają większego znaczenia. Jeźdźcy szybko znikają za wybrzuszeniem stoku. Odtąd musimy liczyć na własne siły.

Cisza. Miejsce jest cudowne. Trudno oprzeć się pokusie, aby rozbić tu namioty – równiuteńka polanka, w tafli jeziora jak w lustrze odbijają się postrzępione granie...

– Pajdiom pa tichonku! – słowa Gienny nie pozostawiają złudzeń co do najbliższej przyszłości. To zdanie będziemy słyszeć często, a przyjdą również takie chwile, kiedy niemal zniemawidzimy te słowa.

Stromo. Albo to sugestia i wybujała wyobraźnia nakarmiona książkowymi opisaniami, albo zaczyna mi brakować tlenu!? Trzydziestokilogramowy plecak ciąży niemiłosiernie. Czyżbym był aż tak słaby? „Hm, od Dżambułu zrobiliśmy w ciągu dwu dni ponad 2 kilometry w pionie. Duży skok. Brak aklimatyzacji” – pocieszam się.

Sympatyczna, gęsto pokryta norami świstaków łączka kończy nasz wysiłek. Rozbijanie namiotów, budowa paleniska – następują rutynowe czynności. No... Marcin przyznaje się, że chyba drugi raz w życiu stawia namiot... Ale za to gdzie! Mamy palniki i trochę kartuszy z butanem, ale postanawiamy oszczędzać. Nie wiadomo, co nas czeka dalej. Drzewa jest niewiele, więc podsycamy ogień wysuszonym łąnem, które całkiem niezłe się pali. Chłopaki rozpierzchają się w poszukiwaniu końskich placzków.

Wkraczamy w nowe. Nikt z nas (oczywiście oprócz Gienny) nie spał wcześniej na wysokości 3000 m. Ściele sobie wprost pod gwiazdami.

28 lipca

Rano z niepokojem patrzymy na południe, gdzie dolinę zamyka próg skalny z opadającym wodospadem. Pocieszamy się jednak, że musi być jakieś przejście, skoro prowadzi tam ścieżka. Zaczynamy żmudne podejście po piargu. Niedaleko znajdujemy bardzo duże rogi owcy górskiej wraz z czaszką. Wazą chyba z 10 kilogramów, oba końce rogów są odcięte, prawdopodobnie przez pasterzy, którzy robią z nich pochwy na noże. Pokonanie progu okazuje się łatwe, ale zamiast oczekiwanego lodowca pojawia się przed nami dalsza część doliny z kilkoma małymi jeziorkami.

Gienna wybiera dosyć kontrowersyjny szlak. Zamiast wygodnie iść wzdłuż strumienia, zaczynamy trawersować wschodni,

stromy stok pokryty drobnym rumoszem skalnym. Zaczyna się „gimnastyka”. Niemal każdy krok kończy się obsunięciem nogi i zainicjowaniem mini lawiny kamiennej. Ciężkie plecaki przeważają to w jedną, to w drugą stronę, przed upadkiem ratują nas czekany, którymi podpieramy się jak laską. Z przerażeniem patrzę, jak ostre krawędzie kamieni przecinają skórę moich nowych butów. Myślę sobie, że jeszcze kilka dni takiego terenu i dalszą część trekkingu odbędę na bosaka. Po dwóch godzinach uciążliwego marszu, okraszonych niewybrednymi przekleństwami, osiągamy dno bocznej dolinki. Wyżej rozciągają się już tylko pola śnieżne.

Zasłużony odpoczynek. Plecaki lądują na kamieniach, a każdy rozgląda się za czymś do picia. Gdzieś głęboko pod głazami cieknie woda. Z nieukrywana satysfakcją wyjmuję z kieszeni ponad metrowej długości plastikową rurkę, która pozwala dostać się do upragnionej cieczy. Podpatrzyłem ten patent u rosyjskich turystów na jednej z poprzednich wypraw.

Jest bezwietrznie i bardzo gorąco. Wścikły ultrafiolet, odbity od płatów śniegu, atakuje nas ze wszystkich stron. Nie mamy zamiaru czekać na skutki – nakrycie głowy, okulary lodowcowe i kremy z filtrem ochronnym szybko znajdują swoje właściwe zastosowanie. Panuje niesamowita, dla mieszczucha trudna do wyobrażenia cisza. Brak odgłosów cywilizacji – to oczywiście, ale nie słychać również szumu liści, śpiewu ptaków, bzyczenia owadów – po prostu nic. W ten pogodny dzień, na wysokości około 3500 m n.p.m. od świata dźwięków oddzielają nas przestrzenie granatu nieba, bieli śniegu i szarości skał.

Po posiłku przychodzi nieodparta ochota na drzemkę, ale Gienna chyba nie lubi tracić czasu. Na jednym ze stoków organizuje nam mały trening – chodzenie w rakach, podchodzenie na jumarze i prusiku, zjazd na linie itp.

Ostatni etap dziennej wędrówki okazuje się niespodziewanie krótki. Po półgodzinnej wspinaczce w rozmiękłym już śniegu dochodzimy do moreny bocznej. W milczeniu



Na lodowcu. Foto: Giennadij Bannow

podziwiamy wspaniały widok. Wprost na południu, niemal na wyciągnięcie ręki widnieje „nasza” przełęcz – Sawagotoror, otoczona ładnymi, wyniosłymi czterotysięcznikami. U podnóża ich ścian pola firmowe dają początek lodowcowi Bieszkol, który oddziela nas od przełęczy i splywa na prawo. Wygląda bezpiecznie, w większej części jest pozbawiony śniegu. Nie dostrzegamy również szczelin.

Miejsce na biwak jest idealne – wysokość ok. 3600 m. Niwelujemy tylko kilka nierówności i ustawiamy na śniegu nasze trzy namioty. Dziadki bez przekonania kiwają głowami – „na śniegu płocho”. Stara szkoła nie daje za wygraną. Biedacy dobrą godzinę męczą się nad zbudowaniem platformy z płaskich kamieni. Na niej rozbijają swoją pamirkę. Jak się później okazało, w nocy oprócz chłodu i małej ilości tlenu dokuczają im... gniotące w plecy głązy. Teraz już wszyscy odczuwamy wysokość. Kilka szybszych kroków powoduje zadyszkę. Nasz lekarz ma chyba pierwsze objawy choroby wysokościowej. Bez życia leży w namiocie i nie wychodzi nawet na ciepły posiłek. Co ciekawe, jako natógowy palacz, przez 12 dni wędrowki nie wziął papierosa do ust.

Siedzimy przed namiotami. Wysoko, na ponad czterotysięcznej grani pojawiają się sylwetki owiec górskich.

29 lipca

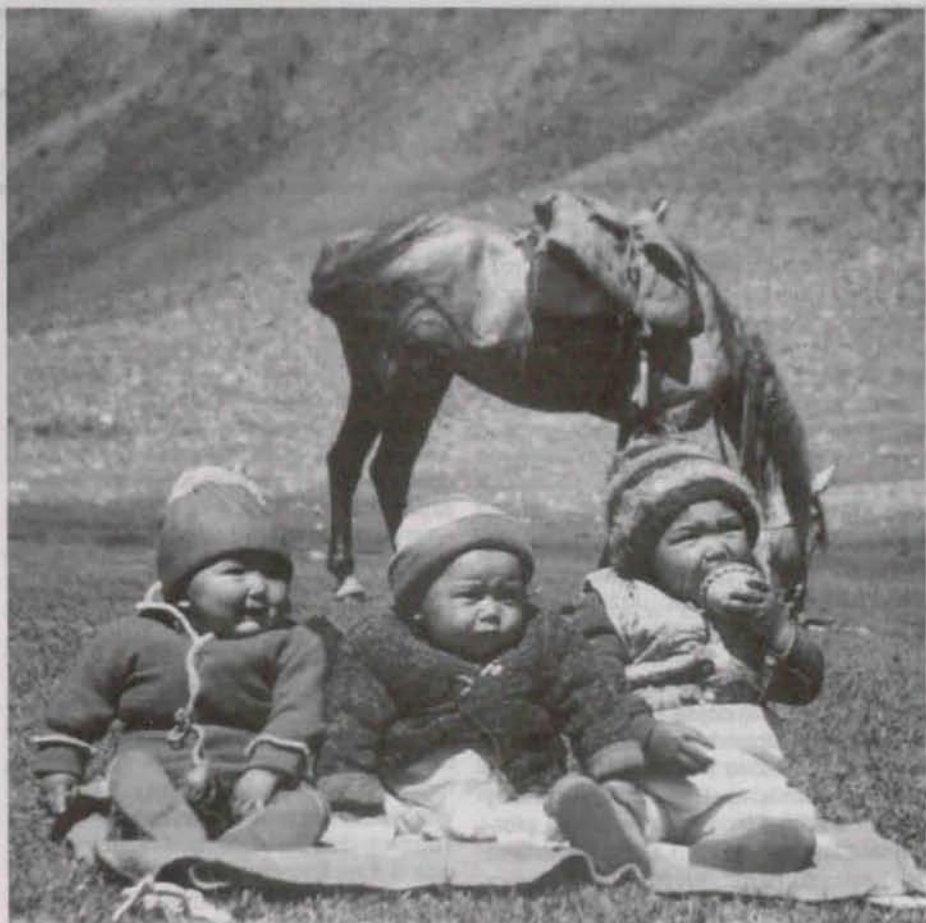
Wszyscy bardzo źle spali. Wstajemy przed wschodem słońca, gotujemy na gazie i szybko schodzimy na lodowiec poprzecinany małymi strumykami. Podejście nie jest trudne, ale ci, którzy nie zabrali raków, mają chwilami spore trudności z utrzymaniem się na wodnistym lodzie. Wyżej zaczyna się śnieg i marsz staje się łatwiejszy. Jeszcze kilkadziesiąt minut i stajemy na przełęczy Sawagotoror – około 3900 m n.p.m. Chociaż to nie szczyt, to i tak cieszymy się z naszego rekordu wysokości. Jest pięknie – słonecznie, ciepło i bezwietrznie. Na południu, za przełęczą, góry wyglądają inaczej, bardziej „soczyście”, na stokach widać świeżą zieleń traw.

Znajdujemy kopczyk z kamieni, tzw. „tur”, w nim blaszana puszkę, a w środku informację o poprzednich turystach, którzy przechodzili przełęcz. Ku naszemu zaskoczeniu było to 4 lata temu. Wyjmujemy notatkę, którą potem Gienna prześle na podany adres. W puszkę zostawiamy nasze dane i poręczymy wyprawę. Ciekawe, czy dowiemy się, kto i kiedy przyjdzie tu po nas?

Zejście z przełęczy solidnie nadwyręża nasze siły – 2 godziny po rumowiskach skalnych i piargach. Wreszcie stajemy na ścieżce. To tzw. „wierzchnia trapa”, która biegnie trawerssem zboczami doliny Karakulda. Na wschodzie, w odległości ok. 10 km dostrzegamy przez lornetkę obozowisko pasterzy i ruszamy w tym kierunku z nadzieją na rychły posiłek i odpoczynek. Ścieżka jest dosyć wygodna i tak równa, że mogłaby być poziomą, jednak już pierwsze kilometry pozbawiają nas złudzeń. Mijamy jedną boczną dolinkę za drugą, a obóz zdaje się nie przybliżać. Następne 6-7 godzin można scharakteryzować krótko – szliśmy. Wieczorem ślamiemy się już na nogach. Jeden z nas w łatwym terenie traci równowagę i z plecakiem lądnie w strumyku. Poddajemy się, schodzimy dolinką i na równym terenie obok rzeki rozbijamy namioty.

30 lipca

Potężne zakwasy w nogach i barkach sprawiają, że mamy kłopoty z wygrzebananiem



Dzieci kirgiskich pasterzy. Foto: Giennadij Bannow

się ze śpiworów. Niestrudzony Kuzmicz zdążył już rozpalić ognisko i ugotować posiłek, a Gienna zapowiada pół dnia odpoczynku. Przez kilka godzin dochodzimy do siebie. Masowanie mięśni, kąpiel, pranie, leniuchowanie na słońcu i przygotowanie obiadu zajmują nam czas do popołudnia.

Wieczorem nasze namioty stoją już obok jurty, do której chcieliśmy dotrzeć poprzedniego dnia. Kirgizi zapraszają nas na wieczorny posiłek. W jurcie mieszkają dwaj mężczyźni, kobieta i dziecko. Mają kilka koni, duże stado owiec i kóz oraz pilnujące dobytku dwa psy. Palimy papierosy i rozmawiamy z gospodarzami. W tym czasie kobieta rozpala ogień w piecyku stojącym pod gołym niebem, rozgrzewa tłuszcz w kociołku i wrzuca do niego kawałki suszonej na słońcu baraniny. Wkrótce w powietrzu rozchodzą się smakowite zapachy. Przyjeżdża jeszcze kilku mężczyzn z sąsiednich obozów. Zdejmujemy buty i wchodzimy do środka, siadamy w kucki wokół dastachanu. Gospodarz w milczeniu podaje herbatę, częstujemy się lepieszka z półpłynnym masłem, następnie gołymi palcami próbujemy pieczone. Smakuje wyśmienicie, choć ocieka tłuszczem. Odwzajemniamy gościnność cukrem, słodyczami, herbatą i butelką wódki.

Starszyzna inicjuje pogawędkę. Rozmawiamy o życiu i codziennych troskach. Pasterze z pewną nostalgią wspominają czasy byłego ZSRR. Wtedy powodziło im się o wiele lepiej. Za swoją pracę otrzymywali so-wite wynagrodzenie, w pobliżu obozów nierzadko lądowały helikoptery dostarczające żywność, paliwo itp. Teraz żyją na krawędzi ubóstwa, ze średnim dochodem około 15 dolarów miesięcznie (kirgiska waluta nazywa się

„sun”). Mniej więcej tyle kosztuje jedna owca. Najstarszego Kirgiza pytamy, czy spotkał tu kiedyś Polaków?

- Nie, nigdy.
- A czy przechodzą tędy turyści?
- Tak, bywają.
- Byli w tym roku?
- Nie.
- A w ubiegłym?
- Też nie.

Mnie jako biologa interesuje przyroda. Pytam pasterzy o pantery śnieżne.

- Tak, corocznie widzimy pojedyn-

cze sztuki wysoko w górach.

A więc jednak są! Pantera śnieżna, czyli irbis, to wspaniały drapieżnik występujący w wysokich górach środkowej Azji, np. w Himalajach spotyka się go do wysokości 6000 m. Ten duży kot osiąga wagę do 75 kg, ma białe, ciemno cętkowane futro. Poluje na owce i kozy górskie, zające, ptaki, czasem na bydło domowe. Ze względu na nocny tryb życia spotkania z nim należą do rzadkości.

- Żyją tu również niedźwiedzie. W tym roku porwały już jedną owcę.

Zapada zmrok. Lampa naftowa rzuca blask na wnętrze jurty i śniade, skośnookie twarze pasterzy. Mimo chłodu, kobieta z dzieckiem na rękach cały czas stoi na zewnątrz. Cała atmosfera tego wieczoru nieuchronnie nasuwa mi myśl o podróży w czasie. „Czy my tu aby naprawdę jesteśmy”? Chyba jednak tak i najwyższy czas kończyć gościnę. Żegnamy się i dziękujemy gospodarzom oraz Allahowi.

- Ałach agbar!

c.d.n.  
Ireneusz Olesik

## POLSKIE PLANY '96

Nasz ruch wyprawowy jest dziś rozproszony i zindywidualizowany, ale znaczna część działalności wciąż jeszcze przechodzi przez biuro PZA. Jak nas informuje Hanna Wiktorowska, na najbliższe miesiące przygotowywanych jest kilka wyjazdów i wypraw, głównie w góry Azji Centralnej. W dniu 3 czerwca 1996 r. wyruszyła w Karakorum wyprawa kierowana przez Krzysztofa Wielickiego, której celem jest nie znana dotąd Polakom chińska strona drugiego szczytu Ziemi, K2 (8611 m). W skład zespołu wchodzi: Józef Goździk, Marek Grochowski, Leszek Niestuchowski, Ryszard Pawłowski, Piotr Pustelnik, Marek Roźniński (lekarz) i Zbigniew Terlikowski. Ze strony włoskiej dojdą zaprzyjaźnieni od lat z naszymi alpinistami Marco Bianchi (6 ośmiotysięczników) i Christian Kuntner (5 ośmiotysięczników). Planowany jest nowy wariant od drogi japońskiej, w prasie włoskiej reklamowany jako „L'ultimo problema dello spigolo nord”. Krzysztof Pankiewicz zrezygnował z udziału. W początku lipca również na K2 wybiera się Maciej Berbeka, który wejdzie w skład międzynarodowej wyprawy Anglika Jona Tinkera. Wyprawa ta ma bardzo ambitny plan rozwiązania jednego z ostatnich pierwszoplanowych problemów Karakorum: przejście pięknej lecz bardzo niebezpiecznej wschodniej ściany K2, której przyglądało się już kilka wypraw (poczynając od polskiej w 1976 r.), żadna jednak nie podjęła poważnej próby. Po zakończeniu działalności na K2, Krzysztof Wielicki i Ryszard Pawłowski przeniosą się w masyw Nanga Parbat (8125 m), gdzie połączą się z grupą przybyłą z Polski i zagranicy w składzie: Jacek Berbeka (zastępca kierownika), Jarosław Żurawski, Jerzy Natkański, Dariusz Załuski, Barbara Stecka, João Garcia z Portugalii, Berndt Hackler z Niemiec i Andrew Lock z Australii. Wielickiemu brakuje Nanga Parbat – podobnie jak K2 – do skompletowania całej wielkiej himalajskiej czternastki. Ma szansę dobiecia do końca jako piąty z kolei na świecie – po Messnerze, Kukuczce, Loretanie i Carsoliu – ale po piętach deptać mu już konkurenci, m.in. Włochy. Do wyprawy dołączy się prawdopodobnie Andrzej Zawada, by przeprowadzić oględziny rejonu przed planowaną wyprawą zimową, być może wezmą w niej też udział Amerykanie Carlos Buhler i A. R. Caughron. Do tej pory na szczycie K2 było dopiero pięcioro Polaków: Wanda Rutkiewicz, Jerzy Kukuczka, Tadeusz Piotrowski, Przemysław Piasecki i Wojciech Wróż. Czwooro Polaków spotkanie z K2 przypłaciło życiem. Ryszard Pawłowski przygo-

tuje na jesień swoją kolejną wyprawę na Ama Dablam (6812 m) – w składzie jego ekipy znajdzie się m.in. Jan Orłowski. Pod szczyt Chomolhari (7315 m) w Bhutanie zamierzają wyjechać ze Szczecina: Józef Bryła (kierownik), Jerzy Butkowski i ks. Andrzej Woźnicki. Szczyt ten miał już kilka wejść (pierwsze w 1937 r., angielskie), jest jednak dość trudny. W jego otoczeniu znajduje się kilka niższych i łatwiejszych wierzchołków.

Głównym wydarzeniem jesieni będzie wyprawa KW Trójmiasto na Annapurnę (8091 m). Wyjedzie ona w składzie: Michał Kochańczyk (kierownik), Andrzej Marciniak, Waldemar Soroka, Jan Szulc, Krzysztof Tarasewicz i Jan Turowiecki. Planowane jest wejście drogą holenderską, równoległą do drogi normalnej. Przewidziani są też uczestnicy zagraniczni – być może Nick Cienski z Kanady, Ukrainiec Władysław Terzeul, Amerykanin Anthony Tonsing. Jak pamiętamy, Andrzej Marciniak był na Evereście i jako jedyny ocalał z lawiny na Przełęczy Lho La 27 maja 1989 roku (zginęli wówczas m.in. Eugeniusz Chrobak i Zygmunt Heinrich). Ostatnie jesienie na Annapurnie nie były szczęśliwe: w latach 1992-95 (4 sezony) działało tam 8 wypraw (aż 6 na ścianie południowej), szczyt osiągnęła tylko jedna z nich – koreańska (nową drogą, na lewo od angielskiej, zwanej „drogą Boningtona”).

## ZNÓW DRAMAT NA EVEREŚCIE

Nagły atak wichury połączonej ze spadkiem temperatury do -40°C stał się przyczyną kolejnej tragedii na stokach Mount Everestu. Piątek 10 maja 1996 r. był tzw. *summit day*: na szczycie stanęło 24 alpinistów. Po południu pogoda nagle się zafamała, a schodzące w dół zespoły poszły w rozsypkę. Po stronie północnej utknęło i zmarło 3 lub 4 członków wyprawy hinduskiej. Po stronie nepalskiej śmierć dosięgła dwóch wybitnych przewodników himalajskich, Roberta Halla z Nowej Zelandii i Scotta Fischera z USA, przy czym obaj oni zginęli walcząc o życie swoich klientów. Szczególny dramat wiąże się ze śmiercią Halla (35), pięciokrotnego zdobywcy Everestu (a także K2 i Makalu). Na wysokości ok. 8800 m pozostał on przy wyczerpanym Amerykaninie. Douglas Hansen (44) zmarł w nocy, natomiast Hall żył jeszcze w niedzielę rano (12 maja), kiedy zdołał połączyć się telefonicznie z żoną w Nowej Zelandii, będącą w 7 miesiącu ciąży. Pożegnał się z nią, a ona powiedziała mu, jaka będzie pleć ich dziecka i jakie otrzyma ono imię. Zginęła też Yasuko Namba, która jako druga Japonka (po

Yunko Tabei w 1975 r.) weszła na szczyt Everestu. W wyniku śmiałej akcji helikopterowej, z wysokości 6000 m zdjęci zostali w stanie krańcowego wyczerpania Amerykanin Seaborn Weathers i 47-letni Gau Ming-ho z Taiwanu.

Łączna liczba ofiar najwyższego szczytu Ziemi, poczynawszy od 1922 r., obecnie zbliża się już do 150, przy czym najwyższą cenę zapłacili Nepalczycy (ok. 50), głównie Szerpowie, na drugim miejscu są Hindusi (przeszło 20), na trzecim Japończycy (13). Polaków zginęło 5 – w lawinie na przełęczy Lho La w 1989 r. Japonka Namba jest trzecią już kobietą, która poniosła śmierć schodząc ze szczytu Everestu (po Hannelore Schmatz w 1979 r. i Pasang Lhamu w 1993 r.).

## POLONIA RESTITUTA DLA TEDDYGO

Z prawdziwą radością informujemy naszych Czytelników, że w dniu polskiego święta narodowego, 3 maja 1996 r., w konsulacie polskim w Lyonie we Francji odbyła się wzruszająca uroczystość: nasz przyjaciel Tadeusz Wowkonowicz został udekorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Aktu dekoracji dokonał konsul generalny RP, pan Sławomir Czarlewski. Zasługi 84-letniego dziś Teddygo Wowkonowicza są ogólnie znane. Przed wojną wybitny narciarz, w początku wojny członek ruchu oporu (GS 4/96), a potem uczestnik kampanii francuskiej, po wojnie osiadł na stałe u stóp Mont Blanc. Pozycja Chamonix jako światowej stolicy sportów górskich sprawiła, że miał ciągły kontakt z Polską i polskimi sportowcami, których otaczał serdeczną opieką – od rannego Staszka Biela w 1957 r. poczynając. Wielorakie formy pomocy można by długo wyliczać – półzartobliwy tytuł „ambasadora polskiego sportu” w Alpach najlepiej oddaje zakres jego zaangażowania. Cieszymy się, że ten cichy wkład w rozwój polskich sportów górskich został nareszcie zauważony w kraju i oficjalnie doceniony, czego skromnym wyrazem jest przyznanie Teddyemu wysokiego odznaczenia. Zasłużył sobie na nie najbardziej, niż ktokolwiek inny. Gratulujemy z sercem!

## REMONT ORLEJ PERCI – DLACZEGO?

Zamieszczamy odpowiedź dyrektora TPN, dr. inż. Wojciecha Gąsienicy Byrcyna na list otwarty, opublikowany na łamach „GS” w numerze 3/1996:

Pan dr inż. Jerzy Mościcki, Kraków.  
Odpowiadając na pana pismo z

dnia 29.08.1995 r. pragniemy, przede wszystkim, podziękować za skierowane do nas krytyczne uwagi dotyczące prac remontowych, wykonywanych ostatnio w rejonie Orlej Perci. Degradacja tego szlaku nie jest procesem zapoczątkowanym przez prowadzone ostatnio prace, lecz trwa już od kilkunastu lat i jest ściśle związana z docierającym tam ruchem turystycznym. W okresie po wytyczeniu i uzbrojeniu Orlej Perci w sztuczne urządzenia asekuracyjne przez ks. Gadowskiego rejon ten odwiedzało 200-300 osób rocznie. Obecnie liczba ta urosła nawet do kilku tysięcy dziennie. Według danych uzyskanych na podstawie ilości sprzedanych biletów, w roku 1995 np. w rejonie Morskiego Oka liczba osób odwiedzających to jezioro wynosiła od 6 do 7000 dziennie! Jest to więc problem o zupełnie innej skali. Od wielu już lat obserwujemy procesy degradacyjne na Orlej Perci oraz poboczach, spowodowane nadmiernym ruchem turystycznym. Do TPN zgłaszało się wielu turystów skarżących się na zły stan szlaku oraz łańcuchów asekuracyjnych, klamer itp. Coraz więcej notowano wypadków, w tym również śmiertelnych, spowodowanych złym stanem szlaku, spadającymi kamieniami itp. W środowisku przewodnickim i ratowniczym trwała dyskusja nad dalszą kontynuacją udostępnienia Orlej Perci. Proponowane były trzy następujące warianty rozwiązania:

\* całkowite zamknięcie Orlej Perci dla wszystkich form udostępnienia – z demontażem urządzeń asekuracyjnych;

\* zamknięcie szlaku dla masowego ruchu turystycznego, demontaż istniejących urządzeń asekuracyjnych, ospitowanie trudnych technicznie miejsc i dopuszczenie małych grup turystów, prowadzonych wyłącznie przez przewodników tatrzańskich;

\* dopuszczenie ruchu turystycznego na zasadach dotychczas obowiązujących, przy równocześnie prowadzonych, w sposób profesjonalny, remontach nawierzchni i urządzeń asekuracyjnych.

Zgodnie z obowiązującym od 1986 r. planem zagospodarowania przestrzennego, omawiany szlak jest przeznaczony do dalszego udostępnienia. Nie jesteśmy przekonani do wprowadzenia na szlak o takich tradycjach historycznych administracyjnych nakazów i zakazów, zwłaszcza, że w trudnych warunkach Orlej Perci nie byłyby one możliwe do wyegzekwowania. Z uwagi na praktyczny brak możliwości ograniczenia ruchu na Orlej Perci – zdecydowaliśmy się na prowadzenie prac remontowych w zakresie dostosowanym do istniejącej frekwencji turystycznej w sposób maksymalnie zapewniający bezpieczeństwo ludzi. Rozważaliśmy wielokrotnie sprawę ograniczenia ilości montowanych sztucznych ułatwień do niezbędnego minimum, a w miejscach łatwiejszych technicznie montowanie tylko punktów (spitów) umożliwiających autoasekurację. Okazało się to niemożliwe, gdyż bardzo

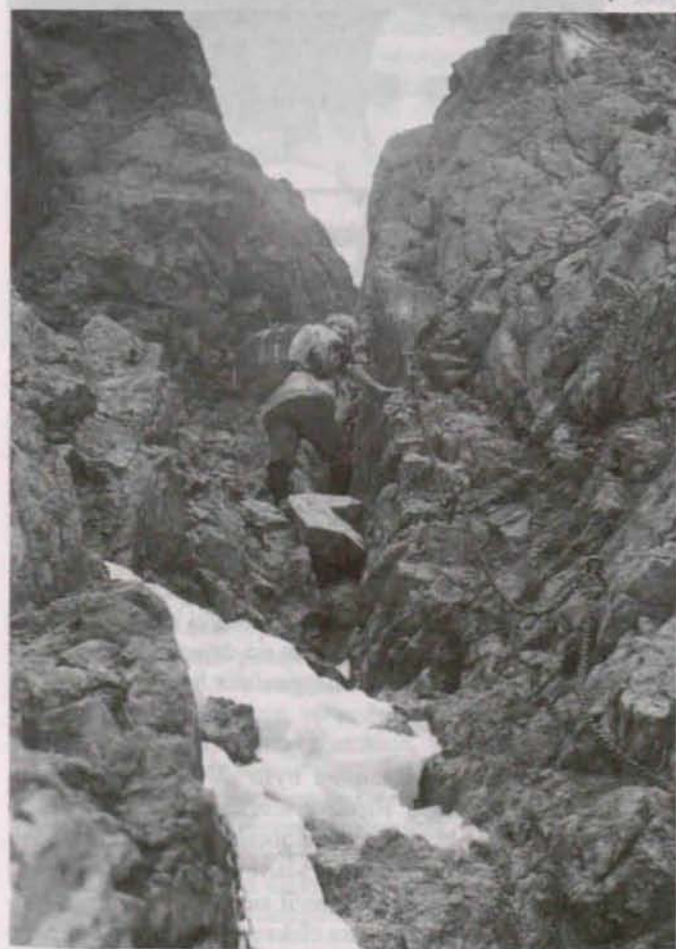
zyskiwać materiał na miejscu i jest to cena, jaką płacimy za udostępnienie Tatr dla turystyki. Montowanie łańcuchów bezpośrednio przy ścianie skalnej, czy też na tzw. przedłużkach – jest to już kwestia indywidualnych wrażeń estetycznych. Według naszych doświadczeń, montowanie łańcuchów na przedłużkach jest bardziej bezpieczne i wygodne dla turystów.

Odnosnie tzw. spitowania Tatr wyjaśniamy, że inicjatorem i wykonawcą tych działań jest Polski Związek Alpinizmu. W ramach wspólnej współpracy z PZA, pod koniec lat osiemdziesiątych wystąpił z wnioskiem o zamontowanie stałych zamocowań (spitów) na najbardziej uczęszczanych szkoleniowych drogach wspinaczkowych. Uzasadnieniem była potrzeba ochrony rozkuwanych szczelin skalnych, zatrzymywanie procesów degradacji ścian skalnych, powodowanych przez taterników. Wśród wytypowanych przez PZA dróg na Zmarłej Turni znajdują się następujące: droga Motyki nr 158 WHP; droga klasyczna 159 WHP; droga Komarnickich nr 161 WHP. Mamy nadzieję, że szczegółowe wyjaśnienie dotyczące zakładanych ilości spitów, jak i potrzeby ich montowania uzyska Pan w swojej macierzystej organizacji, Polskim Związku Alpinizmu.

Dr inż. Wojciech Gąsienica Byrcyn  
dyrektor

## ŚLADY POLSKIEJ STOPY

● Francuskie wydawnictwo „Phébus” wydało dzieło Ferdynanda Ossendowskiego pt. „Asie fantôme. A travers la Sibirie sauvage” (256 stron, 130F). W obszernej recenzji w „Montagnes Magazine” 5/96 brak słowa o tym, że Ossendowski był Polakiem. ● Kunyang Chhish (7852 m) w tym roku święci 25-lecie zdobycia. Jak pisze „High” 2/96, „this very rarely visited, high and beautiful pyramid” był latem 1995 r. celem nieudanej wyprawy japońskiej, którą kierował Kazuo Tobita. Pismo przypomina, że szczyt miał dopiero dwa wejścia: polskie i angielskie. ● Na festiwalu filmowym w Kalkucie (Indie) wśród trzech nagrodzonych filmów znalazł się film polski zatytułowany po angielsku „To Overcome the Mountain”. Ogółem do finału konkursowego weszło 10 filmów z 5 krajów. ● Na ostatnim festiwalu w Trento wyróżnienie specjalne otrzymał film Szymona Wdowiaka i Andrzeja Palczewskiego „Czerwona tajga”. ● „Climbing” przypominał, że zmarły minionej jesieni w lawinie pod Everestem Lhakpa Nuru był w 1993 r. partnerem Macieja Berbeki na Evereście i wraz z nim „twórcą ważnego wariantu do drogi normalnej na północnej ścianie”. ● Organ Club Alpino „Lo Scarpone” odnotował sukces Marka Kamińskiego na Biegunie Południowym. Film Jerzego Surdela o tym wyczynie (z komentarzem Macieja Kuczyńskiego) wyświetliła w maju TV w programie I. ● Carlos Carsolio, który po wejściu na Manaslu stał się czwartym na świecie zdobywcą wszystkich 14 ośmiotysięczników, w swej rozpowszechnionej poprzez Internet informacji połowę miejsca poświęca dobrej szkole, jaką otrzymał uczestnicząc w wyprawach polskich.



Juliusz Wyslouch pod Kozią Przełęczą w Tatrach

Foto: Teresa Łękawa

Świat się wali!

Grand Prix na festiwalu filmów górskich otrzymał fabularny film o... tragicznej miłości

## TRENTO 44°

Na początku maja wiosna w Trento była już w pełnym rozkwicie. Kasztany obsypane kwiatami, wszędzie soczyście zielono; pachniało uroczym, co krok czymś innym. Okoliczne góry od 2000 m n.p.m. wznwyż pokrywał śnieg.

W mieście widać było festiwal bardzo wyraźnie: prócz gości imprezy (każdy z charakterystyczną żółtą teczką na materiały), mnóstwo plakatów, kilka transparentów w poprzek ulic, plansze stojące, a nawet festiwalowo-wspinaczkowo udekorowane niektóre witryny, jak np. sąsiadującej z Centro S. Chiara (gdzie impreza zawsze odbywa się) apteki (sic!). Nic więc dziwnego, że największy w mieście sklep sportowy „poświęcił” imprezie aż 3 okna wystawowe.

A filmy? 1 na 5 zasługiwał na uwagę, a reszta to po prostu nudy, dłużyzny, ptaszki, kwiatki, woda, śnieg, góry, natura i... procesje katolickie (w dwóch filmach). Wszystko bez umiaru, bez sensu. Alpinizmu i gór „prawdziwych” jak na lekarstwo.

Liczenie pojawili się zainteresowani – dyrektorki i organizatorzy konkurencyjnych festiwali: Bernadetta z Banff, Mireille Chiocca z D'Aurans, Barbara z Graz, Czesi z Teplic, ale tylko jacyś mniej ważni, Słowacy (Juraj Rečka) z Popradu.

Główną nagrodę festiwalu (10 mln lirów) otrzymał film... fabularny (128 minut) o nieszczęśliwej miłości, a raczej nieszczęśliwych miłościach, bo było ich kilka, bardzo zagmatwanych. I choć zupełnie jakby nie pasował do formuły festiwalu, podobał się. Jest po prostu dobry.



„Infinito sud”, reż. Ermanno Salvaterra – „Srebrna Gencjana” (3 miliony lirów) dla najlepszego filmu wspinaczkowego. Opowiada o 24-dniowych zmaganiach trójki Włochów ze ścianą Cerro Torre I... 200-kilogramową skrzynią biwakową

„Schlafes Bruder”, to ładnie fotografowana, poetycka bajka o zagubionej wśród gór małej, biednej i prymitywnej wiosce, w której rodzi się geniusz muzyczny. Połowa wieśniaków to debile, bo żyją w małej i zamkniętej społeczności. Wszystko dzieje się w XIX wieku na przestrzeni 25-30 lat. Kilka lat po Eliasie (André Eisermann), chłopcu – głównym bohaterze, rodzi się dziewczynka Elsbeth (Dana Vávrová). We właściwym czasie zakochują się w sobie, ale oczarowany muzyką młodzian nie chce tej miłości skosztować. Peter, brat Elsbeth, a rówieśnik głównego bohatera kocha się... także w nim. Ostatecznie, panna oddaje się Lucasowi, wiejskiemu osiłkowi, dotąd zabiegającemu o nią bezskutecznie. Obdarzony nadzwyczajnymi instynktami bohater przerywa grę na organach w wiejskim kościele, biegnie, szuka, widzi to i załamany przestaje grać, bo odkrywa, jak strasznie ją kocha. Ona też w zasadzie nie może bez niego żyć, ale niszczony zazdrością brat zamyka ją w pokoju i podpala dom. Naszemu muzykowi udaje się ją uratować, lecz wieś płonie doszczętnie. Większość mieszkańców opuszcza ją, w tym także ciężarna już (a jak!) Ona i jej osiłek.

Do wymarłej wsi trafia wysłannik dworski i odkrywa geniusz bohatera. W mieście, gdzie akurat dogorywa na suchoty osiłek, a Ona z córeczką dorabia szlachetnym (bo z potrzeby) nierządem, nasz muzyk odnosi oszałamiający sukces w konkursie organowym (oczywiście Ona była w kościele, ale tłum nie dał się im zetknąć).

A jednak nie ma happy endu. Elias i zakochany w nim Peter wracają w góry, gdzie nasz bohater umiera (bo chce). W ostatniej scenie w góry wraca również Els-

44°



28 aprile - 4 maggio 1996



„Schlafes Bruder”, reż. Joseph Vilsmaier. „Wielka Nagroda Miasta Trento” (10 milionów lirów). Miłość dziewczyny do chłopca, chłopca do muzyki i dziewczyny oraz chłopca do chłopca jest kanwą opowieści o tragicznych losach muzycznego geniusza i miniaturowej społeczności wioski ukrytej wśród gór

beth z podrośniętą już córeczką. Okazuje się, że olbrzymi płaski głaz na brzegu stawu, z którym od dzieciństwa związany był tajemnie geniusz bohatera, zniknął. Koniec!

Wśród gości festiwalowych zobaczyć można było gwiazdy alpinizmu, m.in. Riccardo Cassina, Waltera Bonattiego, Kurta Diembergera, Agostino da Polenza, Sergio Martiniego i Beata Kammerlandera. Pojawił się też Hans Panitz, producent ultra ciekawego, znanego w Polsce (z TVP) filmu o Leni Riefenstahl (już do brzo po 90.) i od niego dowiedziałem się,



„Wielki” Riccardo Cassin z żoną



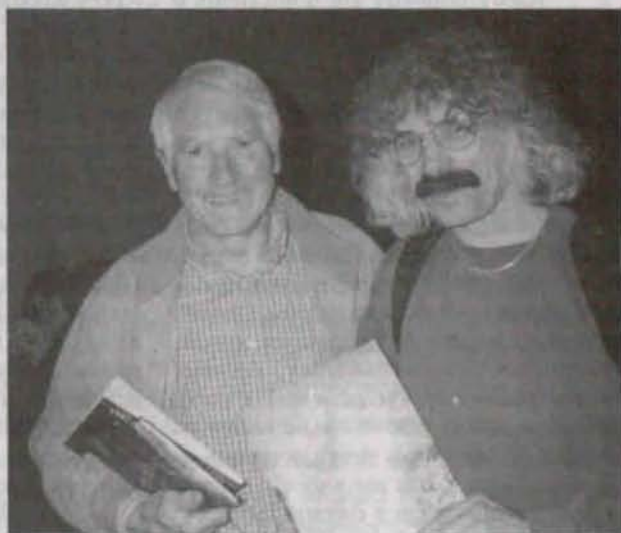
C. Zanotelli – Prezydent S.A.T., Riccardo Cassin, Aleksander Lwow, Kurt Diemberger

że Leni przeżyje wszystkich, bo wcale nie umarła (kiedyś informował o tym Władek Janowski z USA). Ucieszyła mnie ta wiadomość – Leni jest fascynującą kobietą i niezwykłą osobowością.

W ostatnich dniach swego trwania Festiwal wszedł w fazę kulminacyjną. Zjechali wszyscy, którzy przyjechać mieli, a podczas wieczornych projekcji sala była przepełniona tak, jakby miał wystąpić zespół rockowy. Równolegle wciąż, gdzieś odbywały się jakieś spotkania i imprezy towarzyszące – nie kończące się ple, ple, drink, ple, ple. Niestety, Włosi zazwyczaj nie mówią w żadnych „cywilizowanych” językach.

Na koniec, w zabytkowych wnętrzach pałacu mieszczącego lokalny klub alpinistyczny (S.A.T. – Section Alpino Trentino) odbyła się uroczystość rozdania pamiątkowych wyróżnień „Srebrnego Haka”. Dostali je m.in. Diemberger, Cassin, chłopcy z Cerro Torre, Martini (11 czy 12 (?) ośmiotysięczników na koncie), hinduski wydawca, amerykański operator i... ku zaskoczeniu również niżej podpisany. Po włosku nie rozumiem, więc na własny użytek uznałem, że za „umacnianie przyjaźni między narodami”.

Aleksander Lwow



Z „żywą legendą alpinizmu”, Walterem Bonattim

Dzięki „Forum”, a raczej „Financial Times”, możemy poznać ciemne strony dążenia do alpinistycznej sławy

## SUKCES ZA WSZELKĄ CENĘ?

### KONIEC PRAWDZIWEGO ALPINIZMU

Skuleni w maleńkich namiotach na północno-wschodnim grzbiecie Everestu na wysokości 8300 metrów dwaj japońscy himalaisci i ich trzech nepalscy Sierpowie włączyli swoje aparaty tlenowe i ruszyli w drogę w nadziei, że jako pierwsi w tym sezonie zdobędą górę od strony północnej. Plan zakładał, że pokonanie poziomego dystansu 1,5 kilometra oraz 548 metrów wysokości zajmie im około 9 godzin, co pozwoli im wrócić do obozu nr 3 przed zmrokiem.

Do godz. 8 w sobotę (11 maja) dotarli do pierwszego trudnego punktu swojej wspinaczki (tzw. pierwszego stopnia) – ściany skalnej na wysokości 8500 metrów. Tuż obok szlaku natknęli się – zaskokowani – na indyjskiego himalaistę, który ugrzązł w śniegu.

Według słów pierwszego Sierpy, Hindus znajdował się w rozpaczliwym sta-

nie, z odmrożonymi kończynami i wydawał nieartykułowane dźwięki. Po prostu „czynił ogromny hałas”. Dwaj Japończycy i ich trzech Sierpowie ruszyli dalej. Do największej przeszkody na trasie – tzw. drugiego stopnia – dotarli w półtorej godziny później. Czekala ich pionowa ściana skalna i trzydziestometrowa wspinaczka – zadanie nie lada na wysokości 8639 metrów, na której tlenu jest już tak mało, że himalaisci nazywają ją strefą śmierci. Okazało się, że drabina, która stała tam w poprzednich latach, uległa uszkodzeniu i odsunęła się od ściany. Piątce himalaistów pokonanie tego odcinka zajęło prawie półtorej godziny. Po dalszych 10 metrach natknięto się na dwu kolejnych Hindusów – jednego już niemal martwego, drugiego skulonego w śniegu.

Nie padły żadne słowa. Nie podzielono się wodą, żywnością czy tlenem. Japończycy znów poszli dalej i po 50 me-

trach zatrzymali się, aby odpocząć i zmienić butle tlenowe.

W trzy i pół godziny później, kosztem nadludzkiego wysiłku, dotarli na szczyt Everestu – mający 8848 metrów wysokości. Dla dwudziestoletniego Pasanga Kamiego Shery był to czwarta udana wyprawa na Everest, ale dla Hiroshiego Hanady i Eisuke Shigekawy było to spełnienie marzenia.

Plan japoński uwzględniał zasadę maksymalnego zabezpieczenia. Na trasie rozmieszczono dobrze zaopatrzone w żywność i tlen obozy, a na całej niemal trasie wspinaczki była w użyciu lina asekuracyjna. Plan niezmiennie przewidywał zdobycie szczytu w dniu 11 maja. I tegoż dnia ludzie zespołu japońskiego go zdobyli. Byli przekonani, że znaleźli się tam jako pierwsi – przed tuzinem innych ekspedycji, m.in. przed dużą wyprawą indyjską pod kierownictwem Mohindera Singha

z Indian-Tibetan Border Police oraz moja własną – The British 1996 North Col Expedition.

Kiedy piątka radowała się sukcesem i słuchała, jak jej lider przekazuje przez radio wiadomość o tym fakcie, absolutnie nie przewidywała burzy protestów i oburzenia, jaka miała ich powitać – w 24 godziny później – w Wysuniętym Obozie Głównym.

Wiadomo już było bowiem, że zginęli wszyscy trzej Hindusi atakujący szczyt od strony tybetańskiej i że wskutek burz śmierć poniosło co najmniej pięciu innych himalaistów – czterech z wyprawy nowozelandzkiej oraz jeden Amerykanin po nepalskiej stronie Everestu. Od czasu, kiedy pierwszy Europejczyk wyprawił się na Everest w 1921 roku, góra pochłonęła 141 ofiar.

Kiedy pojawiły się doniesienia o klęsce wyprawy indyjskiej, całkowicie przysłupredni nastrój współpracy i przyjaźni między uczestnikami wyprawy indyjskiej i japońskiej. Zazwyczaj dobrotliwy i powszechnie podziwiany szef wyprawy norweskiej Jon Gandal z pewnością wyraził uczucia Brytyjczyków, Słoweńców i innych narodowości w Obozie Głównym, kiedy powiedział: „Przyjaźń, bliskość natury, budowanie swoistej więzi z Everestem – wszystko to należy do przeszłości. Obecnie liczy się tylko atak, obowiązuje staromodna taktyka zdobywania twierdzy, alpinści muszą zdobyć szczyt za wszelką cenę. Ludzie są nawet gotowi iść na szczyt po trupach. To jest moja druga wyprawa na Everest. Nigdy już tu nie wrócę”.

Rozmawiałem z dwoma Japończykami i ich Sierpami zaraz po ich zejściu i powrocie do Wysuniętego Obozu Głównego. Zapytany, dlaczego nie pomogli umierającym Hindusom ani po drodze w górę, ani podczas zejścia, dwudziestoletni Eisuke Shigekawa powiedział:

„Wchodzimy na wysokie góry sami, swoim własnym wysiłkiem. Byliśmy zbyt zmęczeni, by pomóc. Na wysokości 8 tysięcy metrów ludzi nie stać na moralność”.

Trzydziestosześcioletni Hiroshi Hanada, z głową skrytą w dłoniach, z trudem dobierał słowa: „to byli członkowie wyprawy hinduskiej – nie znaliśmy ich. Nie, nie daliśmy im wody. Nie rozmawialiśmy z nimi. Cierpieli wyraźnie na chorobę górską. Sprawiali wrażenie niebezpiecznych”.

Nazajutrz, po oficjalnym proteście kierownika wyprawy hinduskiej, Japończycy wydali oświadczenie częściowo zmieniające ich wersję. Stwierdzili, że Kami Sherpa udzielił pomocy jednemu człowiekowi – w swej drodze powrotnej – przy schodzeniu z drugiego stopnia. Niemniej jednak kierownik wyprawy japońskiej nie wyraził żadnych przeprosin i 13 maja – w dwa dni po tragedii – wysłał na szczyt Everestu swój drugi zespół. Członkowie tej grupy znaleźli zwłoki indyjskiego himalaisty w śniegu, zaledwie o 100 metrów od swego bezpiecznego schronienia w najwyższym położonym obozie.

Nikt nie sądzi, ani przez chwilę, że Japończycy mogli byli uratować wszystkich trzech Hindusów. Ale większość himalaistów, z którymi rozmawiałem, jest zdania, że gdyby wszyscy członkowie – w liczbie pięciu – zaopiekowali się jednym przemarzniętym Hindusem przy pierwszym stopniu, to z pewnością można byłoby ocalić jedno życie ludzkie.

Utrwalony od dawien dawna obraz jednego alpinisty przywiązanego liną do drugiego alpinisty, a przez to całkowicie od niego uzależnionego, mówi wszystko o moralnej i emocjonalnej stronie tego niebezpiecznego sportu, który jest w większym stopniu stylem życia niż hobby.

Tej wiosny, po północnej stronie Everestu, ten kodeks moralny został straszliwie pogwałcony. Jak powiedział Włoch Fausto de Stefani, atakujący Everest po raz piąty w ramach swoich starań o zdobycie wszystkich 14 szczytów liczących powyżej 8 tysięcy metrów: „Jest to straszliwy przypadek gorączki szczytów. Koniec moralności – to koniec prawdziwego alpinizmu”.

To, że Japończycy nie podjęli skutecznej akcji ratunkowej, nie może ukryć faktu, że winę za to, co się stało, ponoszą w najwyższym stopniu trzej Hindusi i ich zwierzchnicy.

To właśnie niepokojący czynnik rywalizacji między wyprawą japońską i hinduską najwyraźniej skłonił trzech Hindusów do wyruszenia na szczyt przy niesprzyjającej pogodzie 10 maja, na dzień przed Japończykami, ale bez upewnienia się, że będzie można bezpiecznie powrócić na czas.

Wyruszyli z obozu nr 3 dopiero o 8 rano i – natknąwszy się na burzę, kiedy zaczęło się ściemniać – utknęli na szlaku, wyczerpani i przemarznięci. Musieli uznać, że schodzenie w dół jest prawie niemożliwe.

Harbhajan Singh, czwarty członek zespołu indyjskiego i zastępca kierownika wyprawy, zawrócił o 16.30. „Ogarnęła ich gorączka szczytu” – powiedział.

W czwartek (16 maja) agencja Reutersa podała, że kierownik wyprawy japońskiej wydał oświadczenie, iż jego zespół „uczynił wszystko, co było w jego mocy”, aby uratować hinduskich himalaistów. Katsutoshi Ikebe powiedział, że w sobotę (11 maja) wysłał Sierpów, aby spróbowali odnaleźć Hindusów, co jednak zakończyło się niepowodzeniem.

Gorzki przypisem do tej opowieści o ambicji, śmierci i moralności w wysokich górach jest to, że Mohinder Singh, kierownik wyprawy hinduskiej, zatelefonował przez satelitę – tuż po godz. 18.00, 10 maja – do ówczesnego premiera Indii Narashimy Rao, aby mu zakomunikować, że trzej hinduscy himalaści dotarli na szczyt bezpiecznie.

Później Japończycy publicznie i bez ogródek powiedzieli, że na szczycie Everestu nie znaleźli żadnych porządków, śladów stóp czy butli tlenowych, które mogłyby świadczyć, że ktoś dotarł tam przed nimi.

Tragedie, do których doszło po obu stronach góry, a także silna burza po paru dniach sprawiły, że większość ekspedycji, w tym również moja własna, pozostała w obrębie Wysuniętego Obozu Głównego [Baza Wysunięta – Red.]. Obecnie czekamy, aż ustąpią emocje i poprawi się pogoda. Wtedy podejmiemy własny, końcowy atak na najwyższy szczyt świata.

Richard Cowper  
„Financial Times”

(„Forum” nr 22, 18-19 V 1996)



Góra Kościuszki (2229,88 m) w Australii. Foto: Archiwum

# WIERSZE O GÓRACH

Zofia Jabłońska-Erdmanowa

## NIECH BĘDZIE...

Niech będzie jeszcze raz tak samo:  
październikowe blade rano,  
cicho odmykam drzwi na ganek,  
sprawdzam plecaka spiętą klamrę,  
przede mną góry – wszystko za mną!

Niech będzie jeszcze raz październik,  
policzek szorstka muśnię wełna,  
niech znów zadzwoni mi siekierka  
o bliznę perci, co nieścierna!

Ponocny szron ubiełił schodki,  
gdzie żaden ślad już mnie nie spotka.  
Nikogo za mną – nikt przede mną,  
ja i mojego serca tętno!

Czy to tak wiele? Tak niezmiernie?  
Za parę wierszy nieudanych:  
góry i dwoje oczu wiernych,  
nim przyszło odpaść ci od ściany?

III/96

Nestorka poetek polskich – autorka tego pięknego i mądrego wiersza – znakomita badaczka dziejów literatury polskiej, znana z cenionych studiów o Adamie Mickiewiczu, jego kowieńskich uczniach i wileńskich przyjaciółach, taterniczka, Pani Dr Zofia Jabłońska-Erdmanowa 29 lipca 1996 r. rozpoczyna setny rok swego bogatego w zdarzenia, trudnego, pełnego heroizmu i wyrzeczeń życia, urodziła się bowiem 29 lipca 1897 r. w Słucku na Polesiu. Jako poetka debiutowała w 1917 r. w Sankt Petersburgu poematem *U twoich wrót, Ojczyzno!*, potem wydała stanowiący dziś bibliofilską rzadkość zbiór pięknych

wierszy *Kosówka i kaktus* (Łódź 1932), dzisiejszym zaś miłośnikom poezji o górach znana jest lepiej jako autorka ładnie wydanego w 1993 r. przez Oficynę Podhalańską w Krakowie tomu *Stara ciupaga i inne wiersze z lat 1948–1993*.

W swym pełnym trudu życiu Dr Zofia Jabłońska-Erdmanowa wiele, bardzo wiele uczyniła dla Polski. Brała ofiarnie udział w wojnie 1919–1920 r. pracując w pociągach sanitarnych i w I Konnej Czołówce PCK przy 11 pułku piechoty, z którą dotarła aż do Kobrynia i rodzinnego Słucka. W czasie II wojny światowej, przynależąc do Wojskowej Służby Kobiet Armii Krajowej „Jodła” w okręgu radomsko-kieleckim w latach 1943–1945, była, pod pseudonimem „Joanna”, łączniczką i tłumaczką przechwytywanej korespondencji rosyjskiej i niemieckiej. Polsce oddała wiele ze swego życia, poniosła niejedną bolesną stratę i niejedną złożyła dla niej ofiarę.

Kochała i kocha góry. Poznała i pokochała Tatry przed siedemdziesięciu trzema laty w 1923 r. i w jej życiu zajęły one miejsce prawdziwie ważne. I one też stały się troskliwie piastowanym przedmiotem jej poezji, ukazującej, jak wielką wartością może w ludzkim życiu stać się głębokie doznanie radości górskiego bytowania, jak nieocenioną wartością stają się chwile górskiego piękna i jak wiele one mogą znaczyć w prawdziwym docenieniu radości życia. W podanym tu do druku wierszu, jakby w ślad za słowami Goethego („Verweile doch! Du bist so schön!”), utrwaliło się piękno minionej chwili. Jest to życiem doświadczona mądrość owej poezji.

Dr Zofia Jabłońska-Erdmanowa jest Człowiekiem Gór. I dlatego w dniu Jej pięknego jubileuszu ludzie gór składają Pani Doktor życzenia pełne szacunku i serdeczności, życzenia najlepsze i najcieplejsze, przekazując taterniczkę i turystyczne przyjazne pozdrowienia z górskiego szlaku, znad brzegu Zmarzłego Stawu w Świstowej Dolinie, znad brzegu Zielonego Stawu w Dolinie Kaczej!

## CZY WIECIE ŻE...

\* Oddziałów znakujących szlaki w polskich Sudetach jest razem czternaście.

\* Zbigniew Garbaczewski, szef Delegatury Sudeckiej, posiada prawie na ukończeniu kartotekę szlaków sudeckich. Oficjalne jej ukończenie i udostępnienie zapowiada na wrzesień br., gdyż w trakcie sezonu znakarskiego odbędą się drobne korekty niektórych szlaków i trzeba je będzie umieścić w kartotece.

\* Na Płosce w Górach Białskich już od kilku dobrych lat stoi, coraz bardziej sterany deszczem i mrozem, drogowskaz PTTK. Zachowała się tylko jedna tabliczka ze złuszczoną farbą, i napisem: Czernica 1 h, zaś ja szedłem zaledwie... 10 min. Próbowałem dostosować się do podanego czasu i iść jak najwolniej, popularnie włócząc nogami, lecz efekt był mizerny. Po prostu nie udało mi się iść aż godzinę. Może ktoś w końcu

pobije rekord i przejdzie z Płoski na Czernicę rzeczywiście w jedną bitą godzinę.

\* Muzeum na zamku w Bolkowie jest nieczynne, gdyż od roku jest w remoncie. Zaś prognozy przewidują, że przez najbliższy rok muzeum nadal będzie zamknięte. Po prostu brakuje pieniędzy i stąd remont się przedłuża. Póki co, zamek, a raczej jego ruiny, można zwiedzać po uiszczeniu opłaty w kasie zamkowej. Wstęp kosztuje – dosłownie i w przenośni – grosze. Z wieży zamkowej roztacza się pyszna, dookolna panorama.

Stąd blisko (pół godziny marszu) do kolejnych ruin, tym razem zamku Świny. Drewniane drzwi bramne, o stalowych zawiasach, podczas otwierania wydają piekielne odgłosy. Ponoć w ten sposób miały odstraszać najeźdźców, a dziś... intruzów.

Mariusz Szatkowski

